

# KOŃ



NAPISANIE

BOHDAN DYAKOWSKI

NAKLAD I Druk

M. ARCTA

K. 14335

<http://rcin.org.pl>

K.14335、 <http://rcin.org.pl>

K O Ń  
TOWARZYSZ CZŁOWIEKA



# K O Ń

## TOWARZYSZ CZŁOWIEKA

opisał

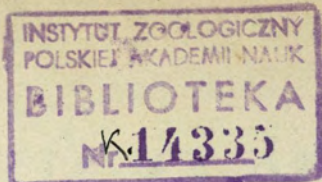
*Bohdan Dyakowski*

z licznymi rysunkami.

WARSZAWA WYDAWNICTWO M. ARCTA

—  
1911

(5607)



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K. 14335**



6000000000149

<http://zooinf.org.pl>

CZEŚĆ I.  
KOŃ WSPÓLNIK PRACY







Klucz bron.

J. Kossak.

## Koń współnik pracy.

---

Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,  
Gwiazda na czole jego, jak jutrzienka błyska,  
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,  
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawce białonogi!  
Góry z drogi, lasy z drogi!

(*A. Mickiewicz*).

### I. Oswojenie konia i jego znaczenie dla ludzi.

Konia człowiek oswoił od niepamiętnych czasów tak samo, jak i psa, a oswoił tak dawno, że dziś nie możemy dokładnie wskazać ani krainy, która była kolebką tego wiernego towarzysza człowieka, ani czasu, kiedy ludzie zaczęli korzystać z jego usług.

Dzikich koni w ścisłym znaczeniu tego wyrazu niema dziś zupełnie. Znajdują się wprawdzie i teraz stada koni, zamieszkujące na wolności obszerne równiny Ameryki południowej i Azji środkowej, ale co do amerykańskich czyli tak zwanych cymarónów, to wiadomo napewno, iż są to zdziczali potomkowie koni niegdyś domowych, puszczonech przez Hiszpanów w r. 1535 przy wyjściu z Buenos-Ayres. Co do koni azyatyckich czyli tarpanów, zdania uczonych są podzielone: jedni widzą w nich konie zupełnie dzikie, inni natomiast uważają je za zdziczałe tak samo, jak cymarony.

To drugie zdanie przeważa obecnie. Trudno jednakże rozstrzygnąć tę kwestyę z zupełną pewnością, jak również trudno wskazać, gdzie właściwie znajdowała się kolebka tych stworzeń, zanim weszły one po raz pierwszy w bliższy stosunek z człowiekiem, zanim zmieniły wolny tryb życia na służbę u ludzi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, oswojenie musiało nastąpić w kilku miejscach, pierwotny bowiem koń zamieszkiwał dość znaczne obszary na północnej półkuli naszej ziemi.

Czas oswojenia gubi się również w pomroce dziejów przedhistorycznych. Wzmianki o koniach swoich znajdujemy w najdawniejszych pomnikach ludów cywilizowanych, a co jeszcze ważniejsza, nigdzie zato nie znajdujemy nawet żadnych podań o oswojeniu konia. Dowodzi to najwyraźniej, jak dawno ludzie zdobyli sobie to cenne zwierzę.

A nabytek to był istotnie wielce zyskowny, ułatwił bowiem człowiekowi ogromnie zdobycze cywili-

zacyjne. Dopiero pozyskanie takich pomocników, jak pies i koń, umożliwiło ludziom szybkie posuwanie się po szczeblach rozwoju cywilizacji i wzniesienie się ze stanu dzikiego.

Łowiec na koniu i w towarzystwie psa polował zupełnie inaczej, niż piechur, zbrojny jedynie maczugą lub toporkiem kamiennym i zmuszony ufać wyłącznie ręczności własnych nóg i delikatności własnego węchu: w razie walki polegał on jedynie na samym sobie, a w razie niebezpieczeństwa lub potyczki z silniejszym napastnikiem, pozbawiony był prawie zupełnie możliwości ucieczki.

Nic też dziwnego, że od czasu pozyskania konia i psa myśliwy mógł łatwiej polować, lepiej i obficie żywić rodzinę i miał więcej czasu na obmyślanie różnych ulepszeń i udoskonaleń w sposobie życia.

Udział w łowach — to był pierwszy stopień udomowienia zarówno psa, jak i konia.

Gdy następnie człowiek oprócz myśliwstwa zaczął trudnić się pasterstwem, wciągnął on i tych swoich towarzyszy do nowego zajęcia: pies stróżował mu stada, a pasterz na koniu spędzał je do kupy; na koniu uganiał się za sztukami, które się odbiły od gromady.

Przyszedł następnie okres rolnictwa i życia osiadłego: konia zaprzął wówczas człowiek do pluga i pracy rolnej, psu kazał pilnować dobytku, który nagromadził przy domu swoim. Ale jednocześnie człowiek nie zarzucił i poprzednich, pierwotnych swoich zajęć, tylko że teraz tresował sobie pomocników osobno do różnych prac, jakich od nich wymagał.

Pod wpływem rozmaitej tresury «naród psi stał się trojaki: łowczy, złajnik (dozorca stada) i stróż domowy». Tresura konia poszła również w trzech kierunkach: koń łowczy, koń pasterski i woźnik — koń do wożenia ciężarów i do pracy w polu.

Właściwie powstała jeszcze jedna odmiana konia domowego, a także i psa, odmiana wojenna, zbliżona zresztą wielce do łowieckiej; od koni wojennych wymagano bowiem mniej więcej tych samych zalet, co i od łowieckich: pierwotne walki ludzi zbliżone były wielce do łowów, a zarówno koń jak i pies okazywały się w nich bardzo pomocnymi, przechylając szalę zwycięstwa na stronę posiadaczy tych zwierząt.

Grecki historyk, Herodot, podaje oryginalny przykład takiej pierwotnej walki, zaczerpnięty z podań starożytnych ludów: w walce tej obie strony urządziły pojedynek potrójny, w którym mąż walczył z mężem, koń z koniem, a pies z psem.

Oswojenie konia umożliwiło wielce ludziom pracę koło podniesienia dobrobytu i ułatwiło im szybsze posuwanie się na wyższy szczebel cywilizacji, przyczyniło się zatem do podniesienia całej ludzkości. Można więc powiedzieć, że koń oddziałał uszlachetniająco na człowieka. Ale bodaj, że w jeszcze silniejszym stopniu sam on uległ jego uszlachetniającemu wpływowi: wystarczy porównać zdziczałego konia ze swojskim rumakiem, aby należycie ocenić dodatni wpływ człowieka.

Zdziczałe konie stepów azjatyckich i amerykańskich straciły tę siłę i zgrabność, wytrwałość i lekkość, którymi się odznaczają szlachetne konie swoj-

skie; wzrost ich zmałał, sierść straciła piękny połysk, grzywa i ogon zmieniły się w nastrzępione i brzydkie kudły. Charakter uległ również zmianie: wysoka inteligencya zmałała, a nawet i siły osłabły. Dziki koń stepów mongolskich nie przypomina niczem szlachetnego beduińskiego rumaka, podobnie jak cymaron z preryi amerykańskich zupełnie nie jest podobny do hiszpańskiego dzianeta, którego przecież jest niewątpliwym potomkiem.

Co prawda, to nie można się dziwić uszlachetniającemu wpływowi człowieka na konia, gdy się weźmie pod uwagę, ile pracy i trudów zużył człowiek na podniesienie tego zwierzęcia, jak często traktował go nie gorzej od członków własnej rodziny, uważał za najlepszego przyjaciela i dbał o jego wygody więcej, niż o własne. Koń odwdzięczał się za to przywiązaniem, pojętnością, odgadywaniem woli pana i temi niezliczonymi usługami, którym ludzkość zawdzięcza szybszy pochód na drodze cywilizacji.

Nic więc dziwnego, że to dzielenie doli i niedoli, pomaganie sobie w trudach i pracy — wytworzyło między koniem a człowiekiem wzajemne przywiązanie, nie mniejsze od tego, jakie się zawiązało między człowiekiem a psem. Szczególnie zaś cenionym bywał koń u ludów wojowniczych i rolniczych, im bowiem wyświadczał on największe przysługi, ich los najsilniej bywał z nim związany, w największym stopniu zależał od niego.

---

## II. Całe życie razem.

Koń odgrywał wogóle ważną rolę w dziejach ludzkości i był ogromnie ceniony przez większość narodów. Nic więc dziwnego, że i u nas zajmował zawsze bardzo wybitne stanowisko. Polacy ze względu na charakter swego kraju byli narodem rolniczym, a ze względu na jego położenie geograficzne musieli staczać nieustanne walki z sąsiadami, którzy zewsząd na nas napierali.

Opierała się im Polska głównie dzięki swojej jeździe, a jak skutecznie to robiła, jak dzielnie broniła już nie tylko siebie, ale i całej Europy przed nawałą Turków i Tatarów, widać z tego, iż przez całe wieki była ona «ową basztą chrześcijaństwu wszystkiemu, którą od dawna miano za jedyny munsztuk, powściągający potęgi wschodnie». Ostatni też cios pod Wiedniem zadała państwu muzułmańskiemu jazda polska pod Janem Sobieskim.

Nic więc dziwnego, że Polacy wysoko cenili konia, któremu zawdzięczali zwycięstwa w bojach i dobrobyt w pokoju. On niósł ich do walki, towarzyszył wiernie w trudach wojennych, on uprawiał ziemię i zwoził jej plony. A jak każdy Polak był zarazem rycerzem i rolnikiem, tak i koń stał się u nas wskutek całego trybu życia zwierzęciem rolniczo-wojskowym. Początkowo, póki nie wyodrębnił się osobny stan rycersko szlachecki, oba te zawody łączył zawsze w sobie każdy mieszkaniec kraju; z czasem jednak takie połączenie stało się jedynie właściwością szlachty: kmiecie oddawali się głównie

pracy rolnej. I oni jednakże brali nieraz udział w wojnie i wstawili się niejednym głośnym czynem, zwłaszcza w ostatnich okresach dziejów naszych.

Szlachcic zato do końca pozostał rycerzem-rolnikiem, który w wolnych chwilach od bojów uprawiał zagon ojczysty, a w razie niebezpieczeństwa ruszał na obronę granic kraju przed wrogiem. Piękny obraz takiego rycerza-rolnika dał nam Wincenty Pol w «Mohorcie». Mohort choć spędził całe życie na kresach Rzeczypospolitej, jako porucznik chorągwi pancernej,

Lubił i rolę, i miał stepu kawał,  
Futor, pasiekę i wszystko, prócz domu,  
Ogrodu swego też orać nie dawał  
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,  
Lecz go sam orał. — Odwykać nie trzeba  
Człeku od roli, a wyknąć do domu! —  
Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał.  
Co wiosnę zorał choć zagonów parę.

Bo, jak powiadał:

Z czego człek powstał, o tem myśleć trzeba,  
Ani hetmanom bez Boga i chleba!

A gdy orał:

Z kraju basztanu<sup>1)</sup> na pierwszym zagonie,  
Stała po starym zwyczaju zatknięta  
Szabla, bo orzeł w rycerskiej koronie,  
A ziemia szablą broniona jest święta,  
A plug miał miejsce i przy Piastów tronie.

Tak samo postępował ogół dawnej szlachty polskiej, nic więc dziwnego, że taki rycerz-rolnik nie

---

<sup>1)</sup> Basztan — kawał ziemi wyorany z nowiny na spalonym stepie, a zasiany kawonami czyli arbusami, melonami, ogórkami i t. p.

rozstawał się nigdy z koniem i występował zawsze z nim razem przy każdej okazji, czy to publicznej, czy prywatnej: konno jechał szlachcic w odwiedziny do sąsiadów i konno stawał na elekcyę króla; konno udawał się w podróż dalszą, konno wyruszał na łowy, konno jechał na wesele i koń go wierny odprowadzał do grobu.

Życie z koniem i szablą zaczynało się od najpierwszego dzieciństwa i trwało do późnej starości: według starodawnego, rycerskiego obyczaju, chłopca do chrztu niesiono na gołych szablach, na znak, że jest dziedzicem rycerskiego rodu, że powinien wiernie stać przy szabli i z nią zstąpić do grobu. Matki do snu kołysały chłopców pieśniami bojowymi:

Ojcowską zbroję włóż mu pod głowę,  
Do snu mu pieśni śpiewaj bojowe,  
Niech już w kołysce marzy zuchwale  
O dawnej sławie, o przyszłej chwale.

Pierwsze zabawy chłopca związane były z koniem najpierw z fikcyjnym, potem z rzeczywistym. Zaledwie chłopak nauczył się łązić na czworakach, przypełzał do kolan ojca lub innego mężczyzny, wdrapywał się na nie i usiadłszy na nich okrakiem, harcował to prędzej to wolniej, niby na prawdziwym rumaku. Zabawę tę zresztą nie mniej lubią i dzieci dzisiejsze i tak samo śpiewa się im, jak niegdyś:

Jedzie pan, pan, pan,  
Na koniku sam.

A gdy już chłopak chodził i biegał o własnej sile, wówczas kolana ojcowskie zastępował mu kij,



który przedstawiał tę wyższość, że na nim można już było przenosić się dowolnie z miejsca na miejsce i harcować na prawdę, udając tętent konia głośnem tupaniem. Albo też chłopak sprzęgał czwórki, trójki lub pary z rówieśników, kielznając ich nicią albo szpagatem i pędził z nimi jak wiatr, po łąkach i polach. Jeśli w takim zaprzęgu znajdowały się dziewczęta, to warkocze ich służyły nieraz za lejce, czyniąc zbytecznymi wszelkie sznury.

Gdy chłopak podrośł, sadzano go na prawdziwego konia i odtąd nie rozstawał się on już z nim nigdy: z uzdą czy bez uzdy, na siodle czy oklep, w towarzystwie starszych czy samopas, spędzał on na nim wszystkie wolne chwile. A choć nieraz dostawał porządną wymówkę za zbytne zziąjanie konia, na ogół jednak patrzano przychylnie na tę rozrywkę, krzywiąc się raczej, jeżeli chłopak nie okazywał do niej popędu, co zresztą zdarzało się chyba wyjątkowo.

Gdy poznasz w dziatkach, że z nich będą męże,  
Cackiem ich nie tuł, daj konia, oręże.

Nic też dziwnego, że zacząwszy ćwiczyć się w konnej jeździe od najwcześniejszego dzieciństwa, każdy młodzieniec posiadał wszystkie tajemnice sztuki jeździeckiej, że hasał i harcował na koniu niezrównanie. Gdy przyszło do jakiego popisu, ani koń, ani jeździec nie potrzebowali się powstydić.

Pod nogami koń rażny, dzielny i chodziwy,  
Na łabędzim swym karku pojeżywszy grzywy,  
Widząc, że młodość dźwiga i co ma za jeźdźca,  
Stać spokojnie nie zdołał, lecz na miejscu z miejsca

Stąpił, jakby kolące mrowie poczuł w nodze  
I gładał <sup>1)</sup> bezustanku upienione wodze.

A starym serce rosło, gdy widzieli takiego młodziana na koniu. Nawet widok dziewczyny jadącej konno radował ich umysty.

Milej patrzeć, gdy dziewczka na koniu harcuje,  
Niż kiedy gonionego z gołębem <sup>2)</sup> tańcuje.

Na młodych, nie umiejących lub nie lubiących jeździć konno, patrzano z pogardą. Wacław Potocki, utyskując na upadek ducha rycerskiego, powiada:

Rodzą się ludzie młodzi, których nie do koni  
Ojciec, ani do szabli i kopiejej skłoni;  
Ale skoro go z pieluch piastunkami między <sup>3)</sup>  
Wychowa, toż do roli, flisu <sup>4)</sup> i pieniędzy;  
O wojnie chyba z książek wiedzieć mu się zdało  
To tylko, że, gdy biją, to będzie bolało.

#### A i Kochanowski radzi:

Niech jeno ojciec raczej przyniewoli  
Syna do trąby, a nie do violi <sup>5)</sup>  
Niechaj go raczej widzi w siedle.  
Na dobrym siekielczyku <sup>6)</sup>, a nie przy zwierciedle

---

<sup>1)</sup> Gładał — gryzł.

<sup>2)</sup> Goleniec — znaczy gołowąs, młodzieniec nie mający jeszcze zarostu.

<sup>3)</sup> «Piastunkami między» zamiast «między piastunkami».

<sup>4)</sup> Flis — oznacza tu sprzedawanie zboża, bo flisacy odwozili je Wisłą do Gdańska.

<sup>5)</sup> Viola — skrzypce, w znaczeniu muzyki tanecznej pokojowej, a nie wojennej (trąby).

<sup>6)</sup> Sekel albo siekiel, zdrobniale siekielczyk — dobry koń węgierski.

Wyćwiczony w konnej jeździe młodzieniec, zaciągał się pod chorągiew i konno służył ojczyźnie, zdobywając sławę i tytuł kawalera. Kawaler, wyraz



Szkoła szlachcica polskiego.

A. Grottger.

włoskiego pochodzenia, oznacza dosłownie jeźdźca na koniu; przez naszych przodków używany był jako miano dla młodzieńca męznego, rycerskiego i cnotli-

wego. Nazwy kawalera nie godzien był człowiek, który «w kącie szablą krajał wiatry», ani taki, który się splamił niegodnym czynem.

Gdy kawaler chciał się już ożenić i osiąść na roli czyli, jak się to mówiło: «szukał, by gdzie konia rozkulbaczyć», wówczas wyruszał konno w zaloty. Konno odwiedzał dom swej bogdanki, na czas odwiedzin przywiązując rumaka do kółka przy słupie, który dla wygody gości zawsze znajdował się na dziedzińcu każdego domu. Jeśli zaloty były mile widziane przez rodziców i pannę, wtedy odczepiano konia od słupa i przywiązywano do kółka przy okiennicy: znak to, że konkurent był przyjęty.

Wówczas zaczynano się przygotowywać do ślubu, do którego panna młoda jechała w kolebce lub innym powozie, pan młody jednak znowu konno.

Ale i po ślubie, chociaż pan młody dość «się już wymieszkał na łęku, nie doma», chociaż miał już «gdzie rozsiodłać konia», i pracował gorliwie koło roli, nie rozstawał się jednak z towarzyszem bojów i na pierwsze hasło o potrzebie ojczyzny, dosiadał go i ciągnął w pole, do swej chorągwi. A zdarzało się nieraz, że wypadalo mu opuścić żonę i dom prawie że wprost od ołtarza, jak to się przytrafiło Chodkiewiczowi zaraz po ślubie:

Jeszcze swej hymen nie zgasił pochodni,  
Kiedy goniec wieść mu daje:  
Że z licznym ludem ciągnie sultan wschodni  
I nad brzegiem Dniepru staje.  
Ustały gody, świetne widowiska,  
Choć żalność wodza przenika,  
Tonącą we łzach małżonkę swą ściska,  
I wsiada na koń i znika.

Zresztą jeśli go nawet wojenka nie zaskoczyła tak zaraz po ślubie, to chwile wolne od zajęć rolnych spędzał konno na łowach. Zżywał się więc tak każdy Polak z koniem, że później, gdy już przyszła starość i ociężałość, jeszcze nie chciał rozstawać się z wiernym towarzyszem całego życia, jeszcze dosiadał rumaka, aż dopiero wreszcie, gdy

Już bardzo na leciech zeszło,  
Przesiadł się z konia na krzeszło.

Starcy kilkudziesięcioletni jeździli konno nieraz tak pewnie i śmiało, jak młodzieńcy: Mikołaj Odrowąż Pieniążek, mając lat ośmdziesiąt, w zbroi husarskiej na konia wskakiwał bez pomocy strzemion i harcował na nim wybornie. Jakób Rubinkowski brał udział w wyprawie przeciwko Turkom, jako starzec dziewięćdziesięcioletni, uganiał się konno za nieprzyjacielem i zgładził napastujących dwu Turków cięciem pałasza.

Tylko, że taki podeszły w lata starzec zwykle już nie umiał wskoczyć na konia bez strzemion, jak ów Pieniążek, a częstokroć nie miał nawet siły dźwignąć się na strzemionach. Wówczas dosiadał konia ze stołka lub klocka, jak to powiada Pol o Mohorcie:

Miarkując z tego, co sam opowiadał,  
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył,  
Jakoż na konia z klocka tylko siadał.

Stołka lub klocka do wsiadania używali także ludzie otyli, co się nieraz zdarzało wśród szlachty, zwłaszcza nieco starszej wiekiem. Stołkiem posiłkował się Jan III, któremu tusza nie dawała już dosiąść

konia w zwykły sposób, a rycerski animusz nie pozwalał wyrzec się tego sposobu jazdy. Gdy król ciągnął pod Wiedeń, masztalerz jego wioził w trokach taboret, po którym Jan III wsiadał na swego słynnego «Pałasza».

Gdzieindziej ludzie otyli zarzucali zupełnie jazdę konną, w Rzymie zbytnia otyłość stanowiła nawet powód do wykreślenia wojownika z liczby rycerzy (Equites), u nas jednakże najotyłsi ludzie doskonale jeździli konno, musieli tylko dobrać odpowiednio silnego rumaka, któryby mógł ich dźwigać bez szkody dla siebie. A trwało to do ostatnich prawie czasów.

Nie tak dawno, bo zaledwie przed kilkudziesięciu laty, za czasów Królestwa kongresowego (po r. 1815) cztery pułki ułańskie, a więc lekka jazda, dowodzone były przez czterech najotyłszych pułkowników w całej armii. Niemcy, drwiąc z tego zbiegu okoliczności, puścili w obieg karykaturę, przedstawiającą przesadnie czterech otyłych dowódców, z podpisem: «leichte polnische Cawalerie», to jest «lekka jazda polska».

Jeden z tych pułkowników, późniejszy generał Dwernicki, obrażony tem szyderstwem, pojedynekował się z kilku Niemcami i przekonał ich, że otyłość nie przeszkadzała mu dobrze robić pałaszem.

Ta właśnie wytrwałość starych i otyłych ludzi w dosiadanu konia dowodzi najwyraźniej, jak dalece byli oni przyzwyczajeni zawsze i wszędzie występować na koniu, jak dalece byli z nim zżyci. Słusznie też lud na Rusi związał tak ściśle pojęcie Polaka

z koniem, że aż uwiecznił to w przysłowiu: «Lach bez konia, jak ciało bez duszy, jak chłop bez świni, żyd bez kozy, a gospodarstwo bez kota na zapiecku».

---

### III. Zamilowanie i przywiązanie do koni.

Przez nieustanne życie razem, przez dzielenie złej i dobrej doli, zawiązywał się między panem a koniem tak ścisły i przyjacielski stosunek, że byli oni już nie jako dwaj towarzysze, ale jak dwaj najserdeczniejsi przyjaciele, którzy nie mogli żyć bez siebie. Koń rżał radośnie na widok pana i tęsknił doń w czasie jego nieobecności; pan dzielił się z nim smutkami i radościami, nieraz szukał przy nim pociechy w nieszczęściu.

Mohort, w poemacie Wincentego Pola, gdy wstał z ciężkiej choroby, w jaką był zapadł po stracie narzeczonej, usłyszał rzenie konia. Dodało mu to otuchy:

Wchodzę do stajni, a tutaj, jak na to,  
Kości kulbaczone rwie się koło żłobu.  
Patrzę — mój własny — «o, czas dla nas obu!»  
W skrytości serca pomyślałem sobie,  
I siadłem na koń powoli po żłobie,  
Parsknął z radości, nie było nikogo,  
A więc z dziedzińca puściłem się drogą  
I ciąglem jechał w świat ku jednej stronie,

aż oparł się wreszcie na «Dzikich polach», na kresach wschodnich, gdzie zaciągnął się pod chorągiew, przy której pozostał już do końca życia.

«Koń dobry—zdrowie ludzkie», a przynajmniej «połowica zdrowia», powiadano, chcąc wyrazić zamiłowanie do koni. Ale dawny szlachcic, rycerz nie kochał się w koniu bezmyślnie i do szaleństwa, nie uważał go za bawidelko, na które jedynie można patrzeć, które należy pieścić i cackać się z nim tylko. Przeciwnie, był to dlań najpierwszy towarzysz i przyjaciel, o którego trzeba było dbać, ale którego cała wartość polegała właśnie na usługach i pracy wspólnej.

W koniu się kochać, na harc nie wyjeżdżać na nim,  
Toż co gdakać, jaj nie nieść: było mądrych zdaniem.

Był nawet, niestety, czas, kiedy u pewnej liczby szlachty, umiejętnego masztalerza do koni ceniono wyżej i płacono lepiej, niż nauczyciela do dzieci. Ale też trzeba dodać, że działo się to wtedy, kiedy zaczynał się psuć ustrój Rzeczypospolitej i kiedy tracono poczucie rzeczywistych potrzeb kraju.

Szymon Starowolski, ten sam, który przepowiedział upadek szwedzkiemu najeźdźcy Karolowi Gustawowi, upominał rodaków i karciał takie poglądy: «jeżeli płacim drogo kawalkaterowi co nam konia ćwiczy, a czemuż nie mistrzowi, co mi syna uczy?»

Koń stanowił wogóle najcenniejszy rodzaj podarków, jakimi się obdarzano. Polacy brzydzili się zawsze skąpstwem:

Skąpiec jest, jako na skale jagody,  
Ludziom nic po nich, jeno wronom gody.

Lubiono też obdarowywać przyjaciół, a za najszacowniejszy podarunek uchodził zawsze koń, zwłaszcza «z rzędem». («Dać komu konia z rzędem»). Obda-



rowywała się zatem wzajemnie szlachta, wielcy panowie; obdarowywali królowie poddanych, jak również monarchów państw sąsiednich, i sami także brali dary w koniach.

Szymon Olelkowicz, zarządca ziem kijowskich, czując się blizkim śmierci, posłał w darze Kazimierzowi Jagiellończykowi białego konia, na którym niejednokrotnie stawał do boju w jego obronie.

Stanisław Górka, gdy gościł w swym zamku Henryka Walezyusza, ofiarował na wyjeźdźnym dzielne konie królowi oraz przedniejszym Francuzom z jego orszaku. Zygmunt Waza na zjeździe z arcyksięciem Maksymilianem w Krasnymstawie ofiarował mu «karetę kosztowną z woźnikami<sup>1)</sup> i ze wszelkim sprzętem, a w niej ośm koni białych farbowanych na żółto prawie cudnie, cztery konie tureckie i dwa jednochodniki<sup>2)</sup>». Arcyksiążę odwdziczył się również podarowaniem wybornych rumaków.

Na wołowej skórze by nie spisał cennych koni, którymi obdarzali się monarchowie i panowie polscy. Polacy lubili się obdarzać, a daru, zwłaszcza od przyjaciela nie godziło się odrzucić: «kto dary odrzuca, odrzuca i dawcę z nimi». Wogóle jednak dar nie powinien był przechodzić zamożności obdarowanego, nie powinien być tak wysoki, żeby ten nie mógł się oddarować, chyba że obdarowującym był król, hetman lub inny zwierzchnik. Konia zresztą można było przyjąć w darze prędzej, niż co innego.

---

<sup>1)</sup> Woźnik — koń pociągowy.

<sup>2)</sup> Jednochodnik — koń chodzący jednochodą, to jest podnoszący w biegu jednocześnie obie nogi z tej samej strony.

Mohort, w poemacie W. Pola tejże nazwy, ofiaruje wspaniałego konia ze swej stadniny księciu Józefowi Poniatowskiemu, a także obdarowuje końmi towarzyszy ze swej chorągwi.

Gdy król w nagrodę jego zasług chce mu ofiarować krzyż wojskowy, rotmistrzowską buławę i ukraińską slobodę — Mohort nie przyjmuje tych darów, bo jak powiada:

Chrzest — to sakrament niczem niezmazany;  
Ja na chrzcie świętym wyparłem się czarta  
I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany...  
Więc po raz wtóry krzyża wziąć nie mogę.  
Co do buławy, zaszczyt to rycerski,  
Ale w chorągwi rotmistrzem pan Kierski,  
A ja chorągwi mojej nie porzucę,  
Bom w niej zestarzał, Miłościwy Panie!  
A co do ziemi, to jej mam nie mało;  
A jeśli zresztą w życiu jej nie stało,  
To jej dodadzą po śmierci, i stanie.

Przyjął jednakże bez wahania konia z rzędem, którego mu król ofiarował na wyjeźdnem, takiego bowiem daru rycerzowi nie godziło się odrzucić.

Zdarzały się jednak wypadki, gdy koń był zbyt sutym darem, aby go można było przyjąć, jak w wypadku opisanym przez Wł. Syrokomlę w gawędzie «Tręzłowe».

Stary, niezbyt zamożny szlachcic, Bardysz, ofiarował kasztelanowi charta, który się temu panu podobał na łowach; nie chciał go jednakże sprzedać i wziąć zań pieniądze. Kasztelan posądził go o chciwość, o chęć otrzymania bogatszego podarku w zamian, a że był to pan dumny, posłał mu więc wspaniałego konia, prosząc, aby

Wdzięcznem sercem przyjąć chciał  
Kasztelańskich fawor łask.

Bardysza uraził taki dar, ofiarowany z całym okazaniem pańskiej łaski, ale że odrzucenie go mogłoby wyglądać na domaganie się jeszcze większego, przyjął go więc pozornie, podziękował, i koniuszemu, który przyprowadził konia, sam dał parę pistoletów, jako tręzłowe<sup>1)</sup>). Postanowił jednak przed tem pokazać ich celność, wziął na cel łeb rumaka otrzymanego w darze, strzelił i zabił go na miejscu.

Teraz kwita! — Bardysz powie: —  
Nie zawstydzą nas panowie,  
Ma kasztelan żart za żart.  
To, coś widział, odnieś doń:  
Co inszego rączy chart,  
Co inszego dzielny koń,  
Od bogatych większy dar  
Mnieby wstydził ze wszech miar.  
Jam żołnierskiej człek natury,  
Lubię pościel z końskiej skóry:  
Upominek mi się zda,  
Ale zysków, Boże broń!  
Warta charta skóra ta,  
A za drogi byłby koń.

Konia więc godziło się brać w darze tylko wtedy, gdy albo stanowił on nagrodę jakiejś rzeczywistej zasługi, albo też gdy obdarowany mógł się odwdziaczyć tem samem. Dar to był ze wszech miar cenny, jeden z najcenniejszych!

Ale chociaż szlachcic polski lubił obdarować suto i chętnie ofiarowywał innym konie, na jedno nie

---

<sup>1)</sup> Tręzłowe był to podarunek, który dostawał ten, co przyprowadzał konia, ofiarowanego w darze.

byłby się nigdy zdobył, na oddanie komukolwiek swego bojowego rumaka, towarzysza wiernego wypraw wojennych i przyjaciela od serca. Takiego konia można było ofiarować jedynie w godzinę śmierci, jak ów Szymon Olekiewicz swemu królowi lub swemu najlepszemu przyjacielowi albo synowi.

Takiego konia rycerz umierający zegnał jak najlepszego przyjaciela. Gdy Stefan Czarniecki umierał i był

Już blizki zgonu, rzekł: «Niech koń mój biały  
Wejdzie jeszcze do tej chaty».

Wstępuje rumak, rząd na nim wspaniały  
I obok tarczy buzdygan bogaty;

Siodło sajdkaków pyszne dźwiga brzemię.  
Lecz widząc pana, głowę spuścił w ziemię.

Wódz rzekł do giermków: «Dla mojego wnuka  
Niechaj się koń ten zachowa,

Niechaj rycerskiej sławy na nim szuka,  
Niechaj pamięta te słowa:

Kto kraj swój kocha i Boga się boi,  
Ma szablę, konia, o resztę nie stoi».

Koń ten zresztą, jak podanie głosi, nie przeżył swego pana: «gdy chorego złożono w głównej komorze chaty (w Sokolówce na Podolu), koń nie chciał ani pić, ani jeść, nogami w ziemię bijąc, wzdychał i jęczał, a na wchodzących oglądał się, niby stworzenie rozumne. A gdy hetman skonał, za hetmanem poszedł niebawem i wierny rumak. Przeczuł śmierć pańską i upadłszy, stękając, zdechł, nie chcąc innego cierpieć jeźdźca».

Jeśli zaś pan przeżył konia, to stratę jego liczył do boleśniejszych i czcił pamięć jego nieraz rymami, a czasem stawiał mu nawet nagrobek.

Tym cię uczył marmurem twój pan żałośliwy,  
Pomnąc na twoją cnotę, glinko białogrzywy<sup>1)</sup>,

pisze Kochanowski. Pasek zaczyna swe pamiętniki wierszem poświęconym pamięci ulubionego konia bojowego. Franciszek Morawski, generał i poeta już z późniejszych czasów, pisze wierszowane wspomnie-



Stefan Czarniecki żegna konia.

J. Kossak.

nie o ulubionej swej klaczy Wilczatej, mówiąc:

«...żał mi

Starej sługi w szkapie w przymioty bogatej,  
Bo wreszcie cóż ja będę znaczył bez Wilczatej?

<sup>1)</sup> Maść gliniasta oznacza żółtawą, pojawiającą się nieraz u koni po tatarskich bachmatach. Koń maści gliniastej z białą grzywą (glinka białogrzywy) uchodził za lotnego i zwinnego i był ulubionym koniem lekkich chorągwi.

Po Wilczatej mnie znają, kiedy po obiedzie  
Stare jeneralisko na wizytę jedzie,  
Po Wilczatej mnie znają, kiedy z karym w parę  
Odwożę do spowiedzi moje grzechy stare.  
Wlokłem się, marząc sobie, że gdy zejdem z świata  
Aż do grobu mię moja odwiezie Wilczata.  
Tak się to z losem ludzkim wiązą losy szkapie».

Słowem, gdziebądź sięgniemy do dawniejszych czy późniejszych pomników naszej literatury, do podań, pieśni czy przysłów, wszędzie znajdziemy tysiączne wzmianki o koniu, tysiączne dowody na to, jak ważną rolę odgrywał on w życiu naszych przodków.

Memoryał z XVII w. noszący tytuł «Ku pamięci dobremu człeku» składa się z 25 sentencji, w których 6 zawiera wzmiankę o koniu. W 18 centuryach (setkach) przysłów Rysińskiego znajduje się tyle dotyczących się konia, że z nich można ułożyć całą jedną centurę. Przeglądając zbiór polskich przysłów, sporządzony przed kilkunastu laty przez S. Adalberga, przekonywamy się, iż największa ich ilość, bo przeszło 400, stosuje się do Boga, a potem zaraz idą: koń, szczęście, chleb i pies, przyczem każdy z tych wyrazów liczy do 300 przysłów.

W nazwach miejscowości koń pozostawił również liczne ślady, że wspomnimy tu tylko ważniejsze i bardziej znane, jak Konin, Końskie, Koniuchy, Koniuszki, Końskowola, Końskie wody, Odrzykoń, Kobylnik, Kobyliny, Kobyle góry, Kobylki i wiele, wiele innych.

Ze wszystkiego zatem widać, jak koń był u nas pospolitem, ważnem, koniecznem stworzeniem, jak

cały przebieg życia wiązał się z nim ściśle, jak za niemożliwe uchodziło dopiero to, czego na koniu i z koniem nie można było dokazać: «nie wyorzysz jutra pługiem, nie dogonisz wczora cugiem».

---

#### IV. Zalety i wady koni.

Koń zawdzięcza nie jedną zaletę umiejętnym staraniom człowieka i tyłowiekowemu wspólnemu z nim pożyciu, ale z drugiej strony trzeba też przyznać, że te główne przymioty, które w nim człowiek udoskonalił, koń posiadał już w swojej naturze i że człowiekowi przypadło w udziale jedynie dalsze ich rozwinięcie.

Cała budowa konia wskazuje wyraźnie, iż jest to zwierzę stworzone do biegania i że nie łatwo mierzyć się z nim w rączności. Naprawdę, nie było też nawet komu mierzyć się, dopóki człowiek nie wymyślił różnych maszyn, przenoszących się z miejsca na miejsce daleko szybciej, niż najbardziej wiatronogi rumak. Inne rączne zwierzęta, jak jelenie lub antylopy nie dorównywają pod tym względem koniowi, a nawet i struś nie zawsze może umknąć przed nim.

Tak doskonała jest jego budowa i tak wysokim uzdolnienie w kierunku największej lotności, że bez wielkiej przesady można powiedzieć, iż buja on z wiatrami w zawody!

Maryan Czapski, wielki znawca koni i autor obszernej «Historii powszechnej konia», opisuje w na-

stępujący sposób budowę tego zwierzęcia i jego wysoką zdolność do szybkiego biegu:

«Głowa jego jest lekka i równie wolna od mięsistych oraz kostnych wybijałości, właściwych zwierzętom gruboskórym, jak i od rogowych wyrostków zwierząt przeżuwających. Jego grzywa i ogon zdaje się do lotu być mu pomocą. Obszerna jego klatka piersiowa jest równie mało skłonna do przyjęcia tłuszczowych narostów, jak wszystkie inne części ciała. Jego mięśnie są energiczne i sprężyste, kości cienkie, lecz zbite, kopyto twarde, lecz elastyczne. Nareszcie jest to jedyne na ziemi stworzenie, którego każde narzędzie ruchu, aby jak największą osiągnąć lekkość, w jeden zbiega palec. W pędzie koń ledwie parą punktami dotyka ziemi i bez pomocy skrzydeł Pegaza prawdziwego lotu darzy nas rozkoszą. Jest to na palcach bujająca królestwa zwierzęcego baletniczka».

Istotnie w całym państwie zwierzęciem tylko rodzina koni posiada nogi, zakończone jednym palcem, uzbrojonym w kopyto, on więc tylko jeden ma tę lekkość odrywania nóg od ziemi, którą tak obrazowo określa przysłowie, mówiąc o koniu szybko pędzącym, że «rwie z kopyta».

Wprawdzie do tej samej rodziny, co i konia, zaliczamy także osła, który tak samo jest zwierzęciem jednokopytnym. Nie może on jednak równać się z koniem ani rącznością, ani doskonałością budowy, ani pojętnością i szlachetnością charakteru. A chociaż stał się bardzo pożytecznym zwierzęciem w wielu krajach, zwłaszcza dla małej wybredności w jadle, ni-



gdy jednak nie można go stawiać, jako rumaka, na równi z koniem:

Osiół w bogatym niechaj chodzi rzędzie,  
To pewnie nigdy dzianetem<sup>1)</sup> nie będzie.

Wśród wszystkich zalet konia pierwsze miejsce zajmują: rączność, strojna postawa i lekki chód, im bowiem koń zawdzięcza swe stanowisko, jako rumak, o nie głównie dobija się każdy posiadacz tego zwierzęcia.

Koń jedynie stworzon ku bieganiu,  
Jako człek ku pracy, a ptak ku lataniu.

Ze wszystkich koni sławą największych szybkobiegaczy cieszą się konie arabskie i angielskie, będące niejako ideałem lotności.

Z licznych przykładów rączności tych koni podamy tutaj parę. Według opowiadania generała Daumase, arabska klacz Mordżana, którą wprowadzono ukradkiem, aby nie była ofiarowana Bejowi algierskiemu w darze, przebyła w ciągu doby przeszło 380 kilometrów (koło 54 mil polskich) i przez cały ten czas raz tylko była pojona i raz posilała się liśćmi palmy karłowatej, którą, co prawda, ogryzła doszczętnie.

Angielskie konie, tresowane wyłącznie do wyścigów, osiągają na ogół większą szybkość i odznaczają się większą rącznością od arabów. Szybkość, osiągnięta przez nie bywa częstokroć nieprawdopodobna: na krótkiej mecie dorównywają one szybko-

---

<sup>1)</sup> Dzianet — piękny koń hiszpański.

ścią pociągom pośpiesznym. Flying Childers, słynny wyścigowiec, robił po 14,25 metrów na sekundę, co odpowiada 52 kilometrom (7 mil na godzinę), a West-Australian przebiegł 15 metrów na sekundę, to jest prawie 54 kilometry na godzinę.

Taką szybkość osiągały konie angielskie na wyścigach, a więc w biegu, trwającym stosunkowo nie nazbyt długo; znane są jednak wypadki niezwyklej ich ręczności oraz wytrzymałości na większej przestrzeni. Przytoczymy tu jeden tylko przykład, wzięty zresztą nie ze stajen bogatych lordów, utrzymujących wspaniałe rumaki, ale ze świata... złodziei.

W połowie XVIII w. żył w Anglii słynny złodziej Dick Turpin, który miał bardzo piękną, czarną jak kruk klacz, nazwiskiem Black-Bess. Odznaczała się ona taką ręcznością, iż Dick po dokonaniu kradzieży przenosił się z nią w parę godzin do tak odдалonej miejscowości, że nie sposób było przypuścić, aby koń mógł przebyć taką przestrzeń w tak krótkim czasie. I dlatego nie można mu było nigdy udowodnić kradzieży.

Klacz ta zakończyła życie w sposób bohaterski.

Pewnego razu Turpin, ścigany przez trzech żandarmów na doskonałych koniach, zrobił na niej w ciągu jednej nocy koło 200 kilometrów i wymknąwszy się z Londynu o godzinie 7 wieczorem, stanął rano o 6 w Yorku. Żandarmi zmieniali konie 7 czy 8 razy, ale nie mogli go doścignąć. Turpin więc uniknął schwywania, ale klacz jego padła nieżywa u bram Yorku. Bieg ten jest tem bardziej godny podziwu, iż dniem wprzód odbyła już ona

wielką podróż, a także, iż w ciągu tego pościgu nie jadła i nie odpoczywała. W kilkadziesiąt lat później (w r. 1823) niejaki pan Osbaldiston przebył wprawdzie na skutek zakładu tę samą drogę w 6 godzinach i 40 minutach, ale zmienił przytem konie 8 razy.

Konie polskie nie dorównywały w szybkości angielskim wyścigowcom, w każdym jednak razie odznaczały się również rącznością i wytrzymałością.

Gabryel Rzączyński w napisanej po łacinie «Historji naturalnej» tak się wyraża o koniach polskich: «Całe Królestwo polskie karmi niezliczone prawie stada rącznych koni, które w lotności i strojności za ledwie hiszpańskim i tureckim ustępują, w sile zaś daleko je przewyższają».

O koniach polskich mówiono:

Były tak prędkie, że piasku po ziemi  
Ledwie tykały nogami rączemi.

Zdawało się, że z powodu swej rączności mogły one bez obawy biegać przez ogień.

Konie by te żartkością w ogniu nie splonęły,  
Bo po zbożu latając, onego nie tknęły.

Bystrego konia nazywano barzym i szczycono się z jego posiadania. Właściciel barzego konia dumny był ze swego rumaka, i dlatego mówiono «wsadzić na barzego» to znaczy wbić kogo w dumę i «zsadzić z barzego» upokorzyć kogo.

Nie można się dziwić, że takiego konia ceniono, bo wygodniej i szybciej jeździło się na nim: «konia rączego chlustać nie trzeba», przeciwnie «koniowi

bystremu munsztuka, nie ostróg trzeba». Koń bystry dłużej zachowuje swą wartość: «koń bystry, ptak lotny — nie mogą ładajako obrócić się z czasem» to znaczy długo zachowują szlachetne własności.

Wzmianki o rączości koni polskich nie są samochwalstwem, bo i cudzoziemcy przyznawali im tę zaletę.

Znana lotność oddziału Czarnieckiego, który w niepojęty prawie sposób przenosił się z Gdańska pod Kraków i odwrotnie i zjawiał się nagle tam, gdzie go nawet nie można było się spodziewać.

Henryk Walezyusz również nie mógłby wystawić złego świadectwa koniom polskim, skoro właśnie na karej klaczy ze stada poprzednika swego Zygmunta Augusta umknął tak skutecznie przed pościgiem wiernych poddanych.

Wybrany Henryk nie długo nam włada;  
Gdy o śmierci brata słyży,  
Rączego konia natychmiast dosiada  
I samotrzeć w nocnej ciszy,  
Gdy w śnie głębokim wszystko pogrążone,  
Nieścigłym pędem dąży w obcą stronę.

Słynna jest także jazda Sędziwoja, starosty Krakowskiego, który będąc zatrzymany przez królowę węgierską, matkę naszej Jadwigi, umknął i w ciągu jednej doby stanął w Krakowie, ujechawszy 60 mil węgierskich, które są nieco dłuższe od polskich. Trzeba jednak dodać, że Sędziwój przygotował się był do ucieczki zawczasu i że udało mu się wyprawić wpród konie i porozstawiać je po drodze, zmie-

niał więc rumaki kilka razy. Nie mogą zatem jego konie w żadnym razie równać się z klaczą Turpina.

Za to bezwzględnie zasługuje na podziw koń Wojciecha Łaskiego, wojewody sieradzkiego. Łaski, nie zmieniając konia, odbył w ciągu doby drogę z Krakowa do Wiednia. Jak na jednego konia jest to podróż nielada, skoro dziś zwykłym pociągiem trzeba zużyć na tę drogę kilkanaście godzin. Ale i hart Łaskiego, który całą dobę wytrzymał na pędzącym koniu, zasługuje na niemniejszy podziw.

Zresztą wogóle średnia zwykła szybkość polskich koni była dość znaczna: koń zwyczajnie idąc stępa, robił bez utrudzenia pół mili na godzinę, klusem podróznym—całą milę, sporym klusem—dwie, a cwałem cztery. Taką przestrzeń przebiegały nieraz chorągwie pancerne, pomimo iż konie ich musiały dźwigać jeszcze ciężar jeźdźców uzbrojonych.

Już to samo wskazuje nam na drugą zaletę konia — jego siłę i wytrzymałość. Dźwiganie ogromnego, uzbrojonego rycerza, przebieganie pod nim w płdzie znacznych przestrzeni, wymagało potężnej siły. Koń posiada też ją w istocie, a przysłowie określa tę jego siłę krótko a dobitnie, mówiąc: «by koń o swej sile wiedział, żadenby na nim nie siedział».

Niepospolitej też siły musiały być konie, dźwigające husarzy w pełnej zbroi, albo chociaż i te, których dosiadali pułkownicy, szyderczo przezwani przez Niemców «lekką polską kawaleryą». Nie wiemy, jak wyglądały, ani jak się zwały konie Bolesława Chrobrego, który, jak wiadomo, odznaczał się potężnym

wzrostem i tuszą. Ale za to dochowała się wiadomość o rumakach innego króla z późniejszych czasów, nie mniej okazałej postawy — mianowicie Jana Sobieskiego. Z koni tego monarchy znany jest szczególnie płowy «Pałasz», który Janowi III życie pod Parkanami ocalił i który w rozprawie pod Wiedniem przez cały dzień dźwigał na sobie olbrzymią postać króla. Tegoby już żaden anglik nie dokazał!

Wielką zaletę konia stanowi także jego męstwo, wskutek którego nadaje się on doskonale na zwierzę bojowe. Koń nie należy do stworzeń tchórzliwych i w razie potrzeby potrafi stanąć mężnie, czy to w obronie własnej, czy całego stada. Dawniej, gdy trzymano u nas w wielu miejscach całe stada pasące się na stepach w stanie napół dzikim, konie takie musiały nieraz staczać walki z wilkami, bronić się od napadu tych drapieżników, i czasami wychodziły zwycięsko z tych bojów. Zdarzało się często, że

Podnosząc nogę ogier ochotnie,  
Z całej siły jak wilka grzotnie,  
Z paszczy narobi bigosu.

Za miarę dzielności konia, służyło zachowanie się jego wobec obnażonej broni i za dzielnego uchodził taki, który nie obawiał się nacierać na nią, albowiem, jak powiada przysłowie, «koń na żelazo, lew na ogień, wilk na powróż — nie radzi nacierać». Jeśli więc koń nie obawiał się białej broni, godzien był zostać rycerskim rumakiem, można było bez obawy wyruszać na nim do boju.

Obok urody, rączości, wytrzymałości i męstwa ceniono niemniej zmyślność konia oraz zalety jego



Wyścigi na jarmarku.

<http://rcin.org.pl>

J Brandt.

charakteru, i wśród nich na pierwszym miejscu stawiano łagodność i powolność woli jeźdźca: «koń z urodą powolny, sługa z dzielnością pilny—muszą u mądrych w łasce być».

Zmyślność koni wyraża się przede wszystkim w ich zdolności poddawaniu się tresurze, a najbardziej rzuca się w oczy u koni wojskowych i cyrkowych. W Polsce uczono konia różnych sztuk, jak wchodzenia na schody, nadzwyczajnych skoków i t. p. więcej atoli wagi przywiązywano do jego mądrości bojowej, do umiejętności zżycia się z jeźdźcem, odgadywania jego woli i ułatwiania mu ciężkich trudów bojowych.

Za dowód zmyślności może także posłużyć wielkie przywiązanie koni do swych panów, które sprawia, iż tęsknią one do nich lub giną po ich śmierci, jak koń Czarnieckiego. Przywiązanie to pięknie wyraża piosenka ludowa, «o żołnierzu tułaczu», który padł na wojnie, a «konik jego, wedle niego, grzebie nóżką, żałuje go; i wgrzebał się po kolana, żałujący swego pana».

A czyż nie był zmyślnym słynny koń Tadeusza Kościuszki, który przyzwyczaiwszy się, iż pan jego wspierał zawsze nędzarzy, stawał sam z siebie przed każdym spotkanym biedakiem i nie ruszył dalej, dopóki ten nie dostał wsparcia?

Słowem, koń posiada dużo zalet i słusznie zdobył sobie tak wielkie uznanie u ludzi. Nie można jednak powiedzieć, aby był zupełnie bez wad. Dawne przysłowie powiada: «trudno o konia z wszystkimi przymioty», i rzeczywiście większość koni po-



siada te lub owe wady i braki, które nieraz mogą znacznie nawet obniżać ich wartość.

Przedewszystkiem nie wzbudzał zaufania koń zbyt chudy «konia chudego, pacholka obdartego, zalecić ludziom trudno». A jeszcze mniej wart koń kaleka: «konia chromego (albo ślepego), psa leniwego, chłopca pijanego—jednakie pożytki zawsze». Konia chorego, a nawet kalekę można wprawdzie nieraz wyleczyć, ale nie będzie to już koń zdrowy i dzielny w całym znaczeniu tego wyrazu: «na lekowanym koniu daleko nie pojedziesz».

Za wadę w koniu uważano kręcenie ogonem w biegu, czyli jak się to mówiło, «dryndanie chwostem». Koń taki, jak powiadano, chciał samym ogonem odprawić to, co mu każą robić czterema nogami. Utrzymywano też, że nie wiele zrobi «koń ogonem kręcący, jak i myśliwy pogody czekający».

Wielką wadę stanowiły słabe nogi, potykanie się, bo z takiego konia jeździec mógł łatwo przelecieć przez głowę, a zresztą, jak pędzić do boju na takim koniu? Wada ta najczęściej przytrafia się u koni starszych, steranych wiekiem i pracą: «stary koń pacierz mawia i klęka do przysięgi» — to znaczy, wargi mu kłapią i często potyka się. Na koniu takim nie należało jeździć: «pierwsze tylko potknięcie miało odpuszczenie», ale «drugi raz na jednym potknąć się nie rozum». Nie mniej ważnymi były różne wady charakteru koni czyli narowy. «Konia z narowem, chłopca z uporem—bodaj nikt nie miał».

Konie narowiste miały rozmaite wybryki. Jedne z nich lubiły wielce zrzucić jeźdźca, wierzgając

nogami, stając dęba, wyprawiając skoki, aż dopóki nie zmiotły go z siodła. Nawet i dobry jeździec nie zawsze potrafił utrzymać się na takim koniu. To też na wyprawę nikt się nie wybierał na nim: «koń swawolny, broń tępa, rusznica niepewna — do potrzeby nie dobrzy są».

Mimo to jednakże nie było prawie ani jednej stajni w dawnej Polsce, w którejby nie trzymano takiego «zmiatacza». Służył on umyślnie do zabaw dla młodzieży, która znajdowała właśnie ogromną przyjemność w dosiadananiu takich niepewnych rumaków, a zarazem nabywała ogromnej zręczności w jeździe i pewności w utrzymaniu się na koniu. A że przy tem który i spadł nieraz, to nic nie szkodziło, albowiem tylko ten: «kto nie jedzie na koniu, nigdy z niego nie spadnie». Każdy zaś «kto bywa na koniu, ten bywa i pod koniem».

W każdym jednak razie zmiatanie jeźdźca nie zaliczało się do zalet konia.

Za równie ważną wadę uważano cofanie się «na koniu, co się cofa, jechać niebezpiecznie», a także upór czyli zasadzanie się, gdy koń upierał się i nie chciał ruszać z miejsca pod jeźdźcem czy w wozie. Naturalnie, że i taki koń nie nadawał się na bojowego: «koń, co się zasadza, sędzia co dary bierze, niepewni są».

O zaletach i wadach konia można nabrać pojęcia z samej jego budowy i dlatego przy ocenianiu wartości konia wogóle przywiązuje się wielką wagę do jego budowy.

Wprawdzie sama budowa i wygląd zewnętrzny okazywały się nieraz zwodniczymi i dlatego kupujący konia powinien koniecznie go spróbować, doświadczyć, nie kierować się samem tylko pierwszym wrażeniem: «konia nie doświadczywszy, potrawy nie skosztowawszy, człowieka nie spróbowawszy: nie chwal!» a tem bardziej nie kupuj konia, bo «kto konia nie spróbuje, kulawego kupi, i kto, panny nie znając, żeni się, — też głupi».

W każdym jednak razie budowa dostarcza bardzo poważnych wskazówek i koń ze złą budową nigdy nie może być dobrym. A pod względem budowy Polacy mieli dość znaczne wymagania.

Prysłowie polskie tak określa zalety dobrego konia:

«Koń cudny i dobry ma mieć te cudne trzy: kark, noga, oko; dobre trzy: wolna gęba, pewna noga, czułość». Tutaj zalety określone są tylko ogólnikowo, ale zato różni pisarze z w. XVI i XVII szczegółowo określają budowę poszczególnych członków konia, chętnie porównywając go przytem z innymi zwierzętami.

Najczęściej występują w tych porównaniach lew, lis, jelen, wilk, zając, łabędź. «Od lwa koń ma mieć oczy, piersi (szerokie), dużość tak w przedzie, jak w zadzie, a także i w karku, chyżość; a z cech charakteru «wspaniałość, śmiałość, nierychłe rozgniewanie się». Od liszki (lisa) ma brać «uszy i ogon, a także chód piękny, lekki i prędkie». Od jelenia «głowę, czeluście, gardziel, szyję od głowy cienką, a ku

piersiom grubą, nogi kształtne i subtelne, bieg, oraz pierś z włosom połyskującym».

Inni porównywają lekkość i ręczość jego chodu z wilkiem, «żeby jak wilk lekko i trwale nosił» albo z zającem, który również słynie z ręczego biegu. Dla szyi i karku «pięknie zgiętego» szukają wzoru u łabędzia, z tem jednak zastrzeżeniem, żeby szyja nie była tak długa. Słowem, dawni miłośnicy koni chcieliby, zdaje się, wybrać z całego państwa zwierząt, co tylko jest gdzie najpiękniejszego, i ustroić w to wszystko swego ulubieńca.

W jednym z wierszy w. XVI znajdujemy następujący opis pięknego konia:

Żeby, jak wilk, lekko, trwało nosił,  
Żeby dobrze jadł, kark pięknie wynosił,  
Żeby był ręczy, sierść subtelną mając,  
Oko wypukłe to tak, jako zając;  
Liszka nóg krótkich, długiego ogona,  
I głowy małej, to niech ma, jak ona;  
Z jeleniem więzi zaś ma być jednakiej,  
Nogi tak suchej i chyżości takiej.

## V. Chów koni i ich ujeżdżanie.

«Pańskie oko konia tuczy» powiada dawne przysłowie, wskazując tem samem wyraźnie, jak dalece dbano u nas zawsze o konie. Istotnie każdy szlachcic ważył sobie wielce swoje stado i sam doglądał go pilnie, bacząc, aby koniom dobrze się działo. Dla

tego też hodowla koni stała u nas wysoko i swymi rumakami mogliśmy wprawiać w podziw zagranicę.

O konieczności dobrego obchodzenia się z końmi, a zwłaszcza dobrego ich karmienia, mówi wiele przysłów: «konia nie bij, sługi nie lżyj — chcesz li mieć z nich statek»; «godzien chodzić piechotą, kto nie umie dbać o konia»; «kto koniowi obrok rachuje, ten piechotą chodzi»; «siennym (to jest karmionym tylko sianem) koniem nie jeździć, słomianym wołem nie orać»; «kto pilnuje konia workiem, ten nie potrzebuje popędzać go kółkiem» i wiele innych.

Karmiono więc konie dostatnio, dobrze i wogóle chowano starannie, najczęściej sposobem dzikim lub półdzikim, to jest w stadach, które pasły się na zupełnej swobodzie latem i zimą, albo przynajmniej latem. Taki sposób chowu koni możliwy był jednakże tylko tam, gdzie się znajdowały obszerne pastwiska, a więc przede wszystkim na wschodnich kresach. Tam to właśnie chowano konie sposobem dzikim, tabunnym, w ogromnych stadach, czyli tabunach pod dozorem tabuńczyków, których rola ograniczała się zresztą do ochraniania koni przed złodziejami i drapieżnymi zwierzętami. Konie miały pozostawioną zupełną swobodę, ale że przytem starano się zawsze o dobór pięknych okazów, stada więc takie sływały szeroko.

W pozostałych prowincjach kraju, gdzie nie było obszernych stepów, chowano konie sposobem półdzikim czyli polowym, to jest puszczano je latem w dzień na paszę, a w nocy i w zimie trzymano w stajniach.

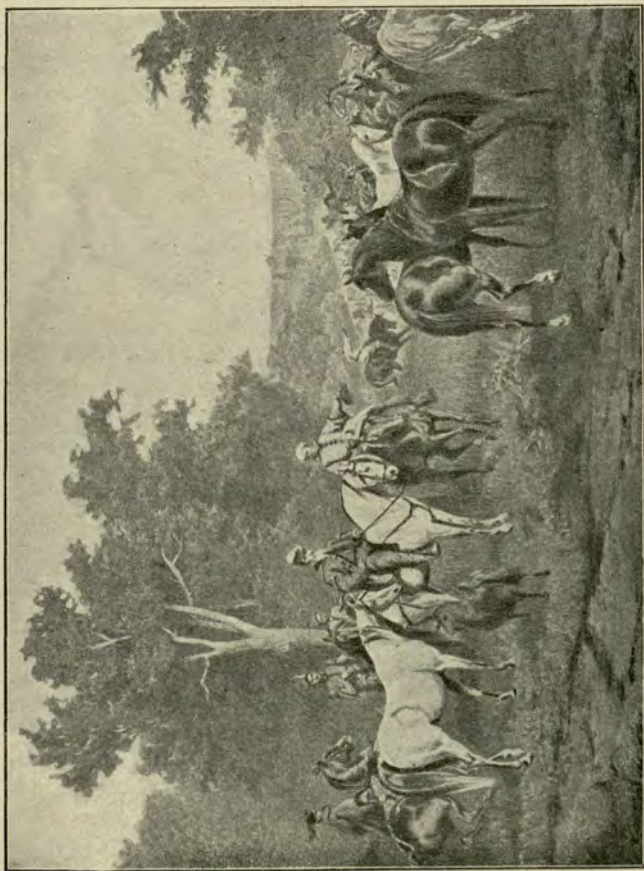
Tam wreszcie, gdzie kraj był jeszcze gęściej zaludniony i gdzie zupełnie brakowało obszerniejszych pastwisk, jak w zachodnich częściach kraju, przeważał chów czysto stajenny czyli alkierzowy.

Chów dziki, a przynajmniej polowy był najdogodniejszy i najodpowiedniejszy z tego powodu, że przy powszechnem zamięłowaniu do koni i wielkiem zapotrzebowaniu tych zwierząt, trzymano nieraz tak olbrzymie stada, że wprost trudno było nastarczyć dla nich budynków. Stada takie w razie wojny i nagłego zapotrzebowania koni rycerskich wyświadczały nieraz wielką przysługę, i to był nawet jeden z powodów, dla których starano się o posiadanie tak wielkich stad.

Wielki książę Litewski Witold, brat Jagiełły, miał tak liczne stada, że w razie potrzeby dostarczały mu one z łatwością 10,000 wierzchowców dla wojska. Książęce stado żmujdzkie w r. 1379 liczyło 4000 koni. Król Zygmunt August w Knyszynie posiadał stado z 3,000 sztuk; a słynne stado książąt Ostrogskich dochodziło do 5000 głów (w r. 1620).

Niektóre stada sławiły się zarówno liczebnością, jak i doborem koni. Wymienimy tu tylko ważniejsze: stado Buczackich (w Buczaczu, w dzisiejszej wschodniej Galicyi) złożone z tak rasowych koni, że koń buczacki wszedł w przysłowie, jako uosobienie «dzielności i cudności»; stado hetmana Chodkiewicza, który wiele poświęcał starań i trudów hodowli pięknych koni; stado Żółkiewskich, które następnie od nich przeszło do Sobieskich i z którego bardzo piękne konie posiadał Jan III; stado Radziwiłłów, które następ-

nie stało się kolebką najlepszego obecnego pruskiego stada w Trakienach. Dalej stada Lubomirskich, Tar-



J. Kossak.

Stadnina hetmańska

nowskich, Branickich i wiele innych, mniej głośnych, dostarczających jednakże przez szereg lat dzielnych rumaków.

Wincenty Pol w «Pacholęciu hetmańskim» opowiada, jak hetman Tarnowski zasilił końmi ze swego stada szlachtę, która ściągnęła pod Gliniany na wojnę z Tatarami, a nie miała dostatecznej ilości wierzchowców. Znajduje się tam bardzo ciekawy opis, jak ogier hetmański spędzał stado, z którego następnie wybrano potrzebną ilość koni:

Kiedy na szlaku opadły już chmury,  
Patrzy pan hetman, a to szlachta jedzie,  
Co aż od Brzeżan szła na Gologóry,  
Słyszając, że hetman w pole wojska wiedzie.  
I patrzą wszyscy: «To nie mamy koni!»  
Tedy pan hetman bardzo pojunoszył,  
Bo na wysoką mogiłę pogoni  
Na siwym ogrze, co bywał najtrwalszy  
I z wszystkich rżawych koni najzuchwalszy  
I zanim pojmiem o co panu chodzi,  
Zesiadł pan nagle z hardego rumaka,  
I już na ziemi kantar i kulbaka,  
A koń łeb zadarł i do koła wodzi  
Okiem za stadem, w polach rozproszonem.  
Więc go przybyło, zda się, drugie tyle,  
Gdy z wiatry puścił grzywę na mogile  
I rżąc zuchwale, nakrył się ogonem.  
Hetman stał w miejscu i na krok nie ruszył,  
A Andaluza <sup>1)</sup> tak i rżał i zuszył,  
Rwąc się przy panie, iż każdy się zdumiał,  
Że koń tak hardy pana wyrozumiał,  
Bo po mogile opędzał pierścieniem  
I w pola dawał hasło wielkiem rżeniem.  
Jakoż nie darmo, bo rżą i rumaki  
I stąd i zowąd po chwili niejakiej;  
I dudni ziemia, tabun odzew dawa,  
I coraz bliższa i straszniejsza rżawa: <sup>2)</sup>

1) Andaluza — koń andaluzyjski, hiszpański.

2) Rżenie.



Do hurtu lecą konie z każdej strony,  
I w hurt je spędza koń nieunoszony  
Pana hetmana, co siał rzenie wokół,  
Jak kuropatwy spędza lotny sokół.  
Tedy hurt wszystek stanął w miejscu sparty,  
Patrzym, aż z luki wychodzi otwartej  
Hetman bez szwanku kulbakę niosący.

A towarzysze hetmana porucznik Maruszka

do pana powiada:

— To mi to sprawa! nielada... nielada..

Nowa rycerstwu przybyła nauka,

Niema co mówić, to hetmańska sztuka!

Nie był to jednak zwykły sposób chwywania w razie potrzeby koni z tabunu i nie każdy zresztą posiadał takiego rumaka jak hetman Tarnowski.

Chwywanie konia na arkan odbywało się w ten sposób, że na upatrzonemu rumakowi rzucano z konia długi sznur, tak zręcznie, aby spętany nim nie mógł uciekać. Zręczne zarzucanie arkana nie było wcale rzeczą łatwą i wymagało dużej wprawy, to też nie każdy potrafił dokazać tej sztuki.

Kiedy Mohort pokazywał swe stado księciu Józefowi Poniatowskiemu i jego świcie, zaproponował młodzieży, aby spróbowała tej sztuki:

«No, tu jest arkan, więc panowie młodzi,

Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci

I weźmie konia, co w tabunie chodzi,

I niech na obiad do nas na nim wróci!»

Więc jaki taki w rzemiośle nieznanem

Próbował szczęścia i rzucał arkanem,

Ale daremnie.

Dopiero wówczas sam Mohort pokazał im, jak to robić należy:

Zebrawszy arkan, podjechał znienacka  
I jak pierścionek tak go rzucił z gracka!  
A gdy padł prosto na szyję koniowi,  
Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima,  
Wziął go o kulę, pod nogę, i trzyma!  
I jękał ziemia, i przypadli ludzie,  
A w mgnieniu oka i koń się powalił,  
Że się z nas każdy nad nim aż użalił;  
Ale tabuńczyk po niedługim trudzie  
Już go ochętniał i tak się uwinął,  
Że siadł na niego i z oczu nam zginął.

Jasną jest rzeczą, że taki koń, wzięty na arkan wprost ze stada, nie bardzo nadawał się pod wierzch i że wymagał jeszcze ujeżdżenia i odpowiedniego wytresowania.

Ujeżdżania koni pilnował zwykle sam właściciel, który wogóle miał cały naczelny dozór nad końmi. Przy stajniach i stadach królewskich oraz wielkopańskich znajdował się zawsze osobny koniuszy. Na dworze zresztą królewskim urząd ten był godnością czysto honorową, a ciężar pracy właściwej spoczywał na barkach podkoniuszego.

Koniuszy zawiadywał stajnią, wozownią, całą stadniną i dozorował całej służby końskiej, która na dworach magnackich bywała nadzwyczaj liczna. Składali ją: woźnice, stangreci, forysie, kawalkatorzy, konowały, obroczeni, a także różni potrzebni rzemieślnicy, jak kowale, stelmachy, ślusarze, rymarze, kołodzieje i t. d. Każdy z nich miał swoją specjalną czynność przy koniach lub powozach.

Ujeżdżanie koni należało początkowo do koniuszych, ale że zwłaszcza w większych stadninach nie-

możliwą było rzeczą, aby jeden człowiek, mający w dodatku dozór nad wszystkim, mógł być podolać jeszcze i tej pracy, zaprowadzono więc osobnych ujeżdżaczy, na których bardzo często wybierano cudzoziemców. Stąd też takich ujeżdżaczy zwano zwykle z cudzoziemska: kawalkatorami z włoska, berajterami z niemiecka lub dziambasami z turecka. Włosi bowiem, Niemcy lub Turcy najczęściej spełniali tę czynność po dworach pańskich. Nie było tylko dzokiejów angielskich, ale i Anglia nie posiadała ich jeszcze wówczas.

Na koniuszego zarówno, jak i na ujeżdżacza należało brać człowieka doświadczonego i umiejętnego, aby wiedział, jak z koniem postępować, aby go nie popsuł, nie znarowił. «Konia bystrego człeku statecznemu, a leniwego chłopu płochemu oddać na szkołę: ów przemysłem, a ten ostrogami oba wygodzą go». «Młodego konia stary jeździec ujeździ». Każdy zaś starał się mieć konia dobrze ujeżdżonego, bo to i pewniejszy taki koń w potrzebie i lepiej zaleca właściciela: «koń niewyprawny — jeźdźca, pacholek głupi — pana, dwór odrapany gospodarza — nie mogą zalecić nigdy».

I ujeżdżano i wychowywano konie nadzwyczaj starannie, ciągle mając na oku przedewszystkiem główny cel — wytworzenie wytrzymałego, hartownego konia, odpowiedniego pod rycerza i na wojnę. To też wychowanie od samego początku było hartowne, ale zarazem łagodne, aby w koniu rozwinąć przywiązanie do pana.

Młode dwu i trzyletnie źrebaki pasiono razem, wybierając o ile możności pastwiska nierówne, twarde, kamieniste, aby przytrudniej zdobywały pożywienie i wprawiały oko do wyszukiwania dobrej drogi wśród licznych przeszkód. Dla oswojenia ich z przyszłym losem strzelano od czasu w środku stadka, bębiono, trąbiono w części dla tego, iż uważano, że to wszystko wyrabia w koniach rycerską fantazyę — «koń za brzęcącym trąby głosem chęć do wojny chwyta» — w części zaś, aby zawczasu oswoić je z wojennym gwarem i hałasem.

Od czasu do czasu pławiono je, zmuszano do przebywania wartkich i szerokich rzek, bo i tę sztukę powinny były posiadać konie rycerskie. Zresztą przy takim pławieniu ujawniały się zwykle wrodzone zalety, z których poznawano, do czego koń będzie zdatny w przyszłości. Przy pławieniu obecny bywał zwykle sam właściciel stada.

Hetman Tarnowski zawsze trzymał się tego zwyczaju:

W on czas pan zwykle stawał sam na brzegu,  
Wskazując zdatne źrebię do szeregu:  
«Miły Zarębol proszę tu do boku,  
Bo kiedy spłyną, miejmy je na oku:  
To same wydry! i baczno, jak dążą;  
A to jelenie, bo obłędem krążą;  
Te do orczyka będą w sam raz dobre;  
Te do chorągwi bo znaczą na chobre».  
I gdy co słabszy czasem z wodą spłynie,  
To kiwnął ręką: «Niech co marne giniel!»

Pomimo jednak tej surowości w wychowaniu, starano się zyskać przywiązanie koni głaskaniem,

klepaniem, dawaniem źrebakom chleba i soli, bo, jak utrzymywano, «konia urodziwego więcej do powinności głaskaniem przywieszysz, niż biciem» a zrzobek (źrebak) nie łapany, ani pasterską ręką nie głaskany — srożeje, wierzga i ucieka w pole».

Żrebaki, jak i wogóle wszelkie stada trzymano u nas zazwyczaj na pastwiskach od ś-go Wojciecha (23 kwietnia) do większych przymrozków, zwykle do ś-go Szymona i Judy (29 października). Na Ukrainie zresztą większość stad spędzała i zimę na otwartym powietrzu. W pozostałych jednak prowincjach na zimę spędzano konie do stajen i wogóle pod dach.

Stajnie były zazwyczaj budowane bardzo porządnie i starannie, częstokroć nawet okazale. Dbano, aby były suche i przewiewne, a także obszerne, aby każdy koń miał dość miejsca i powietrza. Dla zapewnienia koniom zdrowia uciekano się nieraz także do rozmaitych przesądów, trzymano np. na stajni razem z końmi inne zwierzęta, a mianowicie kozły i barany, sądzono bowiem, że pot tych stworzeń odpędza i niszczy choroby czyli, jakby się to dziś powiedziało, posiada własności dezynfekcyjne. Bardzo często się zdarzało, że

W stajence klaczka Rzeżka z konikiem Drabantem  
Żyły w zgodzie przykładowej z baranem Dyszkantem.

Niekiedy nie tylko konie, ale i sam właściciel stadniny zaprzyjaźniał się z tymi towarzyszami koni i lubił ich nie mniej od swoich rumaków.

Wincenty Pol opowiada w «Pacholećciu hetmańskim», że hetman Tarnowski posiadał takiego ulu-

bionego kozła, który nie tylko mieszkał w stajni razem z końmi, ale także towarzyszył stadom na pastwisko i dawał hasło koniom do wskakiwania w wodę przy pławieniu.

Klacz mrozowata, nazwana «Dróżbiną»,  
Kiedy pan hetman pokazał się ino,  
Rżąc, niby źrebiec, witała od czoła.  
Za nią poważnie stary koziół kroczy,  
Którego zwano na zamku «Przeorem»,  
I aż na strzemię do pana wyskoczy;  
I całe stado patrzy za ich wzorem.  
Hetman «Dróżbinę» witał dobrą wołą  
Oklepał wkoło i dał chleba z solą;  
A potem kozła wytargał za brodę,  
Bo lubiał jego służby i urodę  
I po «Dróżbinie» najwięcej mu sprzyjał;  
Więc dać mu kazał gorzalki (bo pijał).  
A kiedy krzyknął: «Na morze, Przeorze!»  
To wplaw mój koziół, a za nim w bezdroże  
Z szumem zatapia się stado i płynie.

Naturalnie, obecność kozłów lub baranów nie przyczyniała się niczem do dodawania zdrowia koniom; przesąd ten jednakże był tak zakorzeniony, że jeszcze do niedawna można było widywać kozły, trzymane w stajniach razem z końmi.

Do nauki źrebaka nie brano się przed skończonym trzecim rokiem życia, obawiając się, że zbyt wczesna tresura może zerwać jego siły, jak to wyraża przysłowie: «Nie łam, synu, źrebięcia», to znaczy «czekaj, aż podrośnie należycie». Niektórzy wstrzymywali się z ujeżdżaniem do piątego, a nawet siódmego roku. Większość jednak zaczynała naukę w trzecim, a że ciągnęła się ona zwykle koło dwu

lat, więc przed skończonemi pięciu laty koń wyjątkowo tylko szedł do pracy.

Nauczanie źrebięcia poczynano się od oswojenia go ze zgrzeblem i czesadłem. Następnie przyuczano je do podawania nogi do kucia. Potem oswajano kolejno z trenzlą i siodłem, pędzono na lince, a wreszcie zaczynało ujeżdżać, uczyć najrozmaitszych chodów i zwrotów. Ujeżdżano powoli, ale starannie, w myśl przysłowia: «po lekku lepiej zrobisz, po mału dalej zajedziesz». To też zwykle, zanim wyjeżdżono należycie konia po polsku, zużywano na to rok czasu, ćwicząc go codziennie. Ażeby zaś nauczyć go jeszcze i włoskiej jazdy, potrzeba było dwóch lat czasu.

Starano się przytem osiągnąć cel cierpliwością i łagodnością, a nie biciem i szarpaniem. Wskazówki takiego postępowania znajdujemy w jednym z ustępów «Lutni rokossańskiej» Szymona Szymonowicza:

Częściej koń, w twardej krydze chodzić nauczony,  
Jeźdźca zmiata; a w biegu munsztuk pozwolony<sup>1)</sup>.  
Łatwiej utrzyma, niżli wodze mocno jęte<sup>2)</sup>;  
Próżno wędzidło ściągać już raz na kiel wzięte.  
Miękką gębę miękko wieść do jeźdźca należy:  
Wolny lud prowadź wolno, wolniej on pobieży  
I bez pręta...

A stare przysłowie powiada: «nie rzucaj kamieniem, konia nie bij rzemykiem, nie mierz strzelbą do nikogo,—bo możesz przypłacić drogę».—Rada, o której i dziś powinien każdy pamiętać, bo bicie koni,

<sup>1)</sup> Trzymany l kko.

<sup>2)</sup> Trzymane mocno.

rzucanie kamykiem i nieostrożne obchodzenie się ze strzelbą bywa nieraz przyczyną bardzo smutnych wypadków, kończących się nawet śmiercią.

Młode konie poskramiano zmęczeniem przez zbieganie, a także nadzieję obroku, który dawano im zaraz po każdym dobrem popisaniu się i objawie posłuszeństwa, w myśl przysłowia: «koń dla owsa, pies dla chleba, ptak (myśliwski) dla mięsa — siła <sup>1)</sup> nauczą się radzi». Do bicza uciekano się tylko w ostateczności i jedyne z jakimiś bardzo nieugłaskanymi końmi.

Zato na dobre karmienie zwracano zawsze baczną uwagę i przy nauce i w dalszym ciągu. Pewien ziemianin litewski zapytany, dla czego jego konie są tak dobrze utrzymane, odpowiedział, że posiada kamień tuczący rumaki, a następnie zaprowadził pytającego do stajni i pokazał mu duży kamień na środku, na którym siadywał przez cały czas, gdy konie jego jadły obrok, i pilnował, czy wszystko zjedzą.

Przy ujeżdżaniu koni młodych dbano nie tylko o wyćwiczenie ich w zwrotach i dobrym chodzie, ale także o dalsze oswojenie z gwarem wojennym, ostrzeliwano je zatem przy obroku, podjeżdżano z nimi do ćwiczącej się piechoty i t. p. Niektórzy starali się oswoić je także z rozmaitemi niespodziankami wojny, jak np. z wielbładami, które często znajdowały się przy wojskach tureckich, a których widok przejmował zazwyczaj konie panicznym stra-

---

<sup>1)</sup> Siła — znaczy dużo.



chem i szerzył wśród nich straszny popłoch. W celu oswojenia z wielbłędami, trzymano je niekiedy przy stadach koni:

Dzielne rumaki chował pan z Tarnowa  
Wkoło dziedzińców szły wałowe stajnie,  
Maszternia pańska, wszystkiej sprawy głowa,  
Była od wnijscia, a wielbłądy skrajne  
W trzecim dziedzińcu chowano z Tatary.  
Chodził nad nimi tam Soroka stary  
(Bo sorok <sup>1)</sup> miewał wielbłądów pod sobą).  
Otóż i jego tam wielbłądy one  
Rycerskiej sprawie trzymał hetman gwoli,  
Aby rumaki nie były płoszone.  
Gdy się zejść przyjdzie z taborem pogańskim;  
Więc je chowano tam przy stadzie pańskim,  
Więc i pędzano pod chorągiew w turmie  
Razem z Tatary przy pogańskiej surmie.

Nic dziwnego, że przy łagodnem wprawdzie, ale stanowczem postępowaniu, przy umiejętnem obchodzeniu się z końmi i zapoznawaniu stopniowem z wszelkimi niebezpieczeństwami, osiągnano znakomite wyniki. Najdzikszy i najbardziej nieugłaskany koń stawał się łagodny i posłuszny jak dziecko, przytem pełen ognia i rycerskiej fantazji:

Żrebiec, co zabijał,  
Był tu już karny, i czuły, i miękki  
I niby panna w tańcu, się przewijał.  
I gdy go zażył przed panem koniuszy,  
To i samopał kładź mu między uszy,  
I rów przesadzi, i przez płot przeskoczy,  
I jak gadzina wielbłądowi w oczy,  
I już nie lęka proporca, ni zbroi,  
Trąby, ni strzały, lecz jako mur stoi!

---

<sup>1)</sup> Sorok — czterdzieści.

Woznika to jest konia do zaprzęgu uczono nieco inaczej, ale i jego na wszelki wypadek starano się zapoznać i oswoić z wrzawą bojową.

Niektórzy posuwali naukę tak dalece, że ćwiczyli konie w sztukach rozmaitych. Miasto Mosty Wielkie w województwie Bełzkiem słynęło z tego, że konie tameczne były tak wytresowane, iż nie potrzebowały ani cugli, ani uzdeczek i można ich było używać bez żadnego okiełznania zarówno pod wierzch, jak i do zaprzęgu.

Uczono konie kłaść się w chwili, kiedy je miano dosiadać, albo przyklękać i dotykać pyskiem ziemi na znak holdu dla danej osoby. Wielki podziw we Francyi wzbudził koń Choińskiego, jednego z posłów przybyłych po Maryę Ludwikę: konia tego bowiem Choiński zmuszał zawsze do przyklękania, ilekroć mu się zdawało, że królowa już nadjeżdża.

Pewien szlachcic lubelski wprowadził swą klacz do biegania z listami do Lublina, odległego o trzy mile od jego posiadłości. Nie dawała się ona schwytać nikomu, a, oddawszy listy, śpiesznie wracała do domu. Inny wyuczył konia tańcować, siadać na zadzie i trzymać w pysku miednicę do mycia się. A na wyliczenie koni, wchodzących na schody i schodzących z nich, miejscaby nam nie starczyło!

Takie zresztą sztuki nie wchodziły w skład zwykłej nieodzownej nauki konia, której celem było wykształcenie idealnego wierzchowca, łagodnego i posłusznego, a zarazem śmiałego i pojętneho. Takiemu koniowi można było śmiało w razie niepewności

puścić wodze i zdać się na jego zmyślność, a zwykle umiał on wybrać najlepszą drogę.

Koń należycie ujeżdżony i wyćwiczony, zwykle między 5-ym a 7-ym rokiem, szedł na służbę, czy to pod wierzch, czy do zaprzęgu i spędzał w niej kilkanaście lat życia albo i więcej, dopóki się nie zużył.

Według pojęć arabów koń żyje 20 — 25 lat, a w najlepszej sile jest między siódmym a czternastym rokiem, jak to wyraża przysłowie, niezbyt dobrze zresztą mówiące o synowskich uczuciach Beduinów: «Siedem lat dla mojego ojca, siedem lat dla mnie, a siedem lat dla mojego wroga!» To znaczy: Niech mi ojciec konia siedem lat hoduje póki jest młody; niech ja go używam, póki jest w pełni sił; i niech wróg mój na nim przepada».

Polskie poglądy na wiek konia były mniej więcej takie same. Przysłowie powiada, że trwa:

Płot — trzy lata, kot — trzy płoty,  
Człek — trzy konie, koń — trzy koty.

Z przysłowia tego wiek kota wypada na 9 lat, konia na 27, a człowieka na 81.

Naturalnie jednak koń nie mógł pracować do końca tak samo jak wtedy, kiedy był w sile wieku. Zdarzały się wprawdzie wypadki zarówno znacznej długowieczności, jak i dłuższej sprawności do pracy. Ale były to tylko wyjątki. Koń stary nie posiada już zdolności do pracy, zwłaszcza cięższej, nie nadaje się do występów. Przysłowie powiada: «starego konia wyrzucają z cugu», używając go natomiast

do podlejszych robót, a czasami pozbywają się go nawet zupełnie.

Bojowy koń miewał jednakże zazwyczaj starość spokojną i zabezpieczoną. Właściciel pamiętał zwykle o jego zasługach oddanych za młodu, pamiętał, że «był to koń, ale się zjeździł» w pracy dla swego pana, nie żałował mu więc ani miejsca w stajni, ani owsa w żłobie—łaskawego chleba, który właściwie był nie chlebem łaskawym, ale zasłużonym.

---

## VI. Koń woźnik i jego znaczenie.

Skrzypią pługi, kracze wrona,  
A skowronek het! pogania.  
Hej! z zagonu do zagona  
Lśniący lemiesz skarb odstania.

Wierzchowiec był ulubionym koniem Polaka, stałym towarzyszem i przyjacielem jego, pielęgnowanym za życia, opiewanym i żalowanym po śmierci; ale i koń woźnik pociągowy, albo sprzężajny nie mniej ważną, a poniekąd może nawet ważniejszą jeszcze rolę odgrywał w życiu naszych przodków: na ogół mniej świetnie wyglądający, nie tak popisowy, nie wślawiony tyłu czynami bojowymi, był on jednak bardzo pożyteczny, dźwigał bowiem na sobie cały ciężar codziennych, powszednich trudów i prac pokojowych. Wierzchowiec strzegł granicy i odpędzał wroga, woźnik pracował na chleb dla niego i dla siebie. Był on niejako jeszcze niezbędniejszy od

tamtego, bo i ci, co chodzili na wojnę, i ci, co pilnowali domu i roli, zarówno z dworu, jak i z chaty, nie mogli się obejść bez niego.

A z czasem, w miarę zmieniania się sposobów wojowania, w miarę zbliżania się czasów bardziej pokojowych, woźnik zaczął brać coraz większą przewagę nad wierzchowcem; koń jezdny z koniecznego towarzysza Polaka stawał się powoli przedmiotem zbytku, coraz mniej poszukiwanym, a koń uprzężny coraz bardziej zajmował jego miejsce: «Szlachta się nasza przesiadła z konią na wóz i przeniosła z rohoży na materac». Minęły świetne czasy jazdy polskiej i świetne czasy wierzchowców. Z zupełną słusznością można powtórzyć zdanie wyrzeczone dawniej przez jednego z naszych pisarzy: «ze sławnej onej jazdy szlacheckiej, staliśmy się teraz woźnicy i podusznicy, z łózkami i betami się włóczący, zniewieścieliśmy». Nie wielu już dziś umie dobrze jeździć konno.

Wierzchowiec jest niejako uosobieniem wojny, woźnik — pokoju; przy zmianie więc warunków na bardziej pokojowe, musiał on przewyższyć znaczeniem wierzchowca.

Nie sądźmy jednak, aby i on nigdy nie widywał bojów, aby zawsze i wszędzie pełnił jedynie służbę pokojową. Przeciwnie, żadna wyprawa nie obyła się bez niego, w każdej woźnik brał udział.

Gdy w pole wyruszały czy to świetne chorągwie husarzy, czy jazda pancerna, zawsze ciągnął za niemi tabor wozów, wiozących żywność i amunicję, a zaprzęgniętych woźnikami. Jak wielka ich ilość

znajdowała się zwykle przy wojsku, widać z tego że gdy za Zygmunta Augusta 20,000 wojska wyruszyło na wschodnią granicę, towarzyszyło mu 40,000 wozów.

Z wozów takich formowano zwykle rodzaj szarżarów, otaczających obóz, i z za nich broniło się rycerstwo, gdy mu wróg wystrzelał konie. W takich wypadkach zresztą nieraz i woźniki musiały przekształcać się w wierzchowce i pełnić służbę bojową.

Bez woźników, bez tego całego taboru urządzano jedynie mniejsze wyprawy, tak zwanym komonikiem, kiedy sama tylko jazda, zostawiwszy cały obóz, wyruszała czy na pościg za nieprzyjacielem, czy na nagły napad. Komonikiem odnoszono wiele świetnych zwycięstw: komonikiem gromił Szwedów Czarniecki, komonikiem odbijał Sobieski jasyry Tatarom, a zwycięstwa jazdy, uderzającej w ten sposób, dosadnie oddaje dwuwiersz następujący:

A nieprzyjaciel podał tył sromotny,  
Kiedy nań skoczył komonik ochotny.

Nazwa komonik albo komunik pochodzi od starosłowiańskiego wyrazu «komoń» — koń, i oznacza wogóle rycerza jeźdźnego, a w przenośni wyprawę konną wierzchem, z samą tylko konnicą, bez taboru.

Komonikiem urządzano wyłącznie małe, krótkie wyprawy; po za tem musiał zawsze znajdować się przy wojsku tabor i woźniki. I one więc brały udział w wojnach i one kosztowały trudów bojowych.

Zawsze jednak główna ich zasługa polegała nie na wojnie, ale na pracach pokojowych, a przede wszystkim rolniczych.



Żniwo.

Juljusz Kossak.

<http://rcin.org.pl>

Obok wołu koń był głównym pomocnikiem Polaka w pracach koło roli: używano go nie tylko do orania, bronowania i zwózki snopów zboża, siana, ale jeszcze i do młócenia, które dokonywano w ten sposób, że na rozrzucone na boisku zboże puszczano konie i te je tratowały.

Ten rodzaj woźników, używanych do prac rolnych, nosił nazwę koni gospodarskich czyli roboczych, a że w dawnym ustroju naszym wszelkie prace na łanach pańskich wykonywali włościanie własnym sprzężajem, oni więc głównie hodowali i trzymali konie robocze. Ten ciężar prac rolnych w całości spadający na barki włościan, wyraził w następujący sposób Syrokomla, wrażliwy zawsze na niedolę ludu:

Nie zna jutra pan bogaty,  
Bo nań tysiąc plugów orze;  
Nie zna jutra rolnik z chaty,  
Jego jutro w pańskim dworze.

A że włościanin w twardych żył warunkach i zarówno sam, jak i jego koń, ciężko musiał pracować, a przytem najczęściej licho się odżywiał, nic więc dziwnego, że i woźniki jego, konie robocze, chociaż przeważnie cierpliwe, wytrzymałe i nigdy nie biorące na kiel, bywały jednak zazwyczaj nędzne, drobne i zapracowane.

Twardą i ciężką dolę chłopskiego konia przedstawia obrazowo poetka (M. Konopnicka).

Nie będę ja cię wodził  
Na uździe z karmazynu...  
W parciankach będziesz chodził,  
U pluga, chłopski synu!  
Hej! chłopski synu!...



Zębatą ciągnąc brone,  
Spotniejesz białą rosą....  
Ani cię wiatry one  
W kraj świata nie poniosą....  
Hej nie poniosą!

Nie będą drobną sieczką  
Karmiły ciebie panny....  
Nie padniesz w krwawem polu,  
Świszczącą kulką ranny....  
Hej kulką ranny!...

Na piasku, na ugorze  
Gospodarz cię zostawi  
A rosa oczy wyżre,  
A słońce kości strawi,  
Hej! kości strawi!...

Nie u takich więc koni można było szukać cech prawdziwie dobrego woźnika, któremi odróżniał się on od wierzchowca. Koń jezdny musiał być mniej lub więcej lekki i zwinny, całą budową jakby stworzony pod kulbakę, posłuszny i roztropny, ale zarazem ognisty i pełen fantazyi:

Koń rzeźwy, pyszny, niespokojny,  
Zwierz natarczywy i lubiący wojny.

Woźnik powinien był mieć budowę nieco cięższą, być silnym w zadzie, twardym w karku i wytrzymałym w ciągnienu wozu.

Dobrych koni gospodarskich Polacy nie wyhodowali w dawnych czasach, bo więcej dbali o konia bojowego i na niego zwracali główną uwagę, ale woźniki posiadali bardzo piękne, tylko, że hodowano je głównie do zaprzęgu, do ciągnięcia czy to powozów, czy wozów ciężarowych, stanowiących tabor

zarówno wojskowy, jak i kupiecki, wywożących nasze płody rolnicze za granicę, albo też przywożących stamtąd zagraniczne towary.

Koń był wówczas głównym środkiem komunikacji, na nim opierały się przeważnie wszelkie stosunki między ludźmi, czy to handlowe, czy inne.

## VII. Wozy i powozy prostszej budowy.

Za dawnych czasów podróżowano u nas wyłącznie konno, a zwyczaj ten przetrwał bardzo długo. Konno podróżowała nie tylko szlachta i wojskowi, ale nawet duchowni; na wozy kładziono jedynie rannych i chorych, bo i kobiety w dawnych czasach również przeważnie dosiadały koni.

Pierwsi zaczęli używać jazdy na wozach duchowni, zwłaszcza posłowie papiescy, a czynili to dla większej ostentacji i okazałości. O pojazdach pierwsze wzmianki znajdujemy dopiero w wieku XIV; korzystać z nich zaczęły najpierw kobiety. Mężczyźni podróżowali konno:

Pierwsi nasi ojcowie nie jeździli cugiem,  
Lecz konno cwałowali, chodzili za pługiem.

I nawet gdy zaprowadzono już używanie pojazdów, korzystać z nich zaczęły najpierw bogaci i możni panowie oraz wielcy dygnitarze; ogół szlachty długi czas patrzył na nie krzywo, siadanie do pojazdu uważał za rodzaj ubliżenia dla siebie a uży-

wanie ich za wyraz zepsucia i zniewieściałości; niechęć ta znalazła wyraz w następującym wierszu:

Bogactwo jedzie sobie na wozie wysokim,  
Córka jego, pycha, siedzi przed niem z bystrem okiem.  
Fortel—woźnica, chytrłość i drapiestwo—konie,  
A lichwa, pani stara, z workami na łonie.

Cnota i męstwo, według ówczesnych pojęć, nierozłączne były z wierzchowcem i kulbaką.

Pasek, który żył w drugiej połowie wieku XVII, trzymał się pod tym względem dawnych zwyczajów i zawsze podróżował konno. Uczyniwszy ślub w czasie wyprawy do Danii odbycia pielgrzymki do Częstochowy, jeśli wróci cało z tej wyprawy, dopełnił go później w towarzystwie matki. Ale gdy matka jechała pojazdem, Pasek szedł piechotą, a za nim prowadzono wierzchowca, na którym miał wracać z Częstochowy, bo nawet i po dłuższej pieszej podróży uważał za niewłaściwe dla szlachcica i rycerza siadanie do pojazdu. Zrobić to można było jedynie w razie niemożności utrzymania się na koniu wywołanej raną lub chorobą.

Niektórzy ludzie starej daty i dawnych obyczajów zachowali jeszcze ten zwyczaj podróżowania konno w XVIII, a nawet początkach XIX w. Do takich należał Ksawery Krasicki, synowiec księdza biskupa warmińskiego, dawny konfederat barski i były major kawaleryi narodowej, ten sam, który dostarczył Wincentemu Polowi głównego materiału do poematu jego «Mohort».

Ksawery Krasicki do późnej starości mógł jeździć konno dziennie po 8 do 10 godzin, a co jesień

z kilku przyjaciółmi puszczał się na ogromny objazd krewnych i znajomych, polując wciąż po drodze. Był to niejako rodzaj kampanii wojennej, bo uczestnicy tej wycieczki dosiadali codziennie koni o świecie, a zsiadali z nich dopiero przy świecach; wycieczka zaś trwała kilka tygodni. Dziś niktby się już nie zgodził podróżować w taki sposób i potrzeba było dawnego zahartowania, aby znieść bez szwanku trudy takiej podróży.

Chociaż, co prawda, gdy sięgniemy myślą aż do pierwszych początków jazdy wozowej, to niewiadomo, cobyśmy wybrali, my, ludzie popsuci wszelkimi udogodnieniami dzisiejszych sposobów podróżowania, czy wierzchowca, o ile, naturalnie umielibyśmy siedzieć na nim, czy taki wóz pierwotny.

Wozy w dawnych czasach były przeznaczone do transportowania rzeczy i nie posiadały żadnych prawie udogodnień dla podróżnych: nakładało się w nie co najwyżej słomy lub siana na jakie takie siedzenie.

Początkowo wyrobem takich wozów zajmowali się wyłącznie kołodzieje, używając do wyrobu jedynie drzewa i nie uciekając się zupełnie do żelaza i pomocy kowala, miejsce gwoździ zastępowały kołki drewniane, a na koła wybierano możliwie trwałe materiały, który pozwalał o tyle o ile obchodzić się bez obręczy żelaznych.

Zresztą Polacy prędko się zapoznali z wozami kutem i łącząc kołodziejstwo z kowalstwem, a drzewo z żelazem, zaczęli wyrabiać je u siebie i używać

ich powszechnie, zwłaszcza do przewożenia większych ciężarów: towarów, żywności i t. p.

Ale jeszcze w w. XIII w bardzo wielu okolicach w powszechnem użyciu były pierwotne staroświeckie wozy bez żelaza.

W niektórych miejscowościach przechowały się one nawet znacznie dłużej: na Żmudzi wyrabiano takie wozy jeszcze w w. XVI, a chłop żmudzki uważał za punkt honoru, że pojechawszy do lasu konno i z siekierą tylko, wracał stamtąd po jakimś czasie z wozem, szleją i uzdą, a zarówno wóz, jak i cały zaprząg zrobione były wyłącznie z drzewa: w wozie nie było ani kawałka żelaza, a w uprzęży rzemienia lub sznura; kołki drewniane zastępowały gwoździe, giętkie pręty i łyko — rzemienie i sznury.

Takie proste, czysto drewniane wozy zwano u nas pierwotnie kolasami, która to nazwa pochodzi od koła. Później zaczęto wyrabiać mniejsze i zgrabniejsze wózki w rodzaju bryczek i przezwano je kolaskami. Nazwa więc ta oznaczała również ekwipaż wcale niewyszukany. Jeszcze ksiądz biskup Krasicki w «Panu Podstolim» (koniec w. XVIII) kolaską nazywa rodzaj bryczki, używanej przez komisarzy czyli rządców dóbr do wyjazdów w pole. Nie więcej jak sto lat temu zaczęto tę nazwę stosować do karet, oraz innych wspanialszych powozów. A dziś zapomnieliśmy już nawet wszyscy, że niegdyś oznaczała ona właśnie możliwie najprostszy, często drewniany wóz.

Proste, niekute wozy najdłużej przechowały się na Wołyniu i Ukrainie, gdzie jeszcze w w. XIX można

było spotykać je powszechnie, zwłaszcza w t. zw. «wałkach» t. j. karawanach Czumaków, zajmujących się przewożeniem przez stepy ukraińskie zboża do Odesy i soli oraz innych towarów z Odesy. Te wozy wyłożone były łubem i nosiły nazwę «teleh», «teleg», albo «maży» lub «mazi», ciągnęły je zaś zwykle nie konie, lecz woły.

«Wálki» czumackie początkiem swym sięgają czasów kozackich, jak to wyraża Malczewski w dwuwierszu z «Maryi»:

Uciekaj, czarnomorcu, z swą mażą skrzypiącą,  
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrąca,

wskazując tem, iż kozacy w dawnych czasach zaczęli nieraz takie «wałki».

Dochowały się zaś bardzo długo, bo aż do zaprowadzenia kolei przez stepy ukraińskie; a nawet w początkach jej zaprowadzenia utrzymywały się jeszcze czas jakiś. Wincenty Pol, opisując Ukrainę za swoich czasów, powiada:

I czumackie ciągną maże  
Od limanów w świat taborem.

A i teraz jeszcze żyją ludzie, którzy pamiętają «wałki czumackie».

Paręset lat temu cała Ruś nie znała innych wozów, tylko takie czysto drewniane telegi, jak o tem wspomina Sebastyan Klonowicz w poemacie pod tytułem: «Roksolania» czyli «Opis ziem Czerwonej Rusi». Opisując lasy tameczne, powiada on:

...Oko nie ogarnie

Rozlicznej barwy wszelakiego drzewa:  
Tu biała brzoza z czerwonymi smugi,  
Owdzie z jesionem splata się wiąz młody;  
Z nich wieśniak drzewca wyrabia na pługi,  
Z nich do swych kolas wygina obwoady,  
Z nich to skrzypiące telegi i maże,  
I lekkie wozy klecą Haliczanie.  
Tu kuta bryka rzadko się ukaże,  
Bo twarde drzewo za okucie stanie.  
Nigdzie przy wozach żelazo nie brzęczy:  
Tu gwóźdź drewniany wytrzyma wytrwalej;  
Nie masz kowanych osi, ni obręczy:  
Tu hartowniejsze polano od stali.

A dalej opisuje w następujący sposób wyrób takich wozów lub różnych narzędzi:

Gdy wóz się kleci lub orne narzędzie,  
Tym kształtem nasi pracują wieśniacy:  
Idzie do lasu, wypatruje wszędzie  
I ścina sztukę, przydatną do pracy.  
Na dyszel bierze pniak lekki a prosty:  
Siedem stóp dębu wycina do osi,  
Drzewo schylone w garbate narosty  
Na soszne zęby do domu zanosì.

...pilnie szperając po lesie,  
Żerdź prostą, krzywą zbiera gospodarnie,  
Rąbie jesiony i dęby olbrzymie,  
A potem krzesa i do domu koci<sup>1)</sup>;  
A tam troskliwie zawiesza je w dymie,  
By wolnem ciepłem wyschły od wilgoci.  
Drzewna wodnistość robocie szkodliwa —  
Dobrze to znają Rusini robotni;  
Przeto nie pierwiej dębiny używa,  
Aż się surowość z jej wnętrza ulotni.

---

<sup>1)</sup> Toczy.

Dopiercz suchą do wrzątka zanurzy,  
Mocuje, schyla, nagina sprężyscie:  
Tak, dąb niezłomny, co nie bał się burzy,  
Gdy go zielone pokrywały liście,  
Co, niżli zegnę, prędzej się popęka, —  
Rozmiękczon warem, poda się odrazu,  
A kiedy silna pochwyci go ręka,  
Przybiera wszelki kształt wedle rozkazu,  
I albo idzie na obwoły koła,  
Albo na ciężkie podrózne woziska.  
Wieśniak żelaza nie używa zgoła,  
Lecz drzewo drzewem spaja i uciska.

Wozy takie miały osie niesmarowane smołą  
i dlatego skrzypiały niemożliwie w czasie drogi, jak  
to wyraża dalej tenże Klonowicz:

On kłodek kołnych <sup>1)</sup> tłuszczem nie powleka,  
Ani żywicą nie napoi osi;  
Ruską kolasę postyszysz zdaleka:  
Skrzypi i jęczy, jakby o coś prosi.

Zwyczaj niesmarowania kół mógł się właśnie  
najłatwiej wyrobić w kraju tak bezleśnym, jak Ukrai-  
na. Ale wszędzie indziej, gdzie tylko była obfitość  
lasów sosnowych lub brzoźowych, z których wypo-  
lano smołę, wszędzie tam smarowano nią obficie  
wozy, pamiętając o tem, że to nietylko usuwa nie-  
miłe skrzypienie, ale zarazem ułatwia jazdę, bo «kto  
lepiej nasmaruje, ten nie skrzypi» i «kto smaruje,  
ten jedzie, a nawet «kto lepiej smaruje, ten jedzie  
sporzej», bo «kiedy wóz nasmarujesz, to jakbyś trze-  
ciego konia przyprzągł».

Zygmunt Gloger, znany badacz starożytności na-  
szych, przypuszcza nawet, że nazwa Mazurów po-

---

<sup>1)</sup> Kołowych.



szła prawdopodobnie od smoły czyli mazi; ta bowiem część ludności polskiej zamieszkiwała przeważnie bory sosnowe i od wieków trudniła się wypalaniem smoły; nie żałowała jej też do swoich wozów, zwanych również maziarnami.

Do smarowania lekkich, zwłaszcza dwukolnych czyli biedek, używano nieraz w lecie grzybów zwanych dziś maślakami, a noszących niegdyś nazwę maśluków, prawdopodobnie właśnie od mazania. Przedstawiało to tę dogodność, że podróżny, o ile jechał lasami, nie potrzebował zaopatrywać się w smołę, ale po drodze zbierał sobie grzyby i nimi smarował osie.

Takie jednak smarowanie nie mogło zastąpić prawdziwej smoły i było zupełnie nieodpowiednie do większych, zwłaszcza do ciężkich czyli furmańskich wozów, które służyły do wożenia towarów i odznaczały się zawsze ogromnymi rozmiarami, żeby można je było suto naładować. Przysłowie, chcąc określić, że czegoś jest bardzo dużo, powiada: «Toby się le-dwie na furmański wóz włożyć dało».

Wozy te były nie tylko wielkie, ale też odpowiednio mocne, porządnie zrobione i naturalnie kute, inaczej nie nadawałyby się do pewnego i porządnego wożenia towarów: «wóz nierządny, woźnica opily — radzi przyczyniają drogi».

Koń do takiego wozu musiał być również nie-ladajaki, ale silnej i mocnej budowy woźnik. «Koń mocny u furmana w wozie, drwa łońskie<sup>1)</sup> u go-

---

<sup>1)</sup> Łoński — zeszlóroczny.

spodarza we dworze, u urzędnika <sup>1)</sup> porządnie w komorze — po tym rządnych znać». Koń ten jednakże nie powinien być mieć właściwości konia bojowego, powinien być być tylko silnym i wytrzymałym woźnikiem, a nie ognistym wierzchowcem, taki bowiem bez żadnej korzyści szarpałby swe siły i swój ogień przy wozie: «Konia rączego do wozu furmańskiego, szlachcica wolnego do mieszkania miejskiego — szkoda.

Wielkie ciężarowe wozy furmańskie odpowiadały niegdyś dzisiejszym wagonom towarowym i miały dla kraju takie znaczenie, jak one dziś; tak samo służyły za pośredników przy wymianie płodów z zagranicą.

Furmańskimi zwano je dlatego, że dawniej nazwę furmana nadawano nie każdemu woźnicy, jak dziś, ale wyłącznie takiemu, który furmanił, to jest furą, wozem rozwoził towary. Furman na lądzie, a flisa na wodzie—byli to niegdyś jedyni pośrednicy handlu wymiennego zarówno z zagranicą, jak i między poszczególnymi częściami Polski.

I jednego i drugiego zawód nie był lekki, i jeden i drugi musiał znosić wiele niewygód:

Furmana błoto, flisa deszcze trapią,  
Że się obadwa pod swój daszek kwapią.

Złych dróg, kłopotów i niewygód furman naużywał się dość w swych podróżach: «kto po świecie furmani, ten złej drogi nie gani», bo wie, że zdarzają się jeszcze gorsze. A choć niejeden, gdy mu złe drogi

---

<sup>1)</sup> Urzędnik—oznacza tu oficjalistę gospodarczego.

do żywego dopiekły, chciał rzucać furmaństwo, rozstać się jednak z nim nie mógł:

Furman ulgnawszy, dróg się odprzysięgał;  
A gdy pogoda, przysięgłszy, zaprzęgał.

Bo też istotnie był to zawód zyskowny, a choć dawne przysłowie powiada: «po furmanie bicz zostanie, a po szewcu szydło», niby na znak, że na furmaństwie niczego się nie można dorobić, w rzeczy samej jednak woźnicy towarów czyli furmani mieli się dobrze, a widać to najlepiej z tego, iż mogli płacić dość znaczne podatki do skarbu.

Ale, naturalnie, musieli to być ludzie rządni a mieć dobre i silne konie; niejednego przytem i nie parę nawet, bo wiadomo, że: «lepiej mieć cztery konie u wozu, niż jednego»; wóz musiał być również odpowiednio mocny i wytrzymały.

Inne wozy nie dorównywały pod tym względem furmańskim. «Jaki taki wóz, byle dobrze wiózł», przy czem, naturalnie, jakim takim wozem trudno było dobrze jechać. Chyba, że kto był w takiej ostateczności, o jakiej mówi przysłowie: «kto wózka albo konia nie ma, więc piechotą», a wtedy i jaki taki wóz stawał się dobrym, a nawet i najgorszy, taki nawet, którym «gnój tylko wozic».

Dziś tylko włościanie używają wozów stale, mieszkańcy zaś miast korzystają z nich rzadko i przeważnie dorywczo. Ale do XIV w. cała Polska jeździła na takich prostych wozach czyli kolasach, które, kute czy nie kute, wszystkie były równie pierwotnej budowy i równie trzęsące; siadał na nie zarówno

biedak, jak i magnat, ba! nawet królowie i królowe, o ile nie chcieli odbywać podróży konno.

Na to powszechne używanie wozu wskazuje wiele przysłów, w których wóz występuje w przenośni: «był na wozie, był i pod wozem», mówiono o kimś, komu się rozmaicie w życiu powodziło, kto zaznał różnych losów. Gdy ktoś, dla otrzymanych łask, musiał się zaprządz w cudzą służbę i słuchać go, wysługiwać mu się, powiadano: «Kto na czyim wózku jeździ, tego piosnkę śpiewa». A gdy trzeba było uleść przemożnej sile, posłuchać kogoś, kto miał moc i władzę rozkazywania, był od nas silniejszy, skarżono się: «tam wóz musi, gdzie konie się naprą». Rzeczy zbyteczne, niepotrzebne nazywano «piątem kołem u wozu». Śmierć nawet miała jeździć na wozie, ale gdy już przyjechała, to nie chciała się wracać: «śmierć wozem nie zawraca».

Polacy odznaczali się zawsze towarzyskiem usposobieniem, to też, siadając na wózek, nie lubili siadać sami, ale starali się zawsze dobrać sobie towarzysza podróży: «towarzysz rozmowny stanie za wózek smarowny». A towarzyszem tym nie zawsze nawet bywał przyjaciel: szlachta polska lubiła wogóle prawować się, otóż zdarzało się nieraz, że dwu uboższych szlachciców z jednej miejscowości jechało na sąd na jednym wózku, niby dwaj przyjaciele, w rzeczywistości zaś dwaj współzawodnicy, procesujący się między sobą zajadle.

Co prawda, takie jeżdżenie do sądu na jednym wózku zdarzało się już później, kiedy wózki były właściwie zastąpione bryczkami: w czasach powszech-

nego panowania wozu, sady, a więc i prawowanie się nie były jeszcze weszły w powszechne użycie.

Z prostego wozu powstała bryka, która też początkowo mało różniła się od niego. Główną różnicę stanowiło to, iż bryka miała zawsze pokrycie z płótna lub skóry, rozciągnięte na obłakach, podczas gdy



Furka zakopiańska.

wozy proste, kolasy nie zawsze je miały. Był to więc najdogodniejszy wóz staroświecki do podróży lub do wożenia towarów. Z naszych bryk szczególnie słynęły krakowskie i brodzkie. Te dawne bryki wyglądem najwięcejby się zbliżyły do dzisiejszych furmanek zakopiańskich, pokrytych również płótnem, ale już znacznie lżejszych i zaopatrzonych w wy-

godne siedzenia na pasach. Siedzenia takie zaczęto urządzać już później.

Podróżowanie brykami dochowało się do ostatnich czasów.

Jeszcze w wieku zeszłym wielkie żydowskie bryki kursowały pomiędzy wszystkimi naszymi miastami, a jeździli nimi wszyscy, których nie stać było na opłacanie wygodniejszych i wykwintniejszych, ale za to droższych karetek pocztowych.

Nie wiele więcej, jak 20 lat temu, przed otwarciem kolei Dąbrowskiej, wyjeżdżały ogromne kryte bryki z Warszawy z okolic placu Grzybowskiego i wiozły podróżnych do Radomia i Kielc. Jechało się nie tak prędko jak dziś koleją, bo konie żydowskie przy tych brykach, chociaż bardzo wytrzymałe, nie odznaczały się rącością, a ciężar miały spory do dźwigania. To też jazda z odpoczynkami trwała ze dwa dni, a cóż dopiero, gdy w trakcie podróży wypadła sobota i odpoczynek świąteczny furmanal

Z ciężkich, ładownych bryk powstały lżejsze i mniejsze, chociaż również niezbyt wygodne bryczki. Z powodu swej lekkości i braku resorów podskakiwały one i trzęsły niemiłosiernie; dogodniejsze jednak były do jazdy bez pakunków lub na małą odległość, jako lżejsze od bryk i wymagające mniej koni. Cała szlachta uboższa, a nawet średnio zamożna jeździła na bryczkach, nie chcąc już siedzieć na wozach, jak chłopci, a nie mogąc sprawić sobie zbyt kowniejszych powozów, jak wielcy panowie. W dni świąteczne i jarmarczne roiło się u nas na drogach od furmanek

chłopskich i bryczek szlacheckich, turkoczących i skrzy-  
piących w zawody:

Na gościńcu i drogach, od samego ranka  
Panuje ruch niezwykły. Stąd chłopska furmanka  
Skrzypi, lecąc, jak poczta; stąd szlachecka bryka  
Cwałem turkocze, drugą i trzecią spotyka.

Powrót pana Tadeusza ze szkół do domu poeta  
tak przedstawia:

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek  
I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.

A przedstawiając zjawienie się szlachty na po-  
moc uwięzionym braciom we dworze sędziowskim,  
Mickiewicz sadza wszystkich na wielkie bryki, które  
nazywa zresztą także i wozami: tam bowiem gdzie  
brano duży ładunek lub gdzie razem zabierało się  
dużo osób, małe bryki nie były dogodne:

Książd na pierwszej bryce  
Jechał, kapturem nawpół przysłoniwszy lice.  
I drugiej bryki furman równie był poznany:  
Stary Maciek Rózczecka, za chłopą przebrany.  
Na trzecim wozie Prusak w kubraku wytartym,  
A pan Zan z Mickiewiczem jechali na czwartym.

Jeżdżenie bryczką oznaczało niezamożną szlachtę,  
to też wielcy panowie nie radzi widywali bryczki  
przed swymi pałacami: «bryczyną do pałacu zajeź-  
dzać nie wypada». Nie wszędzie tak bywało, nie  
wszędzie duma tak się panoszyła, ale, niestety, podróż-  
nego, przybyłego bryczką do wielkiego pana, spoty-  
kało nieraz takie przyjęcie, jakie przedstawia poeta:

Gdy przybędziesz tam nieznany,  
Pan cię dumnym okiem zbada:  
Sam zamorską mową gada,  
A z błazeńska dwór ubrany.  
Na to tylko w dom cię prosi,  
By cię dumą upokorzył,  
Bo łaskawie ledwo znosi,  
Że i ciebie Pan Bóg stworzył.

Zresztą taką dumę, takie pysznienie się nie z osobistej zasługi, ale z urodzenia, z pochodzenia, z rzeczywistych czy urojonych zasług przodków—można było spotkać i wśród szlachty uboższej. Mickiewicz w «Panu Tadeuszu» kilkakrotnie podaje opis kłótni szlachty zagonowej, spierającej się o to, czyj ród jest starszy i szacowniejszy, przyczem nie jeden z tych szlachciców, jeżdżących bryczkami, wywodził się od dawnych książąt i wynosił się z tego ponad sąsiadów.

Szczególnie odznaczał się taką butą ród Jurahów, którzy byli istotnie potomkowie książąt zubożałych przed wiekami. Jeden z tych Jurahów woła w «Panu Tadeuszu»:

Ale ja z kniaziów! pytać u mnie o patenta,  
Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamięta.

Sąsiedzi Jurahów lubili sobie drwić z tych książąt, bo pyszałkostwo wzbudza zawsze śmiech i drwiny. Jurahowie jeździli bryczkami, tak jak i cała uboższa szlachta, a u osi bryczki wisiała jak zwykle maźnica — drewniane naczynie ze smołą do smarowania osi. Przy każdym podskoczeniu bryki maźnica podskakiwała również i trzęsła się na wszystkie strony. A gdy dumny Juraha mijał pędem na gościń-



cu innych szlachciców, ci wskazując na trzęsącą się maźnicę, wołali: «baczość, mości książe, wasze-cina mitra książecka telepie się <sup>1)</sup> okrutnie pod wozem!»

Obok parokonnnych bryczek szlachta uboższa używała także mniejszych, jednokonnnych, zwanych kałamaszkami. Mickiewicz tak opisuje zjeżdżanie się okolicznej szlachty zaściankowej do Maćka Dobrzyńskiego:

Tymczasem szlachty coraz gęściej przybywało:  
Dobrzyńscy prawie wszyscy, sąsiadów niemało  
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbronni,  
W kałamaszkach i bryczkach, i piesi i konni.  
Stawia wozy, podjezdki do brzezinek wiążą.

Prosta rzecz, że do bryczek i kałamaszek nie używano wielkich koni, ale drobne podjezdki: lepszych nie warto było zaprzęgać do takich lichych powozów, a zresztą właściciele nie stać byłoby na lepsze konie.

Na kałamaszkach jeździli także kwestarze, to jest braciszkwowie klasztorni, zbierający datki dla klasztorów. Chodźko, autor świetnie napisanych i ogromnie obrazowych «Pamiętników kwestarza», tak opisuje wyjazd na kwestę, to jest na zbieranie datków: «Nazajutrz, urządziwszy, jak mogąc, kałamaszkę i założywszy owego wielkiego kusego konia, zjechałem przed klasztor».

W klasztorach miewano konie, jak się zdarzyło, nic więc dziwnego, że w tym wypadku braciszkwowi do kałamaszki dano jaką ogromną «kandybę»,

---

1) Kiwa się, trzęsie się.

która, prawdopodobnie, pełniła dawniej inną służbę i pamiętała lepsze czasy, niż jazda po kweście. Zresztą tutaj nadawała ona nawet do kwestarza, którym był dawny dworzanin księcia Radziwiłła, ukrywający się w klasztorze i pod habitem przed gniewem pana.

Przytem kwestarz nie wyruszał nigdy w świat samą kałamaszką, bo na taką maleńką bryczuszkę nie wiele dałoby się zebrać darów. Brał on jeszcze zwykle ze sobą ładowną, ciężką brykę lub wóz, a do niej roślejsze, w każdym zaś razie przynajmniej silniejsze konie. Po otrzymaniu darów kwestarz ruszał w dalszą drogę.

Nadzwyczaj lekkie, ale też i nadzwyczaj trzęsące bryczki zwano także taradajkami albo dryndulkami, które to nazwy nadzwyczaj dosadnie malują ich charakterystyczne właściwości.

Biedka był to maleńki wózek prostej budowy i bardzo trzęsący. Jeździli nią głównie posłańcy oraz drobni handlarze żydzi. Biedki można i teraz widywać po wsiach i małych miasteczkach.

Bryczki resorowe nie trzęsące powstały później, a jako dogodniejsze, z każdym dniem wypierają co raz bardziej staroświeckie kałamaszki i taradajki.

Obok bryk i bryczek odróżniano jeszcze tak zwane skarbniki i skarbniczki.

Skarbnik czyli wóz skarbnny był to porządny, mocny, zazwyczaj czterokonny wóz z przykryciem przeznaczony do wożenia za królami lub książętami żywności, obroków i różnych przyborów podróжных. Następnie nazwę tę przeniesiono na wozy, które towarzyszyły wojskom, a których dostarczanie było

obowiązkiem miast. Większe miasta nadsyłały na wojnę po kilka «wozów skarbnych, oponami nakrytych, leguminami i narzędziami wojennymi naśpizowanych». Mniejsze miasta składały się w kilka na jeden wóz. Każdy taki wóz musiał być zaprzężony w parę lub czwórkę dobrych koni, mieć porządnego woźnicę i jednego lub dwu uzbrojonych pacholków do obrony jego zawartości.

Oprócz skarbnych wozów wojennych były jeszcze skarbniki do wożenia pieniędzy przy ściąganiu podatków. Takie wozy miały również pokrycie, a oprócz tego wewnątrz zamczyste skrzynki na pieniądze.

Skarbnikami nazywano także czterokonne wozy dworskie, w których za pańskim pojazdem wieziono w podróży przybory kuchenne, zapasy, obroki dla koni i pościel; na skarbnikach tych jechała także służba.

\* W ten sposób skarbnik był niejako czemś arystokratyczniejszym od bryki, która służyła głównie do rozwożenia towarów i do wspólnej podróży dla tych, którzy nie mieli własnych powozów.

A tak jak z bryki powstała mniejsza i lżejsza bryczka, tak ze skarbnika utworzył się poręczniejszy skarbniczek. Skarbniczkami jeździła szlachta w pole i na objazd folwarków, a także w niedzielę do kościoła i w interesach do miasta.

Wielcy panowie nie używali skarbniczek. To też z czasem i zamożniejsza szlachta zaczęła nimi pogardzać, naśladując panów i przekładając nad nie wykwintniejsze pojazdy. Kajetan Węgierski, poeta

z czasów Stanisława Augusta, powiada, że modnej szlachciance nie dogadzał już skarbniczek staroświecki, wołała ona bowiem:

Aby ją na sprężynach giętkich zawieszoną  
Po balach, po asambłach kareta woziła,  
Niż gdyby do kościoła skarbniczkiem jeździła..

W Warszawie za czasów Węgierskiego wyśmiewano się ze szlacheckich skarbniczek, zjeżdżających do stolicy, chociaż posiadacze ich bywali ludzie porządniejsi, a częstokroć i zamożniejsi nawet od modnych paniczów, rozbijających się po bruku miejskim w eleganckich pojazdach.

---

### VIII. Wykwintniejsze pojazdy.

Z pierwotnych wozów czyli kolas rozwinęły się stopniowo ciężkie ładowne bryki i skarbniki, a z nich później różne odmiany lżejszych bryczek i skarbników.

Z tychże samych wozów powstały również wszelkie rodzaje wykwintniejszych pojazdów, a to przez udoskonalenie ich wyrobu i wprowadzenie różnych udogodnień, jak miękkie wyściełania, pasy, a potem resory, które usunęły trzęsienie po nierównych drogach i zrobiły jazdę przyjemniejszą i mniej męczącą. Z wyściełań i resorów skorzystano zresztą później także do ulepszenia bryczek i skarbników.

Pierwsze wzmianki o pojazdach u nas nie sięgają po za wiek XIV, a pierwsze udoskonalenie, jakie

wprowadzono, polegało na możliwie szczelnem osłonięciu podróżnych od deszczu, wiatru i zimna oraz na miękkim wysłaniu wewnątrz, ale jeszcze bez wprowadzenia pasów, usuwających trzęsienie. Takie właśnie urządzenia miały starodawne pałuby, o których wzmiankę znajdujemy w spisie powozów królewskich Jadwigi i Jagiełły.

Pałuby były to jakby niewielkie domki, plecione z łubu i osadzone na kołach. Domki te z jednej tylko strony posiadały otwór okna, tak, że w razie przewrócenia się pojazdu na tę właśnie stronę, podróżni byli zamknięci, jakby w ciemnicy. Wewnątrz pałuba wybita była płótnem i suknem różnobarwnem, obwieszona bogatymi kobiercami i wysłana poduszkami. Żeby podróżnym było w nich przestronnie, pałuby robiono ogromne tak, że do wybitcia całkowitego jednej potrzeba było po sto kilkadziesiąt łokci materyi, a zaprzęgać do nich musiano po kilkanaście par koni. Żeby zaś pojazd nie uległ wywróceniu się na nierównych i wyboistych drogach, towarzyszyli mu z boku pieszo silni pachol-kowie, którzy go podtrzymywali w razie potrzeby.

Pomimo bogatego i miękkiego wysłania, pałuba nie była zbyt wygodnym pojazdem, chyba w porównaniu z prostymi kolasami. Nic też dziwnego, że znikła wprędce z widowni, ustępując miejsca wygodniejszym kolebkom, o których pierwszą wzmiankę znajdujemy również w spisie pojazdów królowej Jadwigi.

Kolebka był to pojazd, w którym pudło — prawdopodobnie początkowo taki sam, ale mniejszy do-

mek lubiany, jak w pałubie—osadzone było na łańcuchach lub pasach skórzanych. Wskutek tego nie trzęsło się ono na nierównych drogach, lecz kołysało, kolebało tak, jak kolebka dziecinna, a stąd i nazwę do niej zastosowano tę samą.

Kolebki królewskie i wielkich panów były wybijane aksamitem i drogiemi materyami, a z zewnątrz zdobione złotem, srebrem oraz klejnotami. Taką wspaniałą kolebkę, błyszczącą od złotych ozdób, posiadała królowa Jadwiga. Wiadomo jednak, że, chociaż niewiasta, nie była ona bynajmniej zniewieściałą i pod względem hartu mogła zawstydić niejednego mężczyznę, zwłaszcza dzisiejszego. Konna jazda nie była też jej wcale obca i w czasie większych podróży królowa częściej dosiadała bogato przystrojonego sekiela, niż korzystała z miękkich poduszek kolebki.

Tak samo zresztą często jeździła konno i siostra Jagiełły, Aleksandra księżna Ziemowitowa mazowiecka, a król, dogadzając jej upodobaniu, ofiarowywał doskonale siodła, jako najodpowiedniejszy podarunek i rzecz najniezbędniejszą do drogi.

Z czasem kolebki wchodziły coraz bardziej w użycie, a zdobiono je coraz okazalej i z coraz droższych wyrabiano materyałów. Kolebka królowej Bony była srebrna. Król Zygmunt August ofiarował synowi królowej Izabeli wspaniałą kolebkę barwy pomarańczowej, upstrzoną wzorzysto złotymi kwiatami. Anna Jagiellonka jechała na elekcyę króla Stefana w przepysznej kolebce, zaprzężonej w nadzwyczaj piękne, rasowe konie. Na znak żałoby objano ko-

lebki całkowicie czarnem suknem lub malowano na czarno.

W zdobieniu kolebek sadzono się na takie zbytki, aż Skarga karciał je z ambony i przepowiadał słusznie, niestety, że «pychę tę Bóg poniży pogańską niewolą, w której was miasto<sup>1)</sup> złotych kolebek na kolasach powłoką». Znakomity nasz kaznodzieja użył tu wyrazu «kolasa» w dawnym znaczeniu prostego wozu.

Długi czas kolebki służyły wyłącznie do użytku kobiet, naturalnie tylko królowych lub wielkich pań. Mężczyźni, nawet królowie, dłuższy czas wstydzieli się siadać do pojazdów, uważając jedynie dosiadanie konia za właściwy sposób podróżowania dla mężczyzny. Górnicki, pisarz z w. XVI, powiada w swych «Dziejach»: «Król na koń, a królowa do kolebki wsiadła».

W związku z tem pozostawieniem dla płci słabszej i delikatniejszej wygodniejszego sposobu podróżowania, pozostawał także sposób czci dla kobiet, którą wyrażano w ten sposób, iż mężczyzna, nawet starszy, ale zdrow, nie ośmielił się usiąść obok kobiety w powozie.

Tenże sam Górnicki opowiada, że «kiedy kogo z płci pięknej uczcić chciano, mężczyzna, acz znakomity, nie poważał się usiąść z taką osobą w kolebce, lecz na stopniu tylko stawał». I opisuje dalej, jak Barzy, starosta, towarzyszył w ten sposób córce

---

<sup>1)</sup> Zamiast.

Beaty księżny Ostrogskiej, «stojąc na stopniu u jej kolebki i uczciwość <sup>1)</sup> wielką onej wyrządzając».

Każdy przyzna, że takie podróżowanie na stopniu kolebki nie musiało być zbyt wygodne. Ale też zato zwyczaj ten dosadnie maluje szacunek dla kobiety i chęć oddania jej całkowicie do rozporządzenia wygodniejszego miejsca: rycerz, który piersią i krwią własną osłaniał kobietę przed najściem wroga, uważał, że i w pokoju należy jej oddać lepszą część, jako istocie słabszej fizycznie i potrzebującej większych wygod.

W zwyczaju tym, który poczytywano za znak najwyższego uszanowania, widziano także przypomnienie bohaterskiej śmierci Gary, który w tej pozycji walcząc, poległ w obronie królowej Elżbiety, matki naszej Jadwigi. Było to w czasie zamieszek na Węgrzech, gdy królowa Elżbieta, jadąca do Krocacji, została obskoczona przez przeważający oddział nieprzyjaciół. Cały jej orszak zginął wkrótce i pozostał z niego jeden tylko Gara, który chcąc jak najdłużej bronić wrogom dostępu do swej pani, zeskoczył z konia i stanąwszy na stopniach powozu królowej, walczył z przemagającym nieprzyjacielem zajadłe i długo, aż póki sam nie zginął.

Czasy się zmieniają i stare zwyczaje idą w zapomnienie, bo nie odpowiadają nowym warunkom. Dziś byłoby rzeczą śmieszną chcieć okazywać szacunek kobiecie w taki sposób, przez stanie na stopniu powozu. Ale niemniej jest śmieszne, gdy

---

<sup>1)</sup> Grzeczność.



młody chłopak siedzi rozparty w tramwaju i nie ustąpi miejsca kobiecie stojącej, tembardziej, iż facyga nie jest wcale wielka: bo nie na wązkim stopniu stać trzeba, jak niegdyś, ale na szerokim i wygodnym ganku tramwajowym. Warto sobie w takiej chwili przypomnieć ten zwyczaj naszych przodków!

Jeszcze później, niż kolebek, zaczęto używać karet czyli karoc. Pojazd ten nie różnił się zasadniczo od kolebki, ale jako późniejszy był bardziej udoskonalony: pudło karety, opatrzone zawsze szklanymi oknami, nie wisało na pasach, lecz opierało się na resorach. Pochodzenie zresztą samej nazwy nie jest wcale wspaniałe: kareta bowiem pochodzi od kary, nazwy wozu o dwu mocnych i grubych kołach, na których osadzana była skrzynka drewniana. Nazwa powstała, prawdopodobnie, od podobieństwa pudła karecianego do tej skrzynki.

Kareta początkowo służyła tylko kobietom, tak samo, jak kolebka. Po mieście «jejmość kareta jeździ, a jegomość piechotą chodzi», albo towarzyszy jej konno w podróży.

Karety księżniczek i królowych były również suto zdobione, jak i kolebki: król Zygmunt III obdarzył księżniczkę Annę austryacką, narzeczoną swoją—wspaniałą kareta, wysłaną aksamitem różowym ze złotymi gwoździami; wogóle złożone w niej były wszelkie żelazne części, a w dodatku na wierzchu znajdowały się jeszcze róże złociste. Kareta królowej Maryi Ludwiki była zewnątrz obita błękitnym aksamitem, a wewnątrz srebrną materyą lita; gwoździe, gałki, galony i frendzle były również srebrne,

Kareta królowej Cecylii Renaty, żony Władysława IV, składała się z samych prawie okien, ale tu już nie chodziło królowej o popis i piękność pojazdu, ale o to, aby mogła wyglądać z każdej strony i dostrzedz wszędzie nędzarzy na ulicy: była bowiem bardzo miłosierna, co sobota odwiedzała szpitale, a nędzarzy, napotykanych po drodze, pocieszała, wspomagała i ratowała, jak mogła.

Później kareta zaczęli jeździć i mężczyźni, a mianowicie różni wielcy dygnitarze i magnaci. Pasek opowiada, że na elekcyę króla Michała senatorowie zjeżdżali w karetach.

Szlachta jednak, nawet zamożniejsza, nieprędko zaczęła używać tego pojazdu. A cóż dopiero mówić o innych warstwach ludności!

To też przez długi czas kareta dla ogółu była uosobieniem wysokiego stanowiska, wielkich godności wspaniałego losu. Wprawdzie «szczęście kareta nie jeździ», powiada dawne przysłowie, w każdym jednak razie oznacza ona pomyślność, powodzenie, wybicie się na wyższe stanowisko: «w złotej karecie jeździłbyś po ulicach, gdyby nasz wiek uczynił zasługom twym sprawiedliwość», powiada Bohomolec. A o tem, że łatwiej jest znieść zmianę losu na dobry, niż na gorszy, mówiono: «lepiej wsiąść z wozu do karety, niż z karety do wozu».

Mickiewicz w jednym z ustępów «Pana Tadeusza» bardzo dobrze wyraził to imponowanie ludziom kareta, to uosobienie jakiegoś innego, niedostępnego świata, jaki ona przedstawiała sobą. Mianowicie Podkomorzy, jedna z osób, występujących w «Panu

Tadeuszu», porównywa z kareta niedostępne dla nas, krążące na dalekich przestworach planety i komety:

Astronomie planetę, kometę  
Uważają tak, jako mieszczanie karete,  
Wiedzą, czyli zajeżdża przed króla stolicę,  
Czyli z rogatek miejskich rusza za granicę;  
Lecz kto w niej jechał? po co? co z królem rozmawiał?  
Czy król posła z pokojem, czy z wojną wyprawiał?  
O to ani pytają.

I jeszcze jedną rzeczą imponowała kareta biedakom i wogóle chodzącym pieszo: przy szybkiej jeździe po ówczesnych błotnistych ulicach wielkie jej koła rozrzucały mnóstwo błota i obryzgiwały niem każdego przechodnia, który nie zdążył odskoczyć zawczasu. To też dawne przysłowie słusznie radzi: «z boku unikaj karety, konia z tyłu nie tykaj, a przed głupcem wszędzie zmykaj».

Z czasem namnożyło się coraz więcej gatunków karet, noszących rozmaite nazwy, rozmaicie zbudowanych i zdobionych. Wśród nich zasługują na uwagę brożki, bardzo dowcipnie nazwane od podobieństwa do brogów siana z przykryciem: karety te nie miały jednolitego, całkowitego pudła, lecz tylko rodzaj baldachimu, wspartego na cienkich kolumnach, z frankami zsuwającymi się i rozsuwającymi do woli. Taki właśnie brożek ma na myśli Zbylitowski, gdy pisze:

Kotszyszowie<sup>1)</sup> w atłasy kosztownie ubrani,  
W brożku kto, proszę, siedzi? jedna tylko pani.

---

<sup>1)</sup> Kotszyszowie—woźnice.

Powstało i wiele innych rodzajów powozów krytych, jak półkaretki—małe karety dwuosobowe; dormezy—wielkie karoce, w których w czasie podróży można było zasłać łóżko i spać, jak w domu; landary—ogromne poczwórne karety, rozkładające się i zamykające dowoli, coś w rodzaju dzisiejszego landa; remizy—karety, zrobione na fason angielski i wiele innych, które tu byłoby zbyt ciężkie wyliczać.

To namnożenie się różnych rodzajów karet i udoskonalenie ich wyrobu zrobiło je wogóle tańszymi i przystępniejszymi. Powoli używanie ich przestało być przywilejem i cechą magnatów. Ale że na nabycie karety i wtedy nawet nie każdy mógł sobie pozwolić, weszły więc najpierw w użycie karety publiczne, wynajmowane po miastach za pieniądze. Pojazdy te, zazwyczaj stare i podniszczone karety wielkich panów, zwano remizami, a później fiakrami.

Magnaci, lubiący zawsze wyróżniać się od ogółu, uważali za ubliżające własnej godności jeżdżenie najętymi powozami, do których mógł wsiąść każdy, kto zapłacił. Odwracali się też od nich z pogardą, powiadając:

Angielska remiza,

Gdy się już psuje, ku ruinie zbliża,  
Na fiakr numerowany potem obrócona,  
Już chyba od pospólstwa brana i placona.

Tymczasem wśród tak zwanego pogardliwie pospólstwa ileż znajdowało się ludzi godnych najwyższego szacunku i stokroć więcej wartych od tych, którzy własnymi jeździli powozami!

Ale chociaż wielcy panowie kręcili na to nosami, karety publiczne wchodziły coraz bardziej w użycie powszechne, jako wygodniejsze do odbywania podróży od dawnych, trzęsących bryk. Między miastami i po miastach zaczęły kursować: karetki pocztowe, omnibusy, dyliżanse. Cena jazdy była coraz mniejsza, bo nikt nie potrzebował zajmować całego pojazdu, ale płacił tylko za swoje miejsce. Jeżdżenie karetami stawało się coraz powszechniejsze i w zeszłym wieku był to najzwyczajniejszy sposób odbywania podróży z miasta do miasta; jeszcze przed laty 20 takie karetki pocztowe odchodziły codziennie z Warszawy oraz innych miast w różnych kierunkach.

W każdym jednak razie nie wszyscy mogli jeździć temi karetami, i w razie potrzeby odbycia dalszej podróży większość osób musiała korzystać ze starodawnych bryk, powożonych przez żydowskich furmanów. A cóż dopiero mówić o biedakach!

Tych zabrał do karety dopiero koniec ubiegłego stulecia: przed laty kilkunastu zaczęły kursować po Warszawie, Krakowie i innych większych miastach karetki Pogotowia ratunkowego, zabierające i odwożące do szpitali ludzi, którym na ulicy lub w domu zdarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek: złamanie nogi, przejechanie, lub nagły napad jakiej choroby.

Kareta więc zeszła do najniższych sfer, najwięksi nędzarze mogą już z niej korzystać, ale — słusznie powiada przysłowie, że «biednemu zawsze wiatr w oczy» — bo w jakiej chwili i w jakich warunkach korzystają z niej oni? Oto kosztem [nieszczęśliwego wypadku, którego następstwem bywa nieraz śmierć.

Mamy zresztą karety, wożące za stosunkowo nieznaczną opłatą zarówno ubogich jak i bogatych, a są niemi – wagony tramwajowe i kolejowe, ostatni wyraz udoskonalenia staroświeckich pałub: tak samo jest to rodzaj domków na kołach, ale o ileż dogodniejszych, lepiej urządzonych, no, i lepszych pod tym względem, że nikt nie potrzebuje spoglądać na nie z poządlivością, zazdrością i jakimś tajemnem uszanowaniem, jak ongi «mieszczanie na karete».

Prędzej od karet i pojazdów krytych rozpowszechniły się powozy półkryte czyli tak zwane kocze, kocze, koczyki. Nazwa ta pochodzi od nazwiska węgierskiej wsi Kocs, gdzie wyrabiano wozy, od których wziął początek ten rodzaj pojazdów.

Początkowo koczem nazywano kryty wóz węgierski, wogóle bardzo zbliżony do naszej bryki. Następnie nazwę tę zaczęto stosować do wozów półkrytych, w których szlachta przyzwyczajona do konnej jazdy i oddychania wolnem powietrzem, chętniej jeździła, niż w zupełnie zakrytych i z tego powodu dusznych karetach. Następnie urządzono w koczach pokrycie czyli budę ruchomą, dającą się dowolnie spuszczać i podnosić. Stanowiło to ogromne udoskonalenie powozu, pozwalało bowiem w czas piękny oddychać pełną piersią przy spuszczonej budzie, a w czasie deszczu dawało schronienie pod podniesioną.

Następnie, żeby ułatwić wsiadanie dodano stopnie i urządzono drzwiczki z boku, a wreszcie osadzono pudło na resorach i kocz stał się wygodnym, nie trzęsącym powozem, przekształcił się w dzisiej-

szy faeton. Był zaś lżejszy i dogodniejszy wskutek tego od karety i dlatego rozpowszechnił się prędzej od niej.



Jazda kawalerska.

Zamożniejsi i bardziej dbający o wygodę jeździli koczami; mniej zamożni i mniej wybredni siadali do koczobryków, które właściwie różniły się od

bryczek jedynie tem, że były półkryte i opatrzone budą ruchomą.

Z czasem koczów, tak samo jak i karet, zaczęto używać jako pojazdów publicznych, do wynajmowania: są to dzisiejsze półkryte dorożki warszawskie i fiakry krakowskie.

Kolebki, karety i koczki służyły do odbywania podróży dla osób, przyzwyczajonych do wygod, nie nadawały się jednak, jako zbyt ciężkie, do niewielkich przejażdżek, czy to na wsi, czy to w mieście. Można było wprawdzie używać w tym celu bryczek lub skarbniczek, ale te trzęsące powozy nie bardzo przypadły do gustu elegantom wielkomiejskim, którym właśnie najwięcej chodziło o możliwość wygodnego używania krótkich przejażdżek.

Poszukali więc sobie takich pojazdów we Francji i posprowadzali stamtąd rozmaite karyolki, kabriolety i inne powoziki lekkie, dogodne i zgrabne, ale zarazem dziwnie nielicujące z twardymi, rycerskimi zwyczajami dawnych Polaków. Co prawda, to wówczas (w końcu XVIII w.) coraz mniej było u nas «rycerzy służby kapłańskiej w habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy», zrosłych z koniem i siodłem i twardym życiem żołnierskim. Znajdowali się jednak w każdym razie jeszcze tacy nieodrodni potomkowie dawnych rycerzy, a widok francuskich powozików, przeznaczonych dla zniewieściałych paniczów, raził ich i obruszał niezmiernie.

To oburzenie dosadnie wyraził Mickiewicz w «Panu Tadeuszu», kładąc w usta Podkomorzego opowieść o pierwszym ukazaniu się karyolki na Litwie:



Pamiętam, chociaż byłem wtedy małe dziecię,  
Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie,  
Przyjechał pan podczaszyc na francuskim wózku.  
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.  
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem!  
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem  
Stała podczaszyca dwukolna dryndulka,  
Która się po francusku zwała karyulka:  
Zamiast lokajów w kielni siedziało dwa pieski,  
A na kozłach Niemczysko, chude nakształt deski;  
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,  
W pończochach, ze srebrnymi klamrami trzewiki;  
Peruka z harbajtelem, zawiązanym w miechu.  
Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,  
A chłopci żegnali się, mówiąc, że po świecie  
Jeździ wenecki dyabeł w niemieckiej karecie.

Tak to z tego samego prostego wozu, drewnianej chłopskiej kolasy, wytworzył się z biegiem wieków cały szereg najrozmaitszych powozów i pojazdów: z jednej strony powstały kute wozy, bryki, skarbniki, bryczki i skarbniczki, służące codziennej potrzebie ogółu ludności, a z drugiej kolebki, karoce, kocze, kabryolety, mające na celu dogodzenie wygodom warstw możniejszych. Aż wreszcie, jako zlanie się tych wszystkich najrozmaitszych powozów, wymyślono wagony, łączące w sobie wygodę z dostępnością dla wszystkich.

I na woźniku te zmiany nie pozostawały bez wpływu i on się zmieniał, zależnie od tego, w jakim pojeździe chadzał: stawał się ciężki, ale wytrzymały, gdy ciągnął furmańskie bryki i ładowne skarbniki; rozrastał się i imponował okazałością, gdy go zaprzęgano do wspaniałej poszóstnej karocy; rwał

z ogniem w czterokonnej szlacheckiej bryczce; albo wysmukły, cienki i delikatny unosił rączym kłusem po bruku miejskim lekki kabriolet z panem hrabią.

Wszystkiemu, zdawało się, mógł wydołać ten zwierz poczciwy, ten wierny towarzysz człowieka: czy w lekkim popisie zręczności, czy w ciężkiej pracy — wszędzie sprawiał się dobrze, wszystkiemu uczynił zadosyć. Aż wreszcie «przyszła kreska na Matyska» — koń zetknął się z zadaniami ponad siły, którym już nie mógł podolać: pociągnął jeszcze tramwaj, ale stanął bezradny wobec wagonów kolei żelaznej...

I musiał zejść na drugi plan, ustąpić pierwszego miejsca koniom parowym i elektrycznym, wozom ziejącym ogniem, motorom, poruszonym bez hałasu i huku niewidzialną siłą elektryczności. Smucić się tem nie mamy powodu, bo siły te mają tę przewagę nad koniem, że mogą więcej ludzi obsłużyć, więcej potrzeb zaspokoić.

---

## IX. S a n i e.

Już cug siwków zaprzęgnięty,  
Kopną drogą pędzą sanie,  
A śnieg płonie, jak dyamenty,  
Jak ócz cudnych migotanie!

Sadzi kłusem czwórka dziarska,  
Dziad z uznaniem kiwa głową —  
Prawy w dyszlu na wiatr parska,  
«Zdrowo, siwku! zdrowo, zdrowo!»

W kraju o takim klimacie, jak Polska, gdzie zima trwa kilka miesięcy i kilka miesięcy ziemia jest pokryta śniegiem, a wody lodem — sanie stanowią ważny środek komunikacji, częstokroć ważniejszy nawet od wozów kołowych.

Zima zaczyna się, a zwłaszcza zaczynała się dawniej dość wcześnie i wcześnie trzeba było brać się do sani. «Na Stanisława Kostkę (19 listopada) ujrzysz śniegu drobnostkę, a na Ofiarowanie (21 listopada) przydadzą-c się i sanie». Na «białym koniu», to jest ze śniegiem przyjeżdża zwykle święty Marcin (11 listopada):

Że śnieg na święty Marcin pospolicie pada,  
Na białym koniu jeździ, przypowieść powiada.

Agdyby przypadkiem zawiedli ci listopadowi święci i nie przynieśli sanny, to już zawsze stawał się na słowie św. Mikołaj (6 grudnia), ten prawdziwie zimowy święty, o którym w żartobliwym wierszu powiada poeta (Wład. Bełza), że, niosąc dla dzieci podarki z nieba, zawsze schodzi na ziemię w futrze:

Święty się ubrał w futro kunie  
I wprost na ziemię z nieba sunie.

Przysłowia dawne wyraźnie powiadają, że w początku grudnia należy się już przesiąść z wozu na sanie: «w święto Barbarki (4 grudnia) zdejm z góry sanki»; «na Mikołaja porzuć wóz, a do sani załóż». Nie tego bowiem wyjdiesz, jeśli i wtedy będziesz jeździł kołami: «święty Mikoła połamie koła, a zima nastanie i zbuduje sanie». Jeśli zaś nawet zdarzało

się tak czasami, że zima nie zdążyła się ustalić w grudniu i że Boże Narodzenie wypadło «po wodzie», to zwykle zato trwała ona dłużej i sanie były potrzebne na wiosnę: «Gdy na Szczepana (26 grudnia) błoto po kolana, to na Zwiastowanie (25 marca) wytoczym sanie».

Zresztą nikt się nie smucił z zaczęcia się zimy i ze śniegu, śnieg bowiem w naszym klimacie stanowi konieczną osłonę przed mrozem dla roślin zimujących, a także znaczne ułatwienie komunikacyi w bardzo wielu razach. To drugie jego znaczenie było szczególnie ważne dawniej, kiedy drogi kołowe znajdowały się przeważnie w stanie lichym, a z powodu większej ilości błota i bagien niektóre miejscowości stawały się zupełnie niedostępne w jesieni.

W takich warunkach zima ze śniegiem i mrozem była prawdziwem dobrodziejstwem, ułatwiała bowiem znakomicie komunikację.

Najgorzej było, jeśli chwyciły mrozy bez śniegu, jak się to czasem zdarzało w listopadzie lub grudniu: «na Świętego Mikoła, ni to sanki, ni to koła». Powstawała wówczas nieznośna gruda, na którą sanki były niemożliwe, a wozy i koła łamały się. Wówczas dopiero musiał suszyć głowę furman, rozwозяcy towary: «Ni rusz, ni włóż, ni na sanie, ni na wóz».

Ale gdy dobry mróz pościnał wody i pobudował na nich mocne mosty z lodu, a śnieg wygładził wszelkie nierówności i niedokładności dróg, jeździło się wówczas «jak po lodzie» i we wszystkich stronach kraju sunęły po śniegu sanie, dążące w naj-

rozmaitszych kierunkach i w najrozmaitszym celu. Każdy śpieszył skorzystać z tego, że można było jechać szybko, wygodnie i lekko: «kiedy jeździć, to już sanna!»

Sanie ukazywały się zaraz po spadnięciu większego śniegu, bo przezorny gospodarz przygotowywał je zawczasu, pamiętając o tem, że należy: «w zimie koła, w lecie sanie robić».



Kiedy jeździć — to już sanna!

I koń cieszył się również, bo łatwiej było ciągnąć sanie po śniegu, niż koła po nierównej drodze.

W zimie gospodarz rąbał drwa i zwoził je z lasu, zwłaszcza z miejsc, które w lecie bywały zupełnie niedostępne dla wozów: «Styczeń dobrze mrozi, gospodarz drzewa rąbie i drwa z lasu wozi». Furman ładował moc towarów na wielkie, szerokie sanie, zwane «rozwalinami», i śpieszył rozwieźć je

jak najwięcej, póki nie zacznie się wiosna i nie zmusi go do zmniejszania ładunku z powodu większej trudności drogi.

Rolnik na saniach wyprawiał zboże do miasta, a wzamian sprowadzał wyroby rzemieślników miejskich lub zamorskie towary, znajdujące się tam na składach. W małych, łubianych saneczkach pędzili posłańce lub drobni handlarze żydzi.

Ziemiańskie w wygodnych podróży saniach ruszali do miast w interesach lub na sądy, albo w odwiedzinach do dalszych krewnych lub znajomych. Sannie te były tak samo rozmaicie urządzone, jak i powozy: zupełnie otwarte dla żądnych powietrza i nie bojących się mrozu; półkryte, jak koczki, dla starszych i poważniejszych; a wreszcie zupełnie zakryte dla pań,—karoce z całkowitem pudłem i szklanymi oknami, osadzone wprost na płozach, albo nawet na pasach jak sanie Maryny Mniszchówny, przechowywane dotychczas w Wiśniowcu, na Wołyniu.

Lekkie małe sanie służyły do małych przejażdżek, tak przyjemnych i tak orzeźwiających, oraz do urządzania słynnych kuligów, w których właśnie chodziło o to, aby był jak największy łańcuch sanek, wybierano się więc na nie zawsze w małych dwuosobowych sankach.

I w sankach starano się jazdę uczynić możliwie wygodną. Tutaj to było jeszcze tem bardziej potrzebne, niż przy powozach kołowych, że chociaż sanna jest bardzo przyjemnym rodzajem jazdy, chociaż dawne przysłowie powiada, że «na saniach anielskie wrazenie», aby jednak ta jazda była prawdziwie

«anielską» i prawdziwie przyjemną, a nawet bezpieczną, trzeba koniecznie zabezpieczyć się należycie przed zimnem.

I z tem radził sobie każdy jak mógł i jak go stać było — «wedle stawu grobla», «tak krawiec krajał, jak mu matery stało:» biedak cieszył się, że mógł sanie wysłać słomą i w niej zanurzyć nogi, albo wsunąć je w worek. Pan bogaty wyścielał je sobie miękko poduszkami, skórami, a nogi otulał wilczurą lub baranicą i śmiał się z mrozu, który biedakowi przez słomę dawał się często we znaki.

Rujnowano się także nieraz na wyścielanie sanek kosztownymi materyami, na wybijanie ich atłasem, aksamitem, złotogłowiem tak samo, jak i kolebek pańskich. Sanie, w których przejechała Wisłę po lodzie królowa Marya Ludwika, jadąc na ślub swój do Warszawy, powleczone były błękitnym atłasem.

Zdobiono również sanie różnemi rzeźbami, zwłaszcza mniejsze i lżejsze, przeznaczone raczej do popisu i zabaw, niż do dalszych wycieczek. Robiono z nich nieraz prawdziwe cacka, któremi zachwycać się trzeba i teraz. Boki ich i oparcie bywały rzeźbione w rozmaity sposób, a przednie zagięcie kończyło się misternie wyrobioną postacią łabędzia, orła, gryfa, konia, syreny lub człowieka. Na strychach starych dworów jeszcze do niedawna można było znajdować szczątki takich sani, zdobionych nieraz w sposób prawdziwie artystyczny.

To zamilowanie do zdobienia właściwe jest całemu narodowi polskiemu: kochała się w niem nie-

tylko szlachta, ale i lud cały. Wielcy panowie zdobili swe sanie głowami rzeczywistych lub fantastycznych stworzeń, włościanie wyrzynali na swoich różne filarki, ząbki, gwiazdy oraz inne figury. Dziś, gdy zwyczaj zdobienia rzeźbą sani pańskich minął już oddawna, włościanie, więcej konserwatywni z natury i dłużej przechowujący starodawne zwyczaje, rzeźbią je tak samo, jak i niegdyś. Utrzymało się to wprawdzie nie we wszystkich okolicach kraju, i dziś jednak można widywać sanie mniej lub więcej pięknie rzeźbione na Mazowszu, Podlasiu, albo u górali tatrzańskich.

---

## X. Dawne zaprzęgi.

Powóz wraz z należącymi do niego końmi i całą ich uprzężą zwano dawniej ekwipażem, a nazwę tę stosowano zarówno do wykwinnych pojazdów, jak i do prostych bryczek, a nawet wózków, tylko konie dobierano do nich rozmaite i z rozmaitej ich liczby składały się różne zaprzęgi.

Do bryczek, skarbniczków, wózków zaprzęgano konie, jakie się dało, chociaż i tu każdy starał się o jak najlepsze, wedle swej możliwości: przy ówczesnych lichych drogach, pełnych błot i wybojów, lada koń nie bardzo się nadawał, na dalszą zwłaszcza drogę:

I najmądrzejszy woźnica, kiedy mdłe konie,  
Tedy w najmniejszym błotku po uszy utonie.



A jeśli bryczki potrzebowały dobrych koni, cóż dopiero było mówić o wykwintniejszych, a zarazem i cięższych pojazdach? Konie w nich nosiły rozmaite nazwy — karecianych, kolebczanych, brożkowych, cugowych; zawsze jednak odznaczały się siłą, piękną budową i okazałą postawą, a także dobrym kłusem, jedynie bowiem woźnik dobrze kłusujący, uważany był za odpowiedniego do zaprzęgu w pojeździe. O urodę w woźniku dbano bardzo tak samo, jak o ogień i fantazyę w wierzchowcu, woźniki bowiem nie tylko musiały sprostać ciężkiej pracy ciągnięcia pojazdu po złej drodze, ale także i prezentować się pięknie a okazale.

Nie dość jednak, że woźniki w pojeździe były rosłe i piękne, musiały one jeszcze być ściśle dobrane maścią, wzrostem, budową, aby cug uchodził za paradny, aby był maścisty i sprzęgły.

Konie, używane do zaprzęgu, należały do ras najrozmaitszych, tak samo jak i wierzchowce. Początkowo uganiało się najbardziej za tureckimi: posiadanie tureckich czyli turskich koni w zaprzęgu uchodziło za największą paradę, jak to widać wyraźnie z następującego dwuwiersza o elegantce, wystrojonej w dyadem i jadącej brożkiem, zaprzężonym w tureckie konie:

Ani jej w takiej chodzić przystoi koronie,

Ani tak drogie turskie w brożek wprzęgać konie.

Później atoli, gdy za Augusta III nastąpiła moda wysokich karet, konie tureckie, zarówno jak i polskie, nieodznaczające się zbyt wielkim wzrostem,

okazały się nieodpowiednie do nich, źle bowiem odbijały od wysokich pojazdów. Zaczęto więc wówczas formować cugi z ogromnych frezów, meklemburgów oraz innych rosłych koni niemieckich. Sam król August III kochał się w takich olbrzymich koniach, a cugi jego odznaczały się sprzęgłością, maścistością i okazałością ogromnej statury.

Przed użyciem w cugu tresowano woźnika nie mniej starannie od wierzchowca, sprzęgając go ze starymi końmi, aby nauczył się kłusować dobrze i zgodnie z nimi. Przyuczano go słuchać nie tylko bata i lejca, ale nawet głosu przy skierowywaniu w tę lub ową stronę. Lejcowe przyuczano, aby biegły prosto, nie kręciły się i nie obawiały się żadnych przeszkód. Dyszlowe ćwiczą w tem, żeby pod górę ciągnęły wytrwale, a z góry cierpliwie i powolnie spuszczały powóz, bo inaczej łatwo o wypadek «człek do złego leci, jako wóz z góry, a do dobrego, jako wóz pod górę».

Do ćwiczenia tak samo jak i przy wierzchowcach nie żałowano starań, cierpliwości i łagodności; ale też dochodzono do takich wyników tresury, jak w Mostach Wielkich (w województwie Bełzkiem), których mieszkańcy umieli tak tresować konie, że obchodziły się one zupełnie bez cugli i lejców.

Swoją drogą, chociażby się konie najlepiej wytresowało, nie można im było dowierzać zupełnie i puszczać się w drogę bez lejcy: «bez lejca, na wóz, bez wiosła na wodę, bez ostróg na konia—nie wsia-daj» — powiada dawne przysłowie.

Ale i same lejce nie na wieleby się przydały, jeśli je w rękę trzymał woźnica czyli furman nieumiejętny. «Nie każdej ręce powierzaj lejce», bo zły woźnica i koniowi da się we znaki i zepsuć go może i jeszcze narazi na przypadek w drodze. «Woźnica nieumiejętny, żyd śpieszący na szabas i chłop pijany — koniowi dobrze znany», ponieważ każdy z nich dobrze go wymęczy. «Zły powoźnik najlepsze ponarowi konie». Zły furman z niczem sobie nie umie poradzić: «złemu furmanowi i biczysko za długie i oś krzywa».

Zato dobry woźnica ze wszystkim sobie daje radę: «dobry furman na miejscu skręci», «nie zawadzi», «i drewnianym koniem pojedzie, gdy zły i arabskim nie pojedzie», «i o trzech kołach zajedzie». Słowem, prawie że cudów dokazuje, a jeśli mu się zdarzy wywrócić—bo przecież «rzadki furman, który nie wywróci», to przynajmniej «odrazu wywraca».

Dobry woźnica powoził ostrożnie i umiejętnie, a sprawę swą zaczynał zawsze z Bogiem: przed wyruszeniem robił biczem znak krzyża nad końmi, aby podróż była wolna od przypadku, wiedział bowiem, że:

W niebie nakręcają  
To koło, po którym przypadki biegają.

Następnie palił z bicza wprost i na odlew; potem ruszał w drogę śmiało, ale uważnie. Miejsca niepewne omijał, bo «lepiej objechać, niż ulgnąć»; na tylne koła bacznie się oglądał, bo z niemi właśnie o przypadek najłatwiej, a «zły to woźnica, co na tylne koła nie obraca lica». Z góry nigdy nie poga-

niał, bo tak można i powóz połamać i samemu kark skrócić: «szanuj góry i mosty, chcesz-li mieć kark prosty». W górę folgował koniom. A gdy już dojeżdżał do celu, znów palił z bicza na powitanie, i potem nagle zatrzymywał konie, aż się zaryły w piasek podwórza.

W woźnicy ceniono ogromnie, aby powoził nie tylko dobrze, ale i ładnie, okazańie, i dopiero to nazywało się umiejętnem powożeniem. To też woźnice ubiegali się o doskonałość w nagłym zatrzymywaniu koni oraz w paleniu z bicza, a panowie tak się kochali w takich hałaśliwych popisach, że czasami furmanom, zwłaszcza wiozącym z konia, dawano pistolety, nabite tylko prochem, i na każdy rozkaz pana woźnica strzelał z nich. Później miejsce pistoletów zajęła trąbka, a z umiejętności grania na niej słynęli szczególnie pocztarze.

Do powozów zaprzęgano rozmałą liczbę koni. Ludzie ubodzy jeździli jednym koniem, bo wprawdzie «jeden, jako nic», «jeden niewiele może» — zawsze jednak wygodniej jechać nawet biedką, niż iść piechotą. Jednokonne zaprzęgi miewali ubożsi chłopci, drobna szlachta zagonowa, kwestarze klasztorni, żydzi faktorzy i inni, o których przysłowie powiada: «sam pan, sam furman».

Ale że «co to dwa, to nie jeden», «dwa więcej mogą, niż jeden»—więc też każdy, kogo tylko stać było na to, starał się jeździć parą. Parokonnych zaprzęgów używała większość włościan i szlachta bryczkowa.

Zamożniejsi krzywili się na jeżdżenie parą i nazywali taki zaprząg sprośnym, to jest brzydkim. Zdarzało się nawet nieraz tak, że dorabiający się ojciec jeździł w dwa konie, a syn wzbogacony nie chciał już patrzeć na taki zaprząg i trzymał cugi, chociaż przysłowie mówiło: «kto trzyma cugi, ten lezie w długi».

Co ojciec jeździł parą, czasem dryją,  
To pan syn chował koni procesyją.

Dryja pochodzi od wyrazu niemieckiego «drei» i oznacza zaprząg, złożony z trzech koni. Zaprzęgu tego używano rzadko i niechętnie, częściej przytem cugiem, to jest jeden koń w lejcu a dwa w dyszlu, niż w porącz, czyli wszystkie trzy konie w jeden rząd. Taki cug trzykonny był najmniej okazałym ze wszystkich i służył prawie wyłącznie do robót w polu, a czasem do transportów.

Do podróży używano zazwyczaj zaprzęgów poczwórnych i poszóstnych. Poczwórny był mniej okazały i używała go mniej zamożna szlachta; poszóstnie jeździli wielcy panowie oraz zamożniejsza szlachta, starająca się im dorównać i naśladować ich we wszystkim.

Jazdy czwórką w porącz nie lubiano: zużytkowuje ona wprawdzie w lepszy sposób siły koni, które równomierniej ciągną i równomierniej natężają się, ale zato nie nadaje się zupełnie do węższych dróg i nie odpowiada lekkości i lotności koni polskich, które przy zaprzęgu wściąg lepiej mogły okazać swe cechy przyrodzone. Zaprzęgano też po-

wszechnie konie wciąż nie tylko do pojazdów, bryk i wozów podróżnych, ale nawet i do fornalek to jest wozów gospodarskich. Czasami cug podróżny składał się z 5 koni, wówczas zaprzęgano 3 konie w lejcu a dwa w dyszlu.

Piątkami i czwórkami powożono najczęściej nie z kozła, ale z konia, przyczem woźnica, zwany wówczas stangretem albo forszpanem, siedział na lewym dyszlowym. Powożenie z konia wymagało również umiejętności, a Mazurzy szczycili się, iż posiadali ją w wyższym stopniu od innych:

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,  
Sławne konie w Ukrainie.  
Ale kto, jak Mazur właśnie,  
Wioząc z konia, biczem trzaśnie!  
Kiedy jedzie do Warszagi,  
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!

Za najparadniejsze, prawdziwie pańskie i królewskie uchodziły cugi poszóstne, do których zazwyczaj oprócz zwykłego woźnicy brano jeszcze tak zwanego forysia, siedzącego na jednym z koni lejcowych. Na ważne znaczenie forysia wskazują niektóre przysłowia, w których ten wyraz użyty jest w znaczeniu rozumu: «poznać po mowie, czy jest forys w głowie». «Kto ma dobrego forysia w głowie i gospodarność, ten łaski nie potrzebuje».

Czasami, ale rzadko i chyba do pojazdów królewskich, zaprzęgano po 8 koni, jak to było w karcie, którą Zygmunt III obdarzył arcyksiężniczkę Annę Austryacką, narzeczoną swoją: ciągnęło ją 8

wspaniałych siwoszów tureckich w uprzęży z aksamitu czerwonego, ponatykanego złotem.

Poszóstnymi cugami jeździli senatorowie i magnaci, a także wszystkie panie majątniejsze, zwłaszcza starsze, aż szlachta sarkąła na to, że «jedną białogłową, którąby człek mało nie na dłoni poniósł,



Jazda czwórka.

albo jeden koń lekko mógł powieźć, sześć koni wiozą. Jedną białogłową, z którąby mucha uleciała, sześć woźników tureckich, każdy po kilkaset złotych, wozi. Czyż to nie marnotrawstwo?»

Zwyczaj zaprzęgów poszóstnych powstał z potrzeby: na bardzo bowiem lichych drogach ówczesnych grzęzło się często, a mniejsza liczba koni nie zawsze mogłaby podoląć wyciągnięciu ciężkiej karocy

z błota. Z czasem jednakże moda ta tak się rozpowszechniła, że nawet na niedalekie wyjazdy zaprzęgano cugi poszóstne, bo mniejszy zaprzęg wydawał się ubliżeniem godności pańskiej, zniżaniem się do poziomu zwykłej szlachty, która jeździła czwórkami. Ale i zwykła szlachta, małpując panów, starała się także mieć cugi poszóstne, chociaż nie zawsze starczyło na nie.

Zapewne dobrze to było mieć sześć koni w zaprzęgu, jak powiada przysłowie: «kto ma sześć koni w wozie, tysiąc złotych w szkatule i pannę we dwu milach, ten może czapkę na stole położyć», to znaczy, może być pewnym siebie, uważać się za zamożnego. Ale trzeba było nie nabywać koni tak, aby to pociągało za sobą rujnowanie się, trzeba, aby odpowiadały one rzeczywistej zamożności, a nie tak, jak w tym dwuwierszu:

Sześć koni nieco lepszych, liczna czeladź dworska,  
Wydalo się, że wali godność senatorska.

W rzeczywistości zaś był to zwykły szlachetka, który za te cugi poszóstne w młodości, musiał później na starość chodzić piechotą albo jeździć parą, a nawet biedką.

A jednak takie było rozwielmożnienie się zbyt ków w ostatnich wiekach, taka chęć dorównania wielkim panom, którzy znów sami przesadzali się w rozrzutności i marnotrawstwie, że nawet ci, którzy wcale nie posiadali pojazdów, starali się przynajmniej fornalkami jeździć poszóstno, żeby nie być gorszymi od innych. I to, co początkowo wywołane



było jedynie potrzebą, przeszło później w bezmyślną rozrzutność i małpowanie.

Niemniej karygodne i rujnujące było nadzwyczajne zdobienie uprzęży, na które sadzili się wszyscy jeden przed drugim. W zasadzie nie było w tem nic złego, że się chciało konia przystroić, nadać mu piękniejszy wygląd, bo słusznie sądzono:

Że też niemniej i konie do siebie to czują,  
Że w złocie, że i złote wędzidło smakują...

zwłaszcza, gdy z dobrej rasy, a z drugiej strony: «najcudniejszy koń, gdy się go szpetną gunią zakryje, i oszpetnieje i nie tak dobrej myśli będzie». Należało jednak umieć zachować miarę we wszystkim.

Pierwotnie uprząż na konie była bardzo prosta i możliwie łatwa do zrobienia: szleja parciana z postronkami albo też łyczana, zależnie od tego, jaki miano materyał w danej okolicy. Szleje takich włościanie używają i dziś w wielu miejscach. Później dopiero postronki i łyka ustąpiły miejsca mocniejszej, trwalszej i dogodniejszej uprzęży rzemiennej, ale robionej jeszcze tym samym kształtem szleji.

Szleja jednak stanowi bardzo niewygodną uprząż, zwłaszcza przy ciągnięciu ciężarów po nierównej drodze, ponieważ ugniata piersi koniowi i przez to utrudnia oddech, a przy spuszczeniu wozu z góry, opiera cały ciężar na szyi, na którą bezpośrednio włożony jest naszyjnik.

To też do ciężarowych bryk i wozów furmańskich zaczęto z czasem używać znacznie dogodniej-

szych chomątów, mających kształt obłąków skórzanych, wypchanych słomą, włosiem lub pakułami i ściągniętych kleszczami drewnianymi. Spoczywały one na łopatkach, a nie na szyi i koń w chomacie ciągnął całym karkiem, nie wysilał więc piersi ani szyi. Aby zaś wielkie i ciężkie chomata nie ugniatyły zbyt karku, podścielano pod nie skórzane podkładki. W każdym jednak razie była to uprzęż wielka i nie nadawała się na małego konia, jak o tem powiada przysłowie, mówiąc o czemś niestosownem: «wygląda, jak mały koń w krakowskim chomacie». Ale też wogóle do wozu ciężarowego nie można brać małych koni.

Z czasem chomata, jako uprzęż dogodna, weszły w powszechne użycie do wszelkich zaprzęgów, nawet do pojazdów i dziś jeszcze dochowały się wszędzie. Na mniejsze atoli jazdy i do lżejszych powozów używa się rzemiennych półszorków i szorów. Do ciężkich wozów są one jednak tak samo prawie niedogodne, jak szleje, co wyraża przysłowie: «w szory kogo ubrać» — wystrychnąć na dudka, oszukać, dać mu coś nieodpowiedniego. Natomiast wyrażenie «chodzić w chomacie», oznacza ciężko pracować, do ciężkich bowiem wozów chomąt stanowi jedyną uprzęż.

Wraz z rozpowszechnieniem się używania chomąt do wszelkich zaprzęgów, a więc i na paradne wyjazdy, zaczęto je zdobić w najrozmaitszy sposób, a czynili to wszyscy: nietylko szlachta, ale i włościanie. Chęć ubrania strojnie konia była niejako objawem tego przywiązania do niego, jakiem Polacy zawsze się odznaczeni.

Najpiękniej strojono chomąta w Krakowskiem, gdzie lud nosi się strojnie i kocha się w różnych świecidelkach i brzękadłach. I dziś jeszcze najpiękniejsze chomąta tam właśnie można oglądać. Krakowskie chomąta miały kleszcze zakończone mosiężnem okuciem, najczęściej w kształcie główek końskich, jak to i dziś jeszcze można widywać; całe zaś ozdobione były kólkami mosiężnymi i płatami różnokolorowymi, które zwieszały się z boków. Nadzwyczaj malowniczo i dziarsko wygląda taki wóz, zaprzężony parą koni w strojnych krakowskich chomątach.

Do zdobienia chomątów oraz szorów w pańskich, a nawet szlacheckich zaprzęgach używano okuć srebrnych i złotych, takich-że blaszek, pereł, drogich kamieni, płatów z drogich materyi, kawałków skór lamparcich, niedźwiedzich lub tygrysich, a całkwitemi takimi skórami pokrywano same woźniki, zwłaszcza przy zaprzęgach zimowych w saniach. Na szyi i przy uprzęży czepiano rozmaite dzwonki; na głowę wkładano czuby, kity, pióropusze. Szory rzemienne powlekano aksamitem; lejce bywały jedwabne, przerabiane nicią srebrną lub złotą, także z rozmaitemi fiokami i ozdobami.

A później unoszono się nad pięknością uprzęży i zaprzęgu, jak owa elegantka, wołająca z zachwytem w komedyi Zabłockiego:

Te dzwonki, ten fiok biały przy tym wielkim czubie,  
Cug mój nowy, ach, mężu, jakże ja to lubię!...

Zresztą nie tylko kobiety lubowały się w błyskotliwie przyozdobionych zaprzęgach; tak samo

i mężczyźni sadzili się jeden przed drugim na kosztowne ubieranie koni w pojazdach. Już Mikołaj Rej uskarża się na zbytek w zaprzęgach: «Nuż zasię pojazdy nasze, koń za pięćset złotych, rząd za drugie—nuż owe alsbanty <sup>1)</sup>, dziwne muchry <sup>2)</sup>, strzępki, aż dziwno patrzeć na straszne wymysły świata tego».

A po nim niejednen obywatel, dbały o dobro ojczyzny i rozumiejący, jaką szkodę wyrządza jej marnotrawstwo, nawoływał do zaprzestania tych zbytków, do obrócenia raczej marnowanego grosza na potrzeby kraju: «Zaś by to nie lepiej było wyprawić na potrzeby Rzeczypospolitej owe konie, co w brożkach chodzą?»

Ale szął zbytków ogarnął ogół, nie słuchano wieszczych słów Skargi, ani nawoływań innych poważnych mężów, aż wreszcie sprawdziła się groźna przepowiednia słynnego kaznodziei o «powleczeniu na kolasach», a sprawdziła się na wszystkich, zarówno na tych, którzy broili i hulali w zbytkach, jak i na tych, którzy wiedli twardey żywot w ciężkiej pracy i znoju.

I dożyliśmy tego wszyscy nieochotni:  
Kareciani, wózkowi, konni i piechotni.

---

<sup>1)</sup> Alsbant, halsbant — naszymnik

<sup>2)</sup> muchra — frędzla.

## XI. Dawne drogi.

«Polski most, niemiecki post, cygańskie nabożeństwo — wszystko to blażeństwo», powiada Rysiński, pisarz z czasów Zygmunta III, w swoim zbiorze «Przypowieści polskich». A to jedno wystarcza do określenia stanu mostów, a co zatem idzie i dróg naszych, jeszcze w tym czasie.

Istotnie Polska słynęła zawsze z nadzwyczaj złego stanu swoich dróg, na co uskarżali się zgodnie wszyscy cudzoziemcy, którzy ją odwiedzali i podróżowali po niej. Ten zły stan był jedną z przyczyn, dla których tak długo przetrwał u naszej szlachty zwyczaj odbywania konno nawet dalszych podróży.

Istniały wprawdzie jeszcze za czasów Piastowskich gościńce dla kupców z towarami; istniały prawa określające szerokość tych gościńców i przepisy co do ich utrzymywania w stanie należytym. Ale przepisy te rzadko były wykonywane, drogi przeważnie wyboiste, bagniste, pełne dziur i błota, w których w każdej porze roku można było ugrzęznąć, a mosty przeważnie dziurawe i liche, zupełnie zgodne z określeniem Rysińskiego.

Winne tu było w części niedbalstwo i niedozór, w części warunki przyrodzone, dżdżysty i wilgotny klimat w połączeniu z brakiem rąk roboczych, potrzebnych do porządnego utrzymania dróg. Na Zachodzie, gdzie cywilizacja zaczęła się znacznie wcześniej, gdzie uprawa roli wcześniej poosuszała i pousuwała bagna, gdzie ludność była gęściejsza, — dobre drogi

istniały oddawna i dlatego cudzoziemców raził zawsze tak bardzo stan naszych dróg.

Ale u nas, gdzie stosunkowo późno zaczęto trzebić lasy pod pola, gdzie szlachta, zajęta nieustannem odpieraniem najazdów nieprzyjacielskich, bardzo powolnie udoskonalała rolnictwo i powoli podnosiła kulturę ziemi,—bagna i błota znikaly też bardzo powoli i zły stan dróg przechował się do ostatnich prawie czasów, tembardziej, że ludzie tak się oswoili ze złemi drogami, że i potem nie chcieli brać się do ich naprawienia i podniesienia. Dobre gościńce liczniej zaczęły ukazywać się u nas dopiero w XVIII w.

W każdym jednak razie te dawne gościńce, na które furmani zagraniczni jeszcze za Stefana Bato-rego uskarżali się, że przyczyniają im dużo straty,—były, bądź co bądź, lepsze od dróg bocznych; na tych bowiem można było połamać kości i jeszcze w dodatku zablądzić.

To też starodawne przysłowia usilnie zalecają trzymać się utartego gościńca. Chociaż «prosta droga najkrótsza», jednakże «dla bliższej drogi nie schodź z gościńca», bo «dzierżąc się gościńca, nie zbłądzisz», a często «kto drogi skraca, do domu nie wraca», «kto drogi prostuje, ten w domu nie nocuje». Ale jakże dalekim był ten gościńiec od dzisiejszych szos i traktów bitych! ☹

Rzadko można było o nim powiedzieć, że «to droga, jak po stole», «po maśle», «choć jajko po niej tocz». Częściej za to można było na nim kark skrócić, a przynajmniej wytrząść się dobrze, «jak kobiałka za wozem». Wywrócenie się na drogach

należało do rzeczy powszednich, skoro zdarzało się nawet królewskim podróżnym; taki właśnie przypadek spotkał królową Bonę w czasie podróży po Sannockiem.

Szczególnie niebezpieczne pod tym względem były drogi w okolicach górzystych, pagórkowatych, prowadzące wąwozami. Miasto Skalbmierz (w Kieleckiem) uwieczniło się w przysłowiu za drogi okoliczne. «W każdej roku porze w wąwozach Skalbmierskich pilnuj się, nieboże!» A inne przysłowie tak określało drogi w okolicach gór Świętokrzyskich, ciągnące się wąwozami i przepaściste: «Woził nas, jak dyabeł swoją ciotkę po Łysej Górze».

Drogi na równinach wolne były wprawdzie od gór i wąwozów, ale za to posiadały inną niedogodność, nie mniej straszną w postaci błot, niewysychających częstokroć nawet w lecie: w błocie takim zagrząznąć było bardzo łatwo, a siedzieć w niem można było, Bóg wie, jak długo:

Gdy furman uwiązał z wozem w strasznem błocie,

Łatwo pomyśleć o jego kłopotcie:

Ani bicz, ni wioł — nic mu nie pomaga.

Dźwigać i przesuwać już nieraz się zmaga.

A inni, szczęśliwsi, którym udało się wyminąć błoto, powiadali, drwiąc, że «włazł w błoto, a wyleźć nie umie», radząc mu nieraz zamiast pomódz: «kto sam w błoto włazł, niech sam wylezie».

Błot i bagien było u nas dość wszędzie, nade wszystko zaś słyneły z nich Pińszczyzna i Polesie. Nie brakło ich jednak i w innych okolicach, a niejed-

na miejscowość została nawet uwieczniona w przysłowia-  
ch za swe błota: «Łączno złotem, Szczepre-  
szyn błotem, Lublin winem, Kock rabinem słyną»;  
albo: «Zachowaj, Boże, od polskiego mostu, od ka-  
luskiego błota i od halickiej sprawy».

Takie bagna, ciągnące się nieraz na przestrzeni  
wielu mil, bywały wprost nie do przebycia; urząda-  
no też na nich groble na wzór tam rzecznych, kła-  
dąc grube kłody i całe pnie drzewne, a między nie  
sypiąc ziemię i chróst. Grobla taka umożliwiała prze-  
dostanie się na drugą stronę bagna, ale nie można  
powiedzieć, aby podróż przez nią należała do rzeczy  
przyjemnych, wóz bowiem podskakiwał nieustannie  
na nierówno ułożonych kłodach, co już było nietylko  
męczące, ale czasami wprost niebezpieczne. O jeździe  
wygodniejszym powozem nie można było marzyć,  
ponieważ powóz taki potrzaskałby się odrazu przy  
podskakiwaniu na grobli. Jechać trzeba było bardzo  
wolno: «wolno przez groble i mosty, chcesz li mieć  
grzbiet prosty» — powiada przysłowie. W nocy trzeba  
było nieraz spuścić się na instykt konia i jemu też  
nie jeden zawdzięczał, że cało i pomyślnie przepra-  
wił się przez groblę.

Jeżeli grobla bywała straszna w lecie, to cóż do-  
piero mówić o jesieni, kiedy nieustanne słoty tak  
rozmiękczyły ziemię, że nawet najlepsze drogi sta-  
wały się niemożliwe do przebycia. «Wrześniowa  
słota: miarka deszczu — korzec błota». «W jesieni  
z garnca deszczu korzec błota; na wiosnę z korca  
deszczu garniec błota».



Błotniste okolice ze swemi długimi, zda się, nie mającemi końca groblami, stawały się wówczas zupełnie niedostępne i wszyscy z upragnieniem wyglądali zimy i mrozu, który bez piły i topora lepsze stawiał mosty, chociaż «belek pod nimi nie było». Ale zato gdy na wiosnę lody znowu puściły, znów powtarzało się to samo, znowu przeprawa stawała się niemożliwą aż do lata.

Wincenty Pol tak przedstawia niewygodę i niebezpieczeństwo drogi przez groble i błota Pińskie:

Gdy wyniesiesz z Pińskiej drogi  
Z ludźmi twemi całe ziobra,  
A z furmanką całe nogi,  
Podróż była bardzo dobra!

A gdy już opuścim Pińszczyznę i

Gdy się będziem na Ruś wdzierać,  
Pamiętaj się nie obzierać,  
By ci czego bies nie wlepił  
I za bryką nie uczepił.

Poeta daje tu pogląd dziś rozpowszechniony tylko wśród włościan, ale dawniej bardzo pospolity, że na takich bagnach i błotach mieszkają dyabły straszący ludzi, przejeżdżających nocą, zwłaszcza przez groble, strącający ich w bagno i wogóle narażający na nieprzyjemne przypadki: «Czart pokaże złoto, a wciągnie w błoto».

Każde błoto miało swego dyabła, a szczególnie szeroko sływał «piński dyabeł», który zresztą musiał być bardzo rozrodzony, skoro na każdej grobelce, na każdym bagienku miał kogoś ze swoich krewnia-

ków, a wszystkie te dyabliki tak się dawały we znaki pińczukom, że aż powstało przysłowie: «jedzie jak dyabeł na pińczuku».

Naturalnie ofiarą dyabłów padali przedewszystkiem gospodarze, wracający z jarmarków, na których nietylko załatwiali interesy handlowe, ale i rozgrzewali się wódką na drogę; a dalej podochocona szlachta, wracająca ze zjazdów sąsiedzkich, chrzcin, wesel i tym podobnych uroczystości. Tacy spotykali dyabła prawie zawsze, rzadko też wracali do domu bez przypadku: temu koło się złamało, tamtemu dyszel, ów się wywrócił i sam wpadł do błota. Cóż więc dziwnego, iż klęli dyabła, co się zmieści?

Trzeźwych dyabły błotne mniej sobie upodobały i tylko czasami próbowaly płatać im figle. Ale co pijany, to każdy prawie spotykał się z nimi.

Dyabeł taki znany był pod najrozmaitszemi nazwami: łożnińskiego, wierzbickiego, rokickiego albo rokity, że to miał zwyczaj obierać mieszkanie w łożach, rokitach, starych suchych wierzbach («w starej wierzbie dyabeł mieszka») i stamtąd wychodził straszyc ludzi.

Zwano go także borowym, borówcem albo borutą, dlatego że tumaniał ludzi nie na otwartych przestrzeniach, ale w lasach, borach. Ta ostatnia nazwa «Boruty» najszerszej była znana, a wsławił się nią szczególnie dyabeł z okolic Łęczycy, które to miasto posiadało ongi wiele błot naokoło i dyabeł miał gdzie ludziom «tumany puszczać».

Przytoczymy tu jedną taką historję o Borucie łączyckim z czasów, gdy Łęczycą należała do Prus

(na początku zeszłego wieku) i gdy w niej rządzili pruscy urzędnicy.

W tych czasach przyjechał pewnego razu na jarmark do Łęczycy dziarski młody gospodarz z sąsiedniej wsi Topoli porządnym wozem i parą dobrych, rącznych koni. Załatwiwszy pomyślnie interesy i uraczywszy się suto przy kieliszku z kilku znajomymi, nasz Topolanin, śpiewając wesoło, ruszył ostro do domu już w nocy.

Księżyc zresztą świecił, jasno było i wóz szybko się toczył, aż dojechał do grobli na bagnach, gdzie konie zwolniły kroku. Gospodarz nie przestawał pośpiewywać, gdy nagle oniemiał z przerażenia: na kilka kroków przed nim z gąszczu drzew na jasność księżycową wyłoniła się jakaś postać w trójgraniastym kapeluszu i we fraczku, z pod którego sterowało coś w rodzaju ogona.

Konie spłoszyły się i skrzyły w bok, a gospodarz, pewny, że ma przed sobą Borutę—bo któżby to inny mógł być? — z przerażenia zapomniał powstrzymać konie, i wóz dwu kołami wpadł z jednej strony w bagno. A Boruta zaczął się śmiać, widocznie z uciechy, że mu się udało splatać figla gospodarzowi, poczem zaszwargotał doń coś niezrozumiale, jakby chciał go stumanić jeszcze więcej.

Ale Topolanin nie był tchórzem i postanowił sprawę rozstrzygnąć od razu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali—zawołał — tyś Boruta?

— Ja, ja! — odparł dyabeł, nie przestając śmiać się szatańsko.

Teraz nie wątpił już gospodarz ani chwili, że ma przed sobą dyabła, skoro ten sam się przyznał. A że był odważnego ducha, postanowił więc raz na zawsze uwolnić całą okolicę od tego szkodnika, wyrwał z wozu kłonicę i jak nie grzotnie nią dyabła tak ten od razu przewrócił się i wpadł głową na dół do bagna.

Gospodarz, dokonawszy tego bohaterskiego czynu, nie tracił czasu, lecz wyciągnął wóz z bagna, z wielkim trudem, chociaż utopiony w błocie Boruta niczem mu już nie przeszkadzał. Późem ruszył z miejsca i bez żadnych przygód dojechał do domu.

Na drugi dzień opowiedział wszystkim o swym czynie, a każdy się cieszył, że teraz, pijany czy trzeźwy, będzie mógł bezpiecznie przejeżdżać przez łączyckie bagna.

Tymczasem w Łęczycy na drugi dzień po tym wypadku z dyablem, rozeszła się wieść, że miejscowy landrat, to jest naczelnik powiatu, wyszedłszy poprzedniego dnia wieczorem na przechadzkę, nie wrócił z niej wcale i znikł gdzieś bez śladu. Wszelkie poszukiwania były zupełnie bezowocne.

Gdy do Łęczycy doszła wiadomość o zabiciu dyabła na bagnie, wydała się ona miejscowym urzędnikom mocno podejrzaną. Wysłali więc komisję do Topoli na zbadanie tej sprawy: bohaterski gospodarz przyznał się od razu do czynu, pewny, iż jeszcze dostanie za to nagrodę. Wkrótce też ucieszony zaprowadził komisję na miejsce wypadku: z błota wystawał jeszcze koniec nogi z trzewikiem, za którą wyciągnięto nieszczęśliwego landrata; niemiecki strój

jego i szpada, stercząca z pod fraka wprowadziły w błąd gospodarza, zamroczonego w dodatku wódką, i wywołały tak nieszczęśliwą omyłkę.

Dyabłóbcę uwięziono, ale gdy po śledztwie okazało się, iż stanowczo nie miał on żadnych złych intencji, puszczono go wolno. Ale dyabeł pozostał na bagnie, dalej straszył ludzi i wpędzał w błoto wozy, zwłaszcza, gdy kto powracał z jarmarku.

Mosty polskie nie miały swoich osobnych dyabłów, ale nie o wiele były lepsze od grobli, a przejazd przez nie częstokroć niepewny i niebezpieczny nawet dla trzeźwych. Cudzoziemcy lubili opowiadać, że do przejechania przez most polski trzeba mieć tyleż samo odwagi, co i do jechania przez wodę najgłębszą bez mostu, gdyż niebezpieczeństwo jest jednakowe.

A były mosty bardzo potrzebne, kraj nasz bowiem przecina tak szeroka rzeka jak Wisła i zetknąć się z nią musi każdy, kto jedzie z zachodu na wschód lub odwrotnie. Stanowiła więc ona ważną przeszkodę zarówno dla wozów z towarami, jak i dla wojsk ściągających z całego kraju na obronę czy to wschodniej, czy zachodniej granicy. A obok Wisły istnieje przecież tyle innych mniejszych i większych rzek, czy to jej dopływów, czy też samodzielnych.

Pierwotnie jedynym sposobem przebycia rzeki było przeprowienie się łodzią lub tratwą albo też w bród, to jest w miejscu płytkim, gdzie koń mógł przejść wodę bez pływania. Miejsca takie jednak należało dobrze znać: «nie suń się do wody, kiedy

ci niewiadome brody». I konia też trzeba było mieć dobrego, żeby nie potknął się i nie upadł, a w razie natrafienia na nieco głębsze miejsce, żeby potrafił je przepłynąć. Przysłowie ostrzega przed wjeżdżaniem w bród na lichym koniu: «na złej szkapie brodu próbować».

Ten pierwotny sposób przeprawiania się przez wodę dochował się dziś prawie jedynie w górach, gdzie furki wjeżdżają wprost w potoki, ale robić to można jedynie w czasie niskiego stanu wody, zwłaszcza latem, kiedy to, wedle poety, «juhas zbrodzi każdy potok», bo w każdym wtedy woda jest bardzo płytka.

Ale dawniej przeprawiano w taki sposób całe oddziały wojska; ażeby zaś zabezpieczyć się przed jakim wypadkiem, badano bród zawczasu przez wysłańców i oznaczano go tykami. Znaków tych jednak trzeba było dobrze pilnować, żeby ich kto nie poprzestawiał i nie naraził w ten sposób całego wojska na zgubę, jak się to stało pod Zawichostem z Litwinami, których za króla Kazimierza Wielkiego naprowadziło na kraj dwóch zdrajców: Piotr Pszonka Jasińczyk i Otto Toporczyk.

Dla dawnych rycerzy, zakutych w stal, przeprawa w bród była w każdym razie rzeczą dość ciężką, dla wozów zaś towarzyszących wojsku lub furmańskich, handlowych była jeszcze bardziej uciążliwa. A na wiosnę, w czasie wysokiego stanu wód stawała się wprost niemożliwą: «póki taje, jechać zradno». Nie zawsze zaś można było czekać, aż

Gdy w puszczach przeschną brody,  
Gdy rzekami kry opadną  
I powtórnie niskie wody.

Zresztą na większych rzekach jak Wisła nie zawsze można było znaleźć bród. Zachodziła więc konieczna potrzeba budowania mostów.

Początkowo robiono wyłącznie mosty ruchome na promach lub tratwach, połączonych ze sobą, i dla tego to nie mówiono dawniej «zbudować» most, ale «posłać, położyć, rzucić». A słano je wyłącznie w miarę w potrzeby: w razie jakiej podróży królewskiej, wyprawy wojennej lub tym podobnych wypadków, kiedy znaczna ilość ludzi, koni i wozów ciężarowych musiała przeprowiać się przez rzekę. Tratwy i promy budowano na miejscu przeprowy, albo też spławiano je z góry rzeki, jeżeli w tem miejscu trudno było o materiał lub chodziło o ukrycie do czasu przeprowy przed okiem wroga.

Długosz opowiada, że gdy w w. XII Konrad III, cesarz rzymski, szedł z licznym pocztem panów i rycerstwa na wojnę krzyżową do Ziemi Świętej, to obrał sobie drogę przez Polskę, jako bezpieczniejszą od innych. Ale że w kraju naszym nie było wówczas nigdzie mostów stałych, więc Bolesław IV Kędzierzawy, panujący wówczas w Krakowie, chcąc uczcić tak dostojnego gościa a zarazem ułatwić mu podróż, kazał stawiać mosty na wszystkich większych rzekach.

Podobnież Jagiello, przygotowując się do wojny z Krzyżakami, zakończonej bitwą pod Grunwaldem w r. 1410, już na rok pierwej kazał zbudować statki,

na tak zwany most łyżwowy. Budowano je w puszczy królewskiej w Kozienicach i dopiero w chwili rozpoczęcia wojny spławiono Wisłą do Czerwińska (poniżej Warszawy, między Zakroczymiem a Wyszogrodem), tam bowiem przeprowaiało się rycerstwo polskie z lewego brzegu Wisły na prawy. Zrobiono zaś to wszystko w takiej tajemnicy, że Krzyżacy byli przekonani, że jeszcze «król polski po Nawiślu się błąka, szukając brodu», kiedy przeprawa była już dokonana.

W taki sam sposób urządzano przeprawy dla wojska i później.

Jeżeli jednak takie czasowe mosty mogły czynić zadosyć potrzebom wojennym, to w każdym razie były one zupełnie niewystarczające dla ruchu handlowego, dla wozów z towarami, które zawsze musiały szukać brodu albo przeprowaiać się wprost na trawach lub promach.

Dla takiego ruchu potrzebne były koniecznie stałe mosty. Zaczęto je stawiać u nas już w w. XII i XIII, ale przez długi czas było ich bardzo mało i były one przeważnie mniej lub więcej liche. Opierano je na palach albo też na statkach (mosty łyżwowe), ale że drzewo prędzej lub później gnilo, most więc wymagał ciągłych poprawek, a gdy ich nie zrobiono w porę, zawałał się i przestawał istnieć przy pierwszej większej wodzie.

Most budowano zazwyczaj prywatnymi środkami, i każdy, kto go postawił na drodze publicznej, za zezwoleniem sejmu miał prawo pobierać odeń pewną opłatę, zwaną «mostowem»; most taki uważany był



za publiczny. Wzamian za to właściciel był obowiązany poprawiać go z funduszków, jakich mu dostarczało mostowe.

Jeżeli kto postawił most bez zgody sejmu, to most taki nie był uważany za publiczny, właściciel nie mógł pobierać mostowego i musiał go naprawiać własnymi środkami. Takie więc mosty były naprawiane rzadko i zwykle bardzo lichio.

Co zaś gorsza, zdarzało się nieraz, że i taki, co pobierał mostowe na naprawę mostów i dróg, nie zawsze pamiętał o ich naprawieniu, jak o tem pisze biskup Krasicki w «Panu Podstolim». «Niejeden kupiec, zapłaciwszy mostowe, załamał się na moście; niejeden furman uwiązał na drodze od siebie płatnej». Nie wesoła więc była podróż w takich warunkach i zupełnie zrozumiałe stawało się przysłowie, że «podróż nie tuczy, lecz rozumu uczy».

Warszawa czekała na most do w. XVI. Postawił go Zygmunt August naprzeciw dzisiejszej ulicy Mostowej, która temu właśnie zawdzięcza nazwę. Dębinę na pale splawiano z puszczy Kozienickich i Sandomierskich; most miał 1,150 stóp (koło 400 metrów) długości, a że był to pierwszy wielki most na całym obszarze Polski, uchodził więc za cud świata. Jan Kochanowski sławił pieśnią Zygmunta za postawienie tego mostu:

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,  
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi,  
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,  
A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć:

Bo krom<sup>1)</sup> wiosel i promów, już dziś suchą nogą  
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.

Swoją drogą most, chociaż «dziwną sztuką i niezmierną pracą wystawiony», nie okazał się wcale trwałym i już szlachta i senatorowie, przybyli na elekcyę po śmierci Zygmunta Augusta, musieli «przebywać Wisłę po moście jako tako związanym staraniem Zygmunta Wolskiego, kasztelana czerskiego i starosty warszawskiego». A Anna Jagielonka musiała poprawiać dzieło brata około r. 1582, dodawszy na brzegu przyczółek z wieży z kamienia polnego z odpowiednim napisem, głoszącym historycę mostu. Przyczółek ten dochował się do naszych czasów, a tablica z napisem znajduje się w zbiorze pamiątek miejskich w ratuszu warszawskim.

Most ten wogóle nie przetrwał długo: w r. 1603 został zniesiony przez lody, a że go nie naprawiono zaraz, znikł więc zupełnie; pozostały po nim co najwyżej szczątki pali gdzieś na dnie Wisły.

Odtąd Warszawa przeszło 200 lat nie posiadała mostów stałych. Budowano tylko ciągle czasowe mosty na statkach, które co kilka lat woda zabierała. Czasami bywało ich nawet po dwa, jak na początku w. XVIII i później koło r. 1825. Dopiero w roku 1864, inżynier Stanisław Kierbedź, zbudował stały most żelazny, ten sam, po którym i dziś przejeżdża się na Pragę.

W wieku XIX powstało wogóle dużo mostów na Wiśle, czy to kolejowych, czy też dla komunikacyi

---

<sup>1)</sup> Krom — oprócz.

konnej. Jest ich obecnie przeszło 20, a największy, bo mający 1325 metrów długości (przeszło wiorstę), znajduje się pod Fordoniem poniżej Torunia. Ale jeszcze i dziś w wielu miejscach, jak pod Sandomierzem, Zawichostem i indziej, ludzie przeprawiają się przez Wisłę promem.

Jeżeli Warszawa musiała tak długo czekać na most stały, cóż dopiero mówić o innych mniejszych miastach, cóż się dziwić, że wszędzie mosty były gorsze jeden od drugiego, i że zarówno na nich, jak i na grzązkich, wyboistych drogach ówczesnych trudno było odbyć podróż bez przypadku.

Widzieliśmy wyżej, jak uległa wypadkowi Bona w czasie podróży po Sanockiem. Znacznie częstsze bywały takie przypadki w w. XV: ile to razy, według świadectwa Długosza, kolasy królewskie, wiozące oblubienice Jagiellonów do ślubu, grzęzły na bagnistych drogach. Silne i tęgie woźniki nie mogły ich wyciągnąć i kończyło się na tem, że koła się połamały, a księżniczki trzeba było wynosić z błota i sadzać na proste wozy.

Jeszcze gorszy wypadek zdarzył się w czasie choroby króla Olbrachta. Śpieszący mu na ratunek lekarz Maciej z Miechowa zagrząził tak nieszczęśliwie przy karczmie w Prądniku, że pomimo przyprzężenia 8 koni nie można było wyciągnąć wózka na drugą stronę bagna. A zanim lekarz zdążył objechać innemi drogami, król umarł tymczasem.

Ogromne utrudnienie w odbywaniu wszelkich podróży stanowił brak porządnych noclegów. Wprawdzie już w dobie piastowskiej zaczęto u nas zakła-

dać karczmy po wsiach i miastach, w których podróżny mógł znaleźć pomieszczenie dla koni, nocleg i nieco strawy dla siebie. Ale przy dużych odległościach między ówczesnymi wsiami i miastami, nie zawsze można było zdążyć na noc do karczmy, a co gorsza noclegi w ówczesnych karczmach wcale nie były zachęcające nawet dla dawniejszych ludzi, mniej od nas wydelikacyonnych i mniej wybrednych.

Jak rzadkie były karczmy na Litwie jeszcze w wieku XV, widać najlepiej z tego, iż dla biskupów, przyjeżdżających z Polski w r. 1423, Witold kazał stawiać po drodze umyślne namioty, aby mieli gdzie nocować.

Co prawda, to i w Polsce noclegi nie bywały o wiele lepsze. Zygmunt August, powracając z Prus książęcych do Polski, miał w podróży takie dwa noclegi, że tylko sam spał w izbie, dworzanie zaś jego w szopie na posłaniu z chróstu.

W XVII w. w czasie podróży po Polsce legata papieskiego, kardynała Gaëtano, zdarzały się takie noclegi, że sam wprawdzie kardynał miał izdebkę, ale cały dwór jego nocował w stajni, i w stajni też nakrywano stoły. W tymże samym wieku Piotr des Noyers, sekretarz królowej Maryi Kazimiery, który przybył do Polski w r. 1680, skarżył się, że noclegował ciągle na słomie razem z prosiętami, kurami i gęśmi. A Pasek, podróżując po Litwie konno, obrał raz sobie nocleg w opustoszałych murach spalonego domu, bo, bądź co bądź, był on lepszy i dogodniejszy, niż w miejscowej gospodzie.

Niewygody dawnych noclegów dobitnie wyrażają niektóre wiersze i przysłowia, mówiące o tem, że nieraz nawet zamożny obywatel w podróży:

Na gołej ziemi, gardząc miękkim puchem,  
Legał w polu pod burką lub prostym kożuchem,

albo spał w karczmie na ławie, podłożywszy pod głowę pięść lub siodło: «miętko spał, kto na ławie całą noc przespał». A nawet wygodnie i pieszczochy sypiali dobrze na takich noclegach, gdy się wytrzęśli porządnie na wyboistych drogach: «Wyśpi się na kamieniu i pieszczoch podczas nuży<sup>1)</sup>; nuża bowiem z głodem kamień mchem, cukrem rzepę, wodę czyni miodem».

---

## XII. Dawne sposoby podróżowania.

Cztery wierzchowe, trzy konie od bryki,  
A bryka długa i łubem wyszyta  
I jak spiżarnia pani matki syta —  
Chłopey gotowe na trud i wybryki,  
Dobrze okryte i jak ja niegłodne —  
Zaprząg był nowy, rzędy były sprawne...  
Na wierzchu bryki trzymał kuchta charty,  
Na jeden popas szły przodem wierzchowe.

Temi słowy opisuje Pol wyjazd do chorągwi kresowej młodego wojaka, którego rodzice zaopatrzyli we wszystko, co mu mogło być potrzebne w długiej podróży, a zaopatrzyli suto, wiedząc, że w drodze

---

<sup>1)</sup> Nuża- -znużenie.

nie snadno nawet jeść dostanie. O noclegi nie troszczyli się zato wcale, bo chłopak zdrów i młody, mógł nocować w szczerem polu, tembardziej, że był to maj.

Wolno jechałem, bo była pogoda,  
I maj na niebie, i w duszy swoboda.  
Nieraz mi nocleg przypadł w stepie czystym  
I głos przepiórki do snu mnie ułożył,  
A kiedym oczy znów w nocy otworzył,  
Tonęła dusza w tem niebie gwiazdzistem.

A jeśli młodego chłopca trzeba było wyprawiać w dalszą podróż z bryką suto ładowną, cóż dopiero musiało brać ze sobą liczniejsze towarzystwo, złożone z większej ilości osób do żywienia w drodze. Wtedy zabierano ze sobą cały tabor wozów i bryk, ładownych nietylko żywnością, ale i różnymi przyborami podróżnymi, pościelą, zapasowemi kołami oraz innemi częściami wozów, które mogły się popsuć w drodze. Tabory te były olbrzymie, a tem większe, im dawniej to się działo.

Za dawnych czasów prawie każdy rycerz, udający się w dalszą drogę, miał ze sobą przynajmniej jeden taki wóz ładowny, a każdy prowadził jeszcze konia zapasowego. Za orszakami więc złożonym z 200 koni wierzchowych ciągnęło najmniej ze 150 wozów.

A cóż dopiero, gdy wieziono wyprawę jakiej królewnej albo księżniczki: orszak królowej Jadwigi, gdy jechała do Polski objąć Królestwo, składał się z długiego szeregu jak najwykwintniejszych powozów dworskich i nieprzejrzanego łańcucha bryk i wozów ładownych, wiozących wyprawę. Królowa Bona,



Stanisław Rewera Potocki w podróży  
<http://rcin.org.pl>

gdy opuszczała Polskę, uwiozła swe skarby na 500 wozach.

Ale i zwykła szlachta, zwłaszcza możniejsza, jeszcze w XVII a nawet XVIII wieku, podróżowała wystawnie i z tak wielkim taborem, że całość sprawiała wrażenie raczej pochodu wojska, niż podróży prywatnego obywatela.

Sam pan jechał najczęściej konno, chyba iż był to jakiś wielki dygnitarz lub człowiek bardzo podeśzły w latach, wówczas sadowił się do poszóstnej, a przynajmniej poczwórnej karocy. Konno towarzyszyli mu synowie i dworzanie, a że w długiej podróży nudziło się nieraz, służba więc prowadziła charty na smyczy i polowano sobie tu i owdzie.

Pani z córkami i panną respektową jechała w kolebce, a za nią ciągnęły bryki ze służbą: pachotkami, pannami służącymi, kucharzem, bo w braku porządnym zajazdów po drodze musiano i kucharza brać ze sobą. Dalej wozy z pościelą, nieraz nawet z łózkami, sprzętami kuchennymi i żywnością, ba! brano nawet namioty ze sobą, żeby było gdzie się schronić, gdy nocleg wypadnie w szczerem polu. W razie noclegu pod lasami i nieposiadania namiotów, sporządzano sobie szałas z gałęzi. Takie noclegi z namiotami i szałasami sprawiały najzupełniej wrażenie, jak gdyby tam obozowało wojsko, a złudzenie jeszcze powiększała ta okoliczność, iż bogaci panowie mieli zwyczaj jeździć z pocztem nadwornego wojska — ułanów lub kozaków, bywały więc i warty przy obozach.



Miewali też oni wśród swej świty marszałka dworu, naznaczającego noclegi i kierującego całym pochodem, a także lekarza nadwornego, aby mieć pomoc pod ręką w razie zasłabnięcia lub jakiego wypadku w drodze. Nie brakło zwykle i kapelana. A dla tych wszystkich towarzyszków pańskich potrzebne też były osobne powozy i służba.

Mniej zamożni ludzie jeździli, naturalnie, skromniej, ale trudno było, wybierając się np. do stolicy z bardziej oddalonych miejscowości, jak kresy wschodnie lub Litwa, wybrać się tylko konno lub nawet jedną bryką. Robili tak tylko chudopachołkowie, albo gorąca, szukająca przygód, młodzież: Mohort opowiada o sobie, iż po stracie narzeczonej siadł na koń i, wyruszywszy z Litwy sam jeden, oparł się dopiero na «dzikich polach»—na kresach Ukrainy.

Takie jednak podróże w pojedynkę były trudne i męczące bardzo, wymagały młodości, dobrego zdrowia i zahartowania. To też każdy jadący w daleką podróż starał się zabrać ze sobą wóz z zapasami, pamiętając o radzie zawartej w przysłowiach: «do boru weź powróż i siekierę, a w drogę się odziej i chleb miej, żebyś nie prosił» oraz «choć świeci słońce, bierz w drogę opończę», to znaczy zaopatrzyć się dobrze we wszystko, żeby ci później niczego w drodze nie zabrakło, bo często nawet trudno przewidzieć, co może być w drodze potrzebne. Ileż to razy się zdarzało, że ktoś zacząwszy podróż na kołach, musiał ją kończyć saniami lub odwrotnie! I na taką więc nawet ostateczność należało być przygotowanym.

Konie też należało dobierać do drogi, zwłaszcza dalszej, dobre i dobrze odkarmione, bo «koń wymorzony w drogę, chart ochromiony w polu, czczy<sup>1)</sup> mieszek do targu—niewiele sprawią». Jak również należało pamiętać o zabranii dostatecznej ilości obroku, żeby koń nie cierpiał głodu i nie ustał gdzie w drodze.

Ubożsi, co prawda, a zwłaszcza odbywający podróż na jednym tylko wózku lub konno, nie zaopatrywali się tak suto we wszystko, biorąc co najwyżej jadła dla siebie, a konie pasając na cudzych łąkach i pastwiskach, co wówczas nawet nie uchodziło za przestępstwo: byleby tylko koń nie wchodził w szkodę, nie tratował i nie niszczył zboża, każdy chętnie pozwalał takiemu podróżnemu popaść nocą konia na swej łące, wiedział bowiem doskonale, że i sam może się znaleźć w takim położeniu i tak samo korzystać z cudzego pastwiska. Korzystali z nich szczególnie często posłańcy, wyprawiani konno nieraz z jednego krańca Rzeczypospolitej na drugi: z konieczności musieli oni wyruszać w drogę możliwie lekko. Taki posłaniec nocował gdzie wypadło i jak się zdarzyło, karmił siebie i konia, czem się dało, dbając jedynie o to, aby pomyślnie załatwić zlecenie, a nie zerwać sił swoich i konia.

Ale kto jechał większym taborem, musiał poważnie ułożyć sobie plan całej drogi, żeby mu i noclegi wypadły pomyślnie i żeby konie zaszanować! Wyjeżdżał przedewszystkiem w drogę rano («komu

---

<sup>1)</sup> Pusty.

w drogę, temu czas»), żeby możliwie dużo przejechać do południa. Następnie trzymał się przestrogi: «Nie goń tego, co naprzód wyjechał i nie czekaj tego, co po zad<sup>1)</sup> jedzie — chcesz li mieć nocleg wczesny» — to znaczy jedź tak, żebyś o ile można nie zjeżdżał się z innymi na miejscach noclegowych, bo obu wam może być z tem niewygodnie.

Nie pędzono koni w myśl przysłowia: «po mału dalej zajedziesz» i co pewien czas stawano chwilę, aby konie wytchnęły. Dawne przysłowie tak określa te krótkie odpoczynki:

Ujechawszy mile,  
Postój koniom chwilę;  
Ujechawszy trzy,  
Czoła koniom potrzyj;  
Ujechawszy sześć,  
Dajże koniom jeść.

Do południa istotnie ujeżdżano w ten sposób 6 do 8 mil, poczem stawano na podkarm czyli popas, dawano koniom obroku, rozbijano obóz, gotowano obiad i, jeśli droga była daleka, wypoczywano do następnego ranka, jeśli mniej daleka, po dobrym wypoczynku jechano dalej aż do wieczora.

Na popasy i noclegi obierano karczmy, ale gdy tych nie było, rozbijano obóz w otwartem polu w miejscu z góry upatrzonem. Zazwyczaj wysyłano przodem kucharza ze spiżarnią, tak, aby na popasie zastać już od razu gotowy obiad lub wieszerzę.

---

<sup>1)</sup> Z tyłu, za tobą.

Kto częściej jeździł jaką drogą, miał już stałe miejsca noclegów, które nieraz otrzymywały później od niego nazwę. Do dziś dnia w Owruckich lasach znajduje się uroczysko, zwane obozowiskiem Niemiryca, bo tam stałe obozował w końcu w. XVIII niejaki pan Niemiryca, odbywający częste podróże z Ukrainy do Warszawy. W uroczysku tem kazał on nawet dla własnej wygody wykopać umyślnie studnię, która i teraz nosi nazwę studni Niemiryca. Nawet i o wodzie należało myśleć w dalszych podróżach!

Jeśli komu śpieszyło się bardzo, odpoczywał i popasał krócej, a jechał nawet i nocą i w upał. Ponieważ przy takiej jeździe koniom mogło wkrótce sił zabraknąć, więc podróżny starał się zawczasu wyprawić naprzód tak zwane konie rozstawne czyli rozsadzone, które czekały na niego i które natychmiast przepręgano do jego powozu czy bryczki. W ten sposób można było oszczędzać konie i jechać prędzej, ale samemu trzeba było być dobrze zahartowanym, żeby znieść pomyślnie taką jazdę, zwłaszcza gdy rozstawnymi końmi jechało się na trzęsącej bryczce.

Ogromnem ułatwieniem w dawnych podróżach była szeroko znana polska gościnność, wyrażająca się w przysłowiu: «gość w dom, Bóg w dom». Podróżny mógł zajechać po drodze na popas lub nocleg nie tylko do krewnych lub znajomych, ale nawet do ludzi zupełnie obcych, pewnym będąc, że spotka go jak najgościnniejsze przyjęcie, że gospodarstwo będą radzi nie tylko jemu, ale i «jego czeladzi», że

napoją i nakarmią jego, służbę i konie, jak to wy-  
raża dwuwiersz mówiący, że gościnny gospodarz

Dał koniom obiad, śniadanie  
I słomy wbród na posłanie,

a niemniej suto uczcił samych podróżnych, dbając  
o to:

Aby gwoli polskiemu przyjęciu  
Było dobrze panu, słudze i zwierzęciu.

Dlatego w domach szlacheckich brama wjazdowa  
była zawsze otwarta, aby zachęcić każdego do ko-  
rzystania z gościnności:

Brama nawcięż otwarta przechodniom ogłasza,  
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Niektórzy obrażali się nawet o to, gdy przejezd-  
ny zamiast zajechać na popas do właściciela wsi  
stawał w karczmie, a już tembardziej niktby się nie  
zgodził odesłać do karczmy koni gościnnych, poza-  
łowac im miejsca w stajni i obroku...

Mickiewicz tak opisuje w «Panu Tadeuszu» przy-  
jęcie w domu sędziego:

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności,  
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.  
Już konie w stajnie wzięto, już im dobrze dano  
Jako w porządnym domu i obrok i siano:  
Bo sędzia nigdy nie chciał, według nowej mody,  
Odsyłać koni gości żydom do gospody.

W każdym domu było

mis parę, parę dzbanów,  
Zastawionych jeszcze zawsze  
Dla zagórskich panów...

to jest dla gości przyjezdnych z daleka. «O kącik u nikogo nie było trudno» i chociażby domek był jak najmniejszy, dziwnie jakoś się rozszerzał, skoro tylko gość się zjawił.

Staropolską taką gościnność znakomicie streszcza poniższy wiersz:

Wtem gość wchodzi,  
Ot, i domek się rozszerzył,  
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.  
Przybył drugi i dziesiąty,  
I nie ciasno jest nikomu:  
Wyprzątnięto wszystkie kąty,  
Coraz szerzej w małym domu.  
Zda się, że pan domu sobie  
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,  
A on tylko w domu tobie  
Drzwi i serce swe otworzył.  
I ta strzecha, choć uboga,  
Chociaż niska, przecież bliska  
Dla obcego i dla swego,  
I od Boga aż do wroga  
Jest tu miejsce dla każdego.

Dla uboższych podróżnych, jadących konno lub małym wózkiem albo bryczką, taka gościnność, taka możliwość skorzystania z popasów i noclegów po drodze była nieocenionem dobrodziejstwem, umożliwiającem odbycie najdalszej nawet podróży. Niektórzy z góry kierowali ją tak, że jechali od jednych do drugich, zwłaszcza krewnych i znajomych, popasując u nich i nocując, a częstokroć bawiąc nawet u każdego po parę dni, bo gościnny gospodarz nie zawsze chciał gości wypuścić od razu i częstokroć «zdejmował koła» z ich wózków, żeby musieli zabawić dłużej.

Nazywało się to «jechać rzemiennym dyszlem», «od komina do komina». Podróż w ten sposób odbywano powoli, ale zato wygodnie.

Ludzi podróżujących «rzemiennym dyszlem» — ludzi wyruszających w drogę z taborem bryk i wozów, napełnionych pościelą i spiżarnią, można było spotkać jeszcze w początkach drugiej połowy ubiegłego stulecia. Dziś należą już oni do przeszłości: coraz większe rozpowszechnianie się kolei usunęło na dalszy plan jazdę końmi i dawne sposoby podróżowania. Dziś koń nie odbywa już tak wielkiej podróży jak dawniej, i nikt też nie wyrusza tak ładownie i tak pakownie w drogę jak niegdyś.

---

### XIII. Poczty i koń pocztarski.

— «Powieziesz sztafetę!» — Oj, lichy przywiodło!

Tak sobie, odchodząc, mruczałem.

Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,

I w moment puściłem się cwałem.

Temi słowy w gawędzie Syrokomli narzeka młody pocztylion, gdy mu w śnieżną zamieć kazano wieźć sztafetę to jest pilny list, wyprawiany z poczty przez umyślnego posłańca.

Dziś nikt już nie wysyła sztafet przez umyślnych posłańców, bo telegraf prędzej przenosi daną wiadomość; znikli już pocztylionie z trąbką na plecach, których widywać można było jeszcze przed ćwierć wiekiem na ulicach Warszawy; znikły i konie pocztarskie, pędzące dziarskim klusem od stacyi do stacyi.

Dziś pocztę co najwyżej trzeba odwieźć na kolej, a droga to zwykle niedługa i koni więc do tego nie potrzeba nadzwyczajnych.

Ale nie tak to dawne jeszcze czasy, kiedy poczty konne przerzynały nasz kraj w różnych kierunkach, a wiozący je pocztylioni przygrywali wesoło na trąbkach:

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka  
Wozilem pakiety i pany —  
Dostałem złotówkę — o! wtedy hulanka,  
Wesoły, i syt, i pijany!

Wesoło wieźć pocztę! zatrąbię na moście:  
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,  
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,  
O! wtedy pewniutka dwuzłotka.

Ważną rolę odgrywał wówczas koń pocztarski, nie pocztowy, bo tak zaczęto go nazywać dopiero później; nazwę pocztowego nadawano dawniej wyłącznie wierzchowcom, na których siedzieli pocztowi w chorągwiach; konia zaś wożącego poczty zwano pocztarskim. I ten rodzaj woźnika, służący już wyłącznie dobru publicznemu, posiada swe zasługi; godzi się więc i jemu poświęcić nieco uwagi, chociaż nie był on nigdy ani tak świetny, ani tak wspaniały jak woźniki, ciągnące prywatne pańskie karoce.

Początki poczty sięgają u nas dawnych czasów, ale uporządkowanie i porządne stałe jej urządzenie nastąpiło zaledwie w w. XVI.

Już Bolesław Chrobry, dbając o dobre administrowanie państwem, postanowił, żeby wszystkie miasta dawały posłańców konnych lub pieszych do rozwo-



żenia jego rozkazów i przywożenia mu wieści. Po-  
słańcy ci przejeżdżali lub przebiegali z jednego mia-  
sta do drugiego i w ten sposób rozkaz lub wiado-  
mość szła znacznie prędzej, niż gdyby całą drogę  
wiózł ją jeden posłaniec. Jak podaje Długosz, urzą-  
dzenie to było zrobione tak porządnie, że «wszelkie  
sprawy i wypadki świeżo wydarzone, czy to w po-  
bliżu, czy zdala, w kraju, czy za granicą, nietylko  
dnem, ale i nocą dochodziły do wiadomości króla».  
Były to zatem zaczątki poczty konnej listowej.

Następni Piastowie rozszerzyli ten obowiązek  
także na wsi a oprócz tego rozporządzili, aby dostar-  
czano nietylko posłańców konnych, ale także i wo-  
zów czyli podwód dla dworzan książeńcych, rozwo-  
żących rozkazy. Był to jakby początek późniejszej  
poczty osobowej, wożącej podróżnych.

Ale wszystkie te poczty piastowskie różniły się  
wybitnie od późniejszych najpierw tem, że nie kur-  
sowały regularnie, lecz tylko dorywczo w miarę po-  
trzeby, a powtóre, że dostępne były jedynie dla  
panujących i ich urzędników. Osoby prywatne, chcąc  
przesłać jakąś wiadomość, musiały wysyłać własnego  
posłańca tak samo, jak podróż mogły odbywać jedy-  
nie własnymi końmi lub wynajętymi od kogoś.

Pierwszą stałą pocztę urządził dopiero Zygmunt  
August, który w r. 1564 zaprowadził komunikację  
pocztową z zagranicą, a mianowicie z Włochami.  
Wyzначzył on stałą pensję pewnemu przedsiębiorcy  
włoskiemu, który wzamian zobowiązał się utrzy-  
mywać dwa razy na miesiąc stałą komunikację  
pocztową między Wenecją a Krakowem, w ten spo-

sób, że podróż w każdą stronę trwała dni 15. Poczta obowiązana była brać darmo listy królewskie i niektórych klasztorów; od prywatnych zaś pobierała po 4 grosze <sup>1)</sup>, bez względu na odległość miejsca, do którego list był przeznaczony. Z tej poczty zatem mógł już korzystać każdy, kogo stać było na wniesienie opłaty pocztowej za list.

Stefan Batory i Zygmunt III utrzymywali tę pocztę nadal, przyczem Zygmunt III rozszerzył ją i na komunikację z innymi państwami a oprócz tego zaprowadził tak zwanych kuryerów, których poczta obowiązana była wysyłać na żądanie za osobną zapłatą z pilnymi listami, nie w terminie zwykłego kursowania poczty. Taki kuryer był zatem czemś w rodzaju dzisiejszego telegrafu, tylko naturalnie chociażby leciał cwałem i przecwałem, pośpiech jego byłby zawsze zółwim krokiem w porównaniu z dzisiejszą szybkością przesyłania depesz.

Ważnem także urządzeniem Zygmunta III było to, iż poczta obowiązana była co tydzień dostarczać listy i wiadomości do wszystkich głównych miast państwa. Był to ogromny krok naprzód, czemże on jednak jest wobec dzisiejszych poczty, kiedy za ledwie bardzo zapadłe kąty znajdują się w tem położeniu, iż odbierają pocztę raz na tydzień.

Następcy Zygmunta dbali również o poczty i z przerwami w czasie najazdów szwedzkich rozwijały się

---

<sup>1)</sup> Grosz w w. XVI posiadał znacznie większą wartość, niż później; korzec żyta np. w Krakowie kosztował w tych czasach 8 groszy. Opłata więc za list była stosunkowo wysoka.

one pomyślnie, aż upadły za Augusta II, w czasie ciężkiej wojny szwedzko-rosyjskiej w r. 1702. Dźwignął je dopiero August III.

Przy końcu w. XVIII zaprowadzono ekstrapoczty, to jest osobne wózki pocztowe, które każdy mógł nająć i jechać nimi do następnej stacyi, aby tam przesiąść się na nowy wózek. Na początku w. XIX (w r. 1808) zaprowadzono dylizanse, zaprężone w 6 albo 8 koni: w dylizansie kupowało się jedno tylko miejsce, jazda była tańsza i dogodniejsza, niż ekstrapoczta, ale zato jechać można było tylko w określonym czasie, przepisany dla dylizansu. Kto miał interes pilny albo w porze niezwyklej, musiał brać ekstrapocztę, notabene, o ile znalazł na stacyi konie wolne; zdarzało się bowiem nieraz, że wszystkie konie były w rozjazdach, a wówczas można było czekać długo, zanim które wróca i odpoczna.

Konie pocztarskie musiały być silne i rączne, nie ociężałe przytem. Do dylizansów dobierano większe, rośniejsze woźniki, do ekstrapoczt i dla kuryerów, rozwożących sztafety to jest szczególnie pilne listy, bardziej ogniste i rączne, te bowiem rodzaje poczt odznaczały się szczególną szybkością, czego ślad pozostał w wyrażeniu: «robić coś ekstrapoczta» to jest bardzo szybko. Szybkość kuryerów stała się także przysłowiową.

«Z lewej drogi posłaniec, jak kuryer goni»—powiada Mickiewicz w «Panu Tadeuszu», uważając, że w ten sposób najdosadniej określi szybkość jego jazdy.

Konie dylizansowe nie gnały wprawdzie tak szyb-

ko, ale zato musiały wytrwale ciągnąć znacznie większy ciężar.

Konie pocztowe pracowały ciężko i dużo, ale że miały zawsze pewny odpoczynek po przybyciu na stację przeznaczenia i że pocztylioni karmili je dobrze, wiedząc, że od sprawności koni zależy ich własny los — dola więc woźników pocztarskich nie była jeszcze najgorsza, a jedno z przysłów uważa ją nawet, przesadnie zresztą, za godną zazdrości: «Babcina wnuczka, a pocztyliona koń—jedną drogą chodzą». W każdym jednak razie, los ich bywał lepszy, niż wielu roboczych woźników chłopskich, ciężko pracujących a licho karmionych, albo hetek żydowskich, ciągnących biedki, a więc ciężar niezbyt wielki, ale zato najczęściej o głodzie.

Do wielkich dyliżansów przybyły z czasem mniejsze karetki, zwane kuryerkami, które zresztą kursowały na takich samych zasadach i w taki sam sposób jak dyliżanse. Pamięta je dobrze większość mieszkańców wszystkich naszych miast, niektóre bowiem przestały kursować zaledwie kilka lat temu, jak ta, o której głosi piosenka brukowa:

Z Kalisza do Łodzi  
Karetką odchodzi.

Przez całą zaś pierwszą połowę ubiegłego wieku poczty konne były u nas jedynymi środkami komunikacji: na szosach sunęły wolno dyliżanse i karetki, albo mknęły ręczno lekkie, ale trzęsące bryczki ekstrapoczty; tam dążył wózek pocztowy, tu z tułomanu kurzu wyłaniał się kuryer pędzący ze sztafetą,

mijał go i znikał w nowym тумanie. Wszędzie rozlegały się mile dźwięki trąbek pocztowych.

A obok tych poczt urzędowych krążyły po kraju i zupełnie prywatne, zwane «pantoflowemi»: wózkami ich pocztowym była biedka, rzadko licha bryczka, koniem pocztarskim — nędzna wychudzona szkapka, a pocztylionem — żyd handlarz w chałacie i pantoflach, który jeżdżąc po kraju w interesach handlowych, przywoził wiadomości nie gorzej od poczt urzędowych. Dla zapadłych kątów był to częstokroć jedyny rodzaj poczty.

Od połowy wieku XIX zaczęły rozpowszechniać się koleje, wypierając stopniowo poczty konne: boć przecie wygodniej, taniej i prędzej jechać wagonem, niż dyliżansem lub ekstrapocztą, i lepiej posyłać list zwykły koleją, a pilną wieść telegrafem, niż wózkiem pocztowym albo sztafetą, która kosztowała drożej, a nie mogła się nawet równać z telegrafem co do szybkości.

Z każdym więc rokiem malała ilość stacyi pocztowych i koni pocztarskich i znikali dawni pocztylioni z trąbkami. Aż wreszcie czynność wózków pocztowych ograniczyła się prawie jedynie do wyjeżdżania na sąsiednią stacyę kolei dla wysłania poczty i po odbiór przybytej pociągiem.

Pociąg pocztowy pobił na całej linii konia pocztarskiego, który stał się takim samym zabytkiem przeszłości, jak dawny koń rycerski, zakuty w stal, jak skrzydlaty rumak husarski, jak lotny polski koń bojowy.

A jednak nie znikł on bez śladu z widowni. Ilekroć tak zwane w języku kolejowym «sily wyższe», jak zamieć, wylewy i tym podobne wypadki przerwą prawidłowy ruch pociągów, a ludzie, przywykli do otrzymywania codzień poczty, nie mogą obejść się bez niej — tyle razy wyłania się na widownię poczta konna: zaczynają znów kursować wózki lub sianie i przewozić pocztę oraz podróżnych okólną drogą koło miejsca przerwy w komunikacyi. Gdzie nie przejdzie pociąg, potrzebujący gładkich szyn i równego toru, tam koń da sobie jakoś radę.

Przed kilku laty Zakopane, chociaż posiada kolej, z powodu zasp śnieżnych na torze przez 5 dni musiało poprzestawać na dawnej poczcie konnej, a podróżni, zmuszeni do jazdy, cieszyli się, że mogą starodawną modą na saniach przebyć przestrzeń 6 milową do linii, na której zasp nie było i pociągi kursowały prawidłowo. Również przed kilku laty między Łodzią a Kaliszem znów kursowała dawna karetka, gdy strejk kolejowy przerwał ruch pociągów.

Powtarza się to zawsze: ilekroć z jakichkolwiek przyczyn zawiodą nas nowsze i doskonalsze sposoby przebywania dróg i przewożenia ciężarów, tyle razy zwracamy się do dawnego, wypróbowanego towarzysza i współpracownika, a koń staje nam zawsze z pomocą w potrzebie, przypominając dawne czasy, kiedy on sam tylko ułatwiał nam odbywanie podróży, umożliwiał pierwsze zdobycze cywilizacyi.

Skorzystajmy z takich przypomnień, aby sobie uprzytomnić, że bez przyjaźni z koniem, bez spółki, zawiązanej z nim jeszcze przed wiekami a utrzy-

mywanej do dziś dnia, ludzie nie byliby się nigdy wznieśli do tego stopnia cywilizacyi, na jakim znajdują się obecnie. A chociaż dzisiaj znaczenie jego zmalało bardzo i na wielu polach, tem niemniej pozostaje on zawsze jednym z najpożyteczniejszych stworzeń, jednym z najwierniejszych współpracowników człowieka.

#### XIV. Koń na zabawach i uroczystościach.

Wzdłuż koszar jazdy, mimo arsenału,  
Już od Nalewek widzialny polowy,  
Ładowny gośćmi, toczy się pomału  
Wielki żurnalier żółty i ponsowy.

Po przez ciekawych skupione szpalery,  
Pędzą na pokaz magnackie zaprzęgi,  
Mienia się barwne żokiejów szpencery,  
Jedwabnych kokard powiewają wstęgi.

Rzędem kwiat jeźdźców pomiędzy młodzieżą,  
Kawalerowie w rajtroki przybrani,  
Ogień wierzchowców to sycą, to śmierzą  
Obok pojazdu serca swego pani.

Temi słowy opisuje poeta ruch świąteczny warszawski w początku wieku ubiegłego, skierowany w dzień Zielonych Świątek ku Bielanom. Widać z nich, że i konie uczestniczyły w tym obchodzie, czy to ułatwiając publiczności wycieczkę za mury Warszawy i ciągnąc olbrzymi żurnalier (omnibus), czy stanowiąc przedmiot popisu, w magnackim zaprzęgu lub pod wierzchem.

Dziś mamy tramwaje elektryczne, koleje żelazne, rowery, samochody, możemy więc i bez konia odbyć wycieczkę zamiejską, urządzić majówkę lub uczestniczyć w jakiej uroczystości, ale dawniej (nie tak dawno przecie) bez konia nie można było się obejść w takich razach. Ułatwiał on zresztą nietylko ludziom urządzanie wycieczek i uroczystości, ale jeszcze przyczyniał się swą obecnością do ich uświetnienia, do nadania im bardziej wspaniałego i bardziej uroczystego charakteru.

Należał też do wszystkich obchodów, czy to była zwykła zabawa, święto, czy jaka inna uroczystość publiczna lub prywatna—wjazd posłów, obiór króla, albo koronacya, wesele czy pogrzeb, koń wszędzie był obecny, zawsze towarzyszył człowiekowi na zabawie czy pogrzebie tak samo, jak i przy pracy lub w boju.

### Kuligi.

Do zabaw, w których koń nie był wprawdzie główną osobą, ale które bez niego byłyby zupełnie niemożliwe, należał dziarski, wesoly i pełen życia kulig, którego ogień dosadnie wyraził Pol w pieśni kuligowej:

Wpadliśwa tu, z hukiem, z krzykiem,  
Z weseliskiem i kuligiem,  
Lecz na radość smutek godzi,  
Wstępna środa już nadchodzi.  
    Powiedzieć tam wstępnej środzie,  
    Niech poczeka na zagrodzie!





Kuligiem.

<http://rcin.org.pl>

Pochodzenie tej zabawy sięga bardzo dawnych czasów, a nazwę jej wywodzą od «kuli», to jest zakrzywionej laski, którą posyłano od domu do domu na znak, że się ma odbyć w okolicy jakieś zebranie, zgromadzenie i zwoływano w ten sposób wszystkich, aby wzięli w niem udział.

Kuligi urządzano w czasie zapust, jeżeli sanna była dobra a młodzież nie na wojnie. Umawiała się wówczas młodzież o termin kuligu i o jego kolej i, zebrawszy się większą gromadą, z muzyką wyruszyła hałaśliwie do jednego z domów w okolicy, zwłaszcza gdzie dużo było panien. Tam zabierano je ze sobą jak również i cały dom, i zwiększoną gromadą jechano dalej, odwiedzając coraz to innych sąsiadów, którzy również przyłączali się do kuligu. W ten sposób kulig, który początkowo wyruszył był w drogę w kilkanaście sanek, urastał stopniowo do kilkudziesięciu a czasami i więcej niż 100 sani, gdy okolica była ludna a czasy wesole.

Kulig odbywał się zawsze wieczorem o zmroku lub nawet zupełnie pociemku. Wówczas z przodu i z boków pędzili konni z pochodniami, oświetlając drogę. Przodem jechały jedne lub dwoje wielkich drabiniastych sani z muzyką, która cały czas rżnęła od ucha. Za nią pomykały po chrzęszczącym śniegu długim sznurem sanie, przeważnie małe i lekkie, dwuosobowe, zaprzężone w jednego lub w parę koni. Bywały one zwykle pięknie odrobione w różne fantastyczne figury na przodzie: łabędzie, orły, gryfy i t. p., przystrojone kobiercami i futrami, a konie również ubrane w brzękadła, czuby, zwieszające się

ręczniki, rozmaite świecidełka, skóry rysie lub lamparcie. Siedzący w saniach śpiewali do wtóru muzyce i kulig leciał przez ciemność nocną z tętentem koni, brzękiem dzwonek, odgłosem skrzypek i śpiewów, budząc wszystkich po drodze.

Zajeżdżano zwykle znienacka, wiedzano bowiem dobrze, że w dawnych czasach spiżarnie i piwnice były zawsze suto zaopatrzone i każdy gospodarz mógł być w każdej chwili ucztować nawet liczniejszą gromadę gości. Zresztą, gdy najeżdżano dom uboższy, gdzie można było przypuszczać, że zapasów nie starczy dla wszystkich, gdzie nie było kniei, ani rybołówstwa, przywożono wówczas nieraz ze sobą zwierzynę i ryby.

Zajeżdżano przeważnie niespodziewanie, ale żeby dać gospodarstwu czas przynajmniej przygotować się na przyjęcie, że to już była zwykle pora dość spóźniona i niejeden mógł się już być spać położyć, wysyłano więc przodem tak zwanego arlekina, dziwacznie przebranego za pajaca, który wpadał do mieszkania i skacząc a biegając po wszystkich pokojach i bijąc wszystkich przywiezioną trzepaczką, wołał:

Kulig! kulig! goście kuligowi!  
Niechże nam będą gospodarze zdrowi!

Wiedzano, co to znaczy: częstowano najpierw arlekina, żeby się pokrzepił i rozgrzał po przejażdżce na mrozie, a potem krzątano się szybko koło urządzania przyjęcia dla reszty gości, a zarazem oświetlano dom rżęsiście, na znak, że gospodarze całym sercem witają miłych przybyszów. Czasami, przy-

gotowawszy wszystko na przyjęcie, gaszono umyślnie światła, chcąc w ten sposób udać, że gospodarze niby nie spodziewają się gości.

A śpieszyć się z przygotowaniami trzeba było, bo wkrótce po zjawieniu się arlekina:

Zadudniło coś po moście,  
Ktoś przed gankiem z bata pali,  
Więc drzwi w oścież — goście! goście!  
Coraz pełniej w wielkiej sali.

Gospodarze wychodzili na ganek witać, i dom napełniał się w jednej chwili tłumem gości, często-kroć najdziwaczniej poprzebieranych za żydów, cyganów, chłopów, dziadów, baby wiejskie, albo za najrozmaitsze maskary, w larwach, to jest maskach na twarzy.

Na znak najwyższej gościnności gospodarz oddawał gościom klucze od piwnicy a gospodyni od spiżarni, symbol to był zresztą tylko, zupełnie zbyteczny przytem, wszystko bowiem było już gotowe, stoły suto zastawione mięsiwem, ciastem, winem i miodem.

Zaczynała się zabawa: młodzież hasała bez upamiętania, starzy gwarzyli przy winie lub miodku, i noc zimowa schodziła, zanim się obejrzano. Przerwywano zabawę dopiero wtedy, gdy już:

W okna bije dzionek biały,  
Oczka pannom pomalały.

Wówczas udawano się na spoczynek, aby ku wieczorowi znów zacząć tańce. I tak ucztowano

w jednym domu dzień lub dwa, zależnie od zamożności gospodarzy i stanu ich spiżarni oraz piwnicy. Gdy zaczynały się już kończyć zapasy, zabierano się do drogi, porywając gospodarzy i cały ich dom i najeżdżając następnego sąsiada.

Urządzano zwykle kulig w przedostatnim tygodniu zapust i jeżdżono tak od domu do domu aż do Popielca, do wstępnej środy, kiedy zaczynający się post nakazywał przerwanie i zakończenie wszelkich zabaw. Kończono więc kulig, śpiewając z żalem:

Zaczęliśwa w Czwartek Tłusty,  
To też krótkie te zapusty!  
Ej, panienk! zapust szkoda!  
Wszakże to już Wstępna środa!  
Oj, gosposiu nasza droga!  
Książd nas straszy gniewem Boga —  
Daj nam barszczyk na śniadanie,  
Pannom kącik na przespanie:  
Bo pojedziem już do Sielec,  
Z żalem serca na Popielec.

Najwspanialszym ze znanych w historii był kulig, który odbył się w Warszawie za panowania Jana III w dniu 20 stycznia 1695 roku. Uczestniczyło w nim 107 sani, a asystę stanowiło 800 hajduków z pochodniami. Kulig ten zakończył się zajechaniem do pary królewskiej w Wilanowie.

Życie towarzyskie i gościnność, starodawne cechy słowiańskie, tak były powszechne dawniej, że nikt nie uchylał się nigdy od udziału w kuligu, najpoważniejsi obywatele przyłączali się do tej hałaśliwej zabawy, najbardziej skąpi otwierali swe spiżarnie i piwnice dla gości kuligowych, a każdy czułby się

pokrzywdzonym, gdyby kulig, objeżdżając okolicę, pominął jego dom, każdy uważałby to za największą obrazę dla siebie.

Na kuligach bawiono się z życiem i wesoło; pełno tam było śmiechu i figlów. W pieśni kuligowej Pola, młodzieniec, zapraszając panny do tańca, grozi, jako zemstą, wywróceniem sanek w kuligu:

Czy tam szkoda, czy nieszkoda,  
Niech mi która rękę poda!  
Bo wam przyjdzie pożałować,  
Że nie chciałyście tańcować.  
Jak popędzim na wyskoki —  
Puszczę sanki do zatoki.

A że i pito tam niezgorzej, temu również nie można zaprzeczyć; wyraźnie wskazuje na to następujący dwuwiersz:

Kulig, ta zabawa jeszcze od Popiela,  
Ma za cel, by każdemu zalała gardziela.

Przebierano też nieraz miarę na kuligach i to była zła strona tej zabawy. Sarkali na nią nieraz mowaliści tak samo jak i na wiele innych zbytków i nadużyć. Nie w samej jednak zabawie, nie w samym zwyczaju narodowym leżało zło, ale w przebieraniu miary, które zawsze i wszędzie bywa szkodliwe i zgubne. Tak zgubnem bywało, gdy dla zabaw kuligowych lub innych zaniedbywano pracę lub sprawy społeczne, gdy oddawano się im nie w chwilach wolnych, nie uważano ich za wytchnienie po trudach, ale widziano w nich główny i jedyny cel życia.

Odbywały się jednak i takie kuligi, które nie miały nic a nic wspólnego z zabawą. Gdy na kraj przyszły ciężkie czasy po długiej «maskaradzie i zapustnej swawoli», jak powiada Podkomorzy w «Panu Tadeuszu», kiedy znów trzeba było iść w «taniec» z wrogiem i zaskoczyć go podstępnie a po cichu, młodź dzielna urządziła kuligi i jadąc nocami od domu do domu, porywała stamtąd rówieśników i nie rówieśników do tego «tańca» na śmierć i na życie. Stary obyczaj objawił się w nowej postaci, zastosowanej do potrzeb czasu, a dziarskość i rozpęd szalony, który dawniej znajdował ujście w wesołości i hałaśliwej zabawie, ujawnił się tutaj w obronie ojczyzny i w walce za nią!

Oto zapusty! dalej kulikiem,  
Każdy wesoły, a każdy zbrojny,  
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,  
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.  
Dalej! kulika w przyjaciół chaty —  
Zbudzimy, śpiących zabierzem z sobą.  
Nie trzeba wdziwać balowej szaty,  
Ani okrywać czoła żałobą.  
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej.

Stójcie tu! Stójcie! oto dwór biały  
I światło w oknach—dam znak—wyszrzelę.  
Odpowiedziały mnogie wystrzały.  
Ha! dobra wróżba—wszak tu wesele.  
Tu szlachta pije, wyprawia gody;  
Drużby za nami! swaty za nami!  
Od młodej panny chodź panie młody,  
Lecz nie patrz na nią—zalana łzami,  
A lży kobiece zmiękczą ci serce —  
Wrócisz! nie zwiedną ślubne kobierce,

Teraz za nami — tak z bukietami,  
Tak jak jesteście — dalej! i dalej!  
Stóćcie tu! stóćcie! tu zamek stary,  
Na hasło mnogi strzał odpowiada,  
Zamorskie jakieś widzę maskarady;  
Panowie bracia! to maskarada.  
Szaty w dziwaczne lepione wzory —  
Słuchaj no! słuchaj! mój włoski panie,  
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?  
Znasz ty Neapol! a ty, Hiszpanie,  
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?  
Nie — mniejsza o to: Włoch, Korsykanin,  
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,  
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,  
Tak jak jesteście — dalej! i dalej!

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!  
Lecą i lecą, a z pod kopyta  
Pryskają iskry, połyska błonie,  
Śmigają sanki, już świta! świta!  
Na niebie błednie czoło księżycy,  
Droga skończona, oto granica,  
Wstrzymaj rumaka! Wstrzymaj rumaka!  
Noc rozwidniała,  
Zagrzmiały działa...  
Oto jest kulik Polaka.

Dziś kulig należy do przeszłości. Jak pisał Sy-  
rokomla w r. 1857:

Już szeregiem długim sanek  
Nie najeżdża kulig dwory.

Rozpowszechniony po wszystkich zakątkach Pol-  
ski w wieku XVIII, zaczął on stopniowo wychodzić  
ze zwyczaju w czasie zawieruch po upadku Rzeczy-  
pospolitej i w drugiej połowie w. XIX znikł zupeł-  
nie z widowni. Odbywają się wprawdzie jeszcze



i dzisiaj czasami kuligi czyli szlichtady w kilkoro, a nawet kilkanaścioro sani, połączone z zajeżdżaniem do sąsiadów i zabawą taneczną, są to już jednak zabawy rzadkie i bez tego charakteru oraz tej szalonej dziarskości, co dawne. Zabawa ta znikła z widowni, jak znika wszystko, co już nie odpowiada duchowi i warunkom czasu: nikogo już dziś nie można najeżdżać tak liczną rzeszą, bo nikt nie posiada teraz w domu tak wielkich zapasów żywności; życie przytem zdrożało znacznie, tak, że nie wiele osób mogłoby dziś podolać kosztowi żywienia tak licznych towarzystw. A zato większa łatwość urządzania zabaw w mieście — pozwala zjeżdżać się tam wszystkim, którzy pragną rozrywki w czasie zapust. Bez koni można dziś dojechać do miasta, bez koni też, a raczej z małym ich tylko udziałem odbywają się dziś zazwyczaj zabawy zapustne.

### W e s e l a.

W jednej tylko warstwie ludności pozostał jeszcze wyraźny ślad dawnych kuligów, mianowicie wśród włościan, którzy wogóle najdłużej przechowują dawne zwyczaje narodowe, żyją bowiem w warunkach, najbardziej zbliżonych do dawnych, i mniej od innych warstw stykają się z życiem współczesnem. Zajęci ciężką pracą na chleb powszedni, nie mają wprawdzie czasu na urządzenie hucznych kuligów dla samej zabawy, urządzają jednak coś podobnego, ilekroć im się zdarzy tak ważna uroczystość, jak wesele. Ruszają wówczas do ślubu zupełnie

dawnym trybem kuligowym: przodem družbowie na koniach, dalej wozy lub sanie (zależnie od pory roku) z muzyką, a za nimi sznur wozów lub sani, wiozących państwa młodych i gości weselnych. Konie strojne w pióropusze, kwiaty papierowe i gałęzie, na chomontach brzękadła oraz zwieszające się barwne ręczniki, na saniach lub wozach postrojeni weselnicy, dźwięk muzyki, śpiewy i dziarska jazda — wszystko to ogromnie przypomina dawne kuligi.

Nie we wszystkich częściach kraju urządzają te jazdy weselne równie pięknie i okazale, ale wszędzie mają one ten sam dziarski charakter, wszędzie prawie odbywają się z tym samym ogniem i życiem: parobczaki zacinają konie, muzyka rżnie od ucha, a grono weselne śpiewa, co sił starczy, nie zawsze melodyjnie, ale zawsze donośnie i z zacięciem:

O poranku w niedzielę  
Gna krakowskie wesele,  
Sam starosta na przedzie  
Panów družbów wczwał wiedziel

Świat się zdumiał i słuca:  
Rżnie kapela od ucha,  
Hej! na bory! na lasy!  
Piszczą skrzyпки, grzmią basy!

Wyciągnęły się konie,  
Lecą ptakiem przez błonie,  
I podzwania bez troski  
Krakowiaczek krakowski!..

Najpiękniej i najokazalej stroją się na wesele i ubierają konie — w Krakowskiem i na Podhalu. Przyjemnie jest popatrzeć na barwne i dziarskie we-



Wesele krakowskie.

<http://rcin.org.pl>

sele krakowiaków lub górali, a spojrzawszy, uprzytomnić sobie dawne kuligi i dawne wesela.

Bo dawne wesela odbywały się tak samo, jak dzisiejsze włościańskie: do kościoła jechano z muzyką, długim rzędem pojazdów, z końmi postrojonymi, z drużbami na koniach. Tylko, że wszystko to było bogatsze, okazalsze i wspanialsze.

Zwyczaj jeżdżenia długim szeregiem zaprzęgów pochodził z czasów, kiedy do kościoła było daleko: ponieważ każdy z zaproszonych gości chciał być obecny na ślubie, więc się tworzył cały łańcuch wozów czy pojazdów. Że każdy przytem pragnął się popisać—i sam się wydać pięknie i uczcić państwa młodych, strojono więc ludzi i konie i stąd powstawały te okazałe i strojne orszaki. A że drogi dawniej nie wszędzie bywały bezpieczne, że nieraz można się było spotkać z opryszkami, zbrojono się więc na drogę do kościoła i weselnym gościom towarzyszyli zbrojni jeźdźcy, którzy, gdy im przybyło fantazyi i ognia, strzelali po drodze na wiatr ze strzelb lub pistoletów, powiększając tem gwar i hałas weselny.

Paprocki, autor herbarza szlachty polskiej, tak tłumaczy w «Gnieździe cnoty» powstanie zwyczaju towarzyszenia konno weselom: «rycerz polski, jadąc sobie z przyjaciółmi po żonę, trafił na straż nieprzyjacielską, którą pogromił. A od tego czasu nastaly wielkie poczty swatów, kiedy się kto jechał żenić, obawiając się nieprzyjaciela».

Orszakiem swatów czyli swacią nazywano nie tylko przyjaciół i krewnych pana młodego, którzy jechali w jego imieniu oświadczać się o rękę panny,

ale także družbów oraz wszystkich krewnych i przyjaciół, którzy konno towarzyszyli mu do ślubu.

Wyprzedzanie jadącego orszaku swatów uważano za niewłaściwe i nieprzyzwoite, a nie było to nawet rzeczą bezpieczną, swatowie bowiem, dotknięci tem uchybieniem, mogli się wziąć zaraz do szabel i w ten sposób odpowiedzieć na taką obelgę. Dlatego to stare przysłowie mówi: «Nie wyjeżdżaj przed swaty, nie bądź mądry przed laty».

Orszak, towarzyszący panu młodemu na magnackim ślubie, bywał nadzwyczaj liczny i okazały. Jan Zamoyski, wojewoda sandomierski i wnuk głośnego kanclerza, udał się z następującym orszakiem na dwór królewski, gdzie znajdowała się panna młoda: po stu hajdukach i stu służących, idących pieszo, jechało 40 dworzan na dzielnych koniach, okrytych czaprakami, szytymi złotem w różne cyfry i floresy; za nimi 24 masztalerzy prowadziło tyleż koni luźnych, pięknie ustrojonych. Potem szło 18 paziów i 6 trębaczów, dalej dwustu przyjaciół pana młodego konno parami, potem sam Zamoyski na cudnym koniu z czaprakiem pokrytym perlami i dyamentami, a wreszcie za nim 20 najprzedniejszych panów z Królestwa, również konno.

Śluby zwykłej szlachty posiadały mniej liczną i mniej okazałą asystę konną; żaden jednak nie mógł się obyć bez orszaku jezdnych. A tyczyło się to wszystkich innych uroczystości, czy to prywatnych, czy publicznych.

Wszędzie Polak zjawiał się konno, a strojno: konno stawiała się szlachta na elekcję królów, kon-

no wprowadzano króla do stolicy i konno wyjeżdżano na jego spotkanie. W takiż sam sposób witano i innych dostojników lub szanownych gości, których uczcić chciano.

Ślady tego zwyczaju mamy bardzo widoczne jeszcze i dzisiaj, wśród włościan. Gdy biskup Jaczewski objeżdżał swą dyecezyę przed kilku laty, wyruszyły na jego spotkanie banderye, tj. liczne orszaki konne włościan ubranych w malownicze stroje ludowe. Przypominało to dawne powitania monarchów polskich.

Jak widzimy i w wieku dwudziestym koń uczestniczy jeszcze w uroczystych obchodach, ale gra już rolę bardziej skromną i bardziej podrzędną niż dawniej. Banderye włościańskie nie ukazują się dziś często, uroczyste wjazdy należą również do rzeczy rzadkich, na weselach miejskich i pańskich nikt już koni nie stroi i tylko włościanie zachowali ten zwyczaj na swoich. Niekiedy, jak naprzykład u hucułów, u których drogi górskie zupełnie nie są odpowiednie dla wozów, nietylko pan młody z druźbami, ale i panna młoda i znaczna część orszaku albo nawet i wszyscy jadą konno. U górali tatrzańskich, którzy koni nie dosiadają prawie nigdy i chodzą pieszo, o ile nie mogą jechać furką, druźbowie występują zawsze konno: konno objeżdżają krewnych i znajomych, zapraszając ich na wesele, konno przodują państwu młodym, którzy jadą furką, zaprzęzoną w konie ustrojone w gałęzie świerkowe, sztuczne kwiaty i wstęgi.

Jednakże i na takich góralskich weselach obok koni i furek ukazują się niekiedy pojazdy z nowszych

czasów. Gdy przed kilku laty w Zakopanem żenił się góral z «panną z miasta», wesele odbyło się jeszcze według starodawnego zwyczaju: nawet i panna młoda była w stroju góralskim, a choć jechali do ślubu landem, a nie furką, konie jednak były ustrojone z góralska; przed orszakiem furek i powozów cwałowało konno dwu družbów górali, a przed nimi jechało znowuż dwu «panów z miasta»... na rowerach.

Dla koni rowery już nie były nowiną, to też nie spoglądały na nie podejrzliwie, nie boczyły się, ale spokojnie podążały za nimi, jakgdyby to były takie same żywe rumaki, jak i one.

Brakowało tylko jeszcze samochodu. Boć najodpowiedniejszym pojazdem dla państwa młodych byłby samochód, skoro družbowie dosiedli rowerów!

---

### Pogrzeby.

Będąc wiernym towarzyszem Polaka za życia, uczestnicząc w jego bojach, pracach i niedolach, koń stał przy nim wiernie do śmierci i tak samo odprowadzał go do grobu, jak niegdyś wioził do ślubu. Pogrzeb Polaka—rycerza nie mógł się odbyć bez orszaku jezdnych, bez wiernego konia, który szedł za trumną swego pana. I tu sadzono się na wystawę i okazałość, i tu strojono konia, tylko że odpowiednio do żałobnej chwili okazałość ta nie była hałaś-

liwa i dziarska, jak na weselach lub kuligach, ale posępna i żalobna.

Najlepsze pojęcie o tych dawnych pogrzebach dają nam pogrzeby królów, na których wszystkie dawne zwyczaje występowały w całej okazałości, które odznaczyły się największą wystawą i przepychem. Samego króla ubierano do trumny możliwie skromnie, bo obyczaj chrześcijański potępiał wszelką próżność i zalecał, zupełnie słusznie, dostatki zmarłego rozdać ubogim i potrzebującym, zamiast narażać je na zbutwienie i zmarnowanie się w grobie. Sam jednak pogrzeb urządzano z wielką okazałością, a to dla uczczenia zmarłego; i tem, naturalnie, pogrzeb był okazalszy, im większe były zasługi monarchy, im większą cieszył się on miłością u ludu. A że dawniej wojny były na porządku dziennym i każdy prawie monarcha był wojownikiem, koń więc i obrzędy rycerskie stanowiły zawsze składową część pogrzebu.

Oto jak opisuje Wincenty Pol w «Pacholęciu hetmańskim» pogrzeb Zygmunta I:

Aż już wyruszył orszak pogrzebowy.  
Tedy niesiono przodem mar trzydzieści  
Suto okrytych w barwne złotogłowy,  
Strojne herbami ku narodu cześci.  
Chorągwie nieśli dopiero za niemi,  
Jadąc w kirysach, chorążowie ziemi;  
A już na czele onego orszaku  
Z orłem koronnym chorąży nadworny,  
Na białym koniu wiódł poczet wyborny;  
I wszystkie znaki szły po onym znaku.  
Chorąży pański niósł zaś w onej dobie  
Miecz goły, ostrzem zwrócony ku sobie.



Tutaj dopiero wszystkich ziem poslowie  
Szli po kolei, jak się ziemia zowie,  
Kiedy z kolei w boju, czy na radzie  
Choraǳwie stawi, albo wota kładzie.  
Za niemi jechał w zupełnym kirysie  
Jan Tarło, dzierżąc goły miecz w swym ręku,  
I siedział bardzo okazale w łęku,  
Bo i koń w zbroi, a skóry tygrysie  
Opięły barki i pańskie siedzenie  
(Król od cesarza był dostał tę zbroję),  
A za rycerzem jechał na skinienie  
Giermek królewski, niosąc drzewo swoje.

Tarło, który siedział na koniu królewskim i odziany był w zbroję, ofiarowaną niegdyś w darze królowi przez cesarza Maksymiliana,—przedstawiał osobę zmarłego monarchy. Za nim postępował pieszo senat, niosąc godła królewskie, a za senatem mary z ciałem Zygmunta Starego, za którymi szedł Zygmunt August, a dalej Bona, obcy książęta, przybyli na pogrzeb oraz dygnitarze państwowi.

Po nabożeństwie i mowie pogrzebowej, wygłoszonej przez Samuela Maciejowskiego, biskupa Krakowskiego, do kościoła

Obrządkiem tych zwyczajów starych  
Wjechał kirysnik i giermek w podwoje,  
Otkawszy helmy i tę całą zbroję,  
Jako jest zwyczaj, wielością świec jarych <sup>1)</sup>.

W kościele zaczęły się śpiewy, po których na ołtarzu złożono przyniesione przez senatorów godła

---

<sup>1)</sup> Tarło i jego giermek mieli do helmu i do zbroi przypinane palące się świeczki.

królewskie, potem zaczęło się rzucanie na ziemię gości wojskowych na znak żałoby: król rzucił hełm, książę pruski — tarczę, książę cieszyński — drzewce tak mocno, że się złamało, kiryśnik (Jan Tarło), skruszywszy również drzewce, zwałił się z konia na ziemię tuż przy marach i to samo zrobił jego giermek; a kanclerze potłukli dawne pieczęcie i zaraz otrzymali nowe «w znak, że nastąpiło nowe już przymierze».

Pogrzeby rycerzy nie dorównywały okazałością królewskim, odbywały się jednak również wystawnie, a mniejsza lub większa ich okazałość zależały od stopnia zasługi i zamożności nieboszczyka. Zawsze jednak uczestniczył w nich koń bojowy zmarłego, którego pod szkarłatnym przykryciem wprowadzano wraz z marami do kościoła.

Pogrzeby niektórych, bardziej zasłużonych hetmanów nie ustępowały nawet wcale pod względem okazałości królewskim. Takim był pogrzeb hetmana Tarnowskiego w r. 1563. Oto jak go opiewa Niemcewicz w «Śpiewach historycznych»:

Przedem mąż zbrojny niósł proporzec długi,  
Uwiecznion ciemnym wawrzynem.  
Na nim pisane hetmana zasługi:  
Zwycięstwo pod Obertynem,  
Homel, Starodub, dzielnym szturmem wzięty,  
I dumny Wołoch pod jarzmo ugięty.

Gdy się już odbyło nabożeństwo żałobne i Uchański mową pochwalną uczcił zasługi hetmana:

Tu już zaczęto obrzędy rycerskie:  
Husarze w hartownej stali  
Buńczuk, chorągwie i sajdaki perskie  
O twardą trumnę łamali;

Dalej kiryśnik w misiurce i zbroi  
Wjechał na koniu do świętych podwoi.  
Zrazu koń wolnym postępował chodem,  
Głowę miał smutnie zwieszoną;  
Gdy raptem bystrym puścił się zawodem,  
A gdy drzewca pokruszono,  
Trumna, kiryśnik, ciężkiej zbroi brzemię  
Z ogromnym trzaskiem zapadły się w ziemię.

To zapadnięcie się rycerza z godłami i trumną miało oznaczać znikomość i marność—wszelkich największych nawet wspaniałości ziemskich. Urządzano je w ten sposób, że w kościele pod murami budowano sztuczne rusztowanie, które w odpowiedniej chwili usuwało się do podziemia wraz z trumną i rycerzem. Trumnę następnie przenoszono stamtąd do grobowca.

Opis rycerskiego pogrzebu z późniejszych czasów dał nam Wincenty Pol w «Mohorcie». Opisuje on tam mianowicie pogrzeb miecznika Różańskiego, który zginął w potrzebie ze Szwedami. Na pogrzeb ów ściągnęło mnóstwo wojskowych, by uczcić towarzysza broni, zjechało się też mnóstwo szlachty konno wraz z rodzinami na bryczkach i w kolasach.

Każdy towarzysz miał po dwóch pocztowych,  
Każdy wypoczął, był dobrze ubrany,  
A wszystka szlachta na koniach harcowych,  
Więc, co się zowie, było okazale .  
Wspaniały rydwan ruszył od klasztoru,  
I śpiew się ozwał wzdłuż wielkiego chóru,  
Znać że do grobu wieziono rycerza;  
Bo za rydwanem stąpał koń miecznika,  
Choraągwie szwedzkie na krzyż u puklerza,  
A obok trumny zbroja nieboszczyka

Na pogrzebie tym Mohort miał mowę, sławiąc zasługi nieboszczyka, a była ona prawdziwie rycerską, bo wygłosił ją z konia, jak przystało dla uczczenia wojownika, który zginął w boju.

Koń mi się ciskał, jak odyniec ranny,  
A tu przemówić z konia wypadało;  
A więc westchnąłem do Najświętszej Panny:  
«Ratuj mnie, Pani!» i tak się też stało,  
Bo mi włożyła w usta wdzięczne słowo,  
A koń stał wryty, gdym stanął przed wdową.

Był to więc pogrzeb rycerski — z koniem bojowym, chorągwią i zbroją, ale nie łamano już porożca nad trumną, a starą szablę miecznika córka jego oddała Mohortowi, który towarzyszył ojcu w boju, a potem ciało jego odprowadził był do domu.

Kiedy się, kiedy podobało Bogu,  
Że kądziel tylko zostawił w tym domu,  
To szabli ojca niema nosić komu,  
A że jej smutno będzie w tym spoczynku,  
Więc przyjm ją waszmość proszę w upominku.

Ostatni u nas pogrzeb rycerski z koniem bojowym, towarzyszem wielu bitew i długich trudów wojennych, opisał Niemcewicz w «pieśni żałobnej» o Józefie Poniatowskim:

Idzie za trumną koń jego waleczny,  
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;  
Idź, koniu, smutnie, już pan twój bezpieczny  
Zamknął dni swoje.

CZĘĆŚ II

KOŃ NA WOJNIE



## I. Koń bojowy.

Konie jego — znaczny ślad  
Jeszcze dawnych polskich stad:  
Maść gniadawa albo kara,  
Pół Araba, pół Tatarą,  
Co to z wiatrem idzie w lot,  
Co się z człekiem z umie zrość,  
Co przeczuwa cugli zwrot,  
Co kierować myślą dość,  
Co to czuje, że jest żyw  
Z owsa, siana polskich niw,  
Co wśród boju, wśród pałaszy  
Wie, że broni swojej paszy,  
I już leci z całych sił,  
Gdzie bojowy dojrzy pył.  
Gdzie usłyszy trąby zgrzyt;  
A zapalem samym syt,  
Nie pomyśli przez trzy doby,  
Gdzie spoczynek, gdzie są złoby, —  
Czuje męski wstyd!

Temi słowy opisuje Władysław Syrokomla bojowego rumaka. I rzeczywiście do boju nadaje się przedewszystkiem taki koń, «co się z człekiem umie

zrość», co sam pała takim męstwem, jak i rycerz, tak samo zdaje się nienawidzieć wrogów, jak i jego pan. Do takiego konia dadzą się zastosować słowa Mickiewicza:

Serce jeźdźca na wojennem błoniu  
Po połowie bije w koniu.

Podstawowe zalety konia — rączność, siła i wytrzymałość — z natury samej czynią go nieocenionym pomocnikiem człowieka w bojach, jemu zawdzięczają bezwątpienia wojownicy dawnych i średnich wieków znaczną część swych zwycięstw.

Nie wszystkie jednak konie posiadają bojowe zalety w jednakowym stopniu. Na czoło wysuwają się i za prawdziwie bojowe rumaki mogą uchodzić tylko te, które zachowują ogień do późnej starości, podobnież jak i ich panowie, ci rycerze dawnych czasów, o których żartobliwie powiada Słowacki w «Beniowskim», że

...nie pijali ni kawy, ni czaju,  
Żelazny kołpak nosili na głowie.

Piękny obraz takiego rycerza i konia przedstawia ballada z końca VIII stulecia o jednym z francuskich rycerzy Gwarinosie, który po przeprawie Roncewałskiej dostał się do niewoli Maurów. Zwycięski król Maurów, zachwycony jego męstwem, wykazanem w boju, ofiarowywał mu swą córkę i dowództwo w wojsku, byleby tylko rycerz przyjął wiarę Mahometa.

Ale Gwarinos z pogardą odrzucił propozycję, za co został wtrącony do ciężkiego więzienia, skutki



«w 9 łańcuchów» w oczach całego ludu. W więzieniu tem i inni jeńcy «nie przeżyli ani roku»; Gwarinos jednakże wytrzymał siedem lat!

A gdy po upływie tego czasu odbywały się igrzyska, na których rzucano włócznię do wysoko zawieszanej tarczy i nikt z Maurów nie mógł w nią trafić, Gwarinos, dowiedziawszy się o tem, ofiarował się to zrobić:

...gdyby zbroja,  
Gdyby śnieżny koń mój ze mną  
I stalowa włócznia moja!

Król kazał mu dać zbroję i konia, ale w jakim stanie:

Zbroję więźnia rdza przejadła  
Koń lat siedem piasek woził, —  
On podobny do widziadła,  
Szedł przed króla, okiem groził.

Jednakże, mając stary oręż w dłoni, a wiernego konia pod sobą rycerz się ożywił, jak również i koń, skoro tylko poczuł dawnego pana na sobie:

Twarz wybladła i znędzniała  
Wnet się ploni i rozchmurza;  
Więzień ożył... męstwem pała...  
Ruszył w harce jako burza..  
Rumak zarżał.. bo widocznie,  
Wspomnił bitwy, poznał pana...  
Więzień silnie cisnął włócznię,  
Spadła tarcza potraskana...  
Powstał gwar zazdrosnej wrzawy,  
W górę mieczów błysło wiele,  
Ale miecz Gwaryna rdzawy  
Naokoło trupy ściele.

Silnie konia spał ostrogą...  
Stary koń w podkowę dzwoni,  
Maury w pogoń lecą drogą...  
Więzień umknął od pogoni.

Taki koń stanowił chlubę rycerza, na nim jechał on śmiało na wyprawy, na niego siadając, marzył, jak ów młody wojownik w «Mohorcie», który tak opisuje swe rojenia o przyszłym życiu wojskowym:

...jam sobie układał,  
Że będę w bitwach i na koniu starzał,  
W namiocie sypiał. przy ognisku jadał,  
Że orzeł będzie nad nami się zważał;  
Że całe życie na stepach mi spłynie,  
Że krzywa szabla wśród boju zaśnie.  
A kiedym ujrzał mogiłę zdaleka,  
Tom roił sobie: że jak legnę w boju,  
To takie łożę na stepach mnie czeka,  
Gdzie niby hetman wypocznę po znoju.

U dawnych wojowników zaśnieły konie dwu typów: wielkie i ciężkie konie północne, uzdolnione do dźwigania rycerzy, zakuty w stal od stóp do głów, i lżejsze, smuklejsze — wschodnie, mniej lub więcej zbliżone do koni arabskich, a unoszące na swych grzbietach lżejszą jazdę. U nas cieszyły się szczególnie uznaniem konie wschodnie, do nich też należał słynny polski koń bojowy.

---

## II. Konie ras wschodnich.

Kraj nasz słynął z koni, jak to wyraża dawne przysłowie: «U nas jest z łaski nieba: żyto do chleba,

len do płótna, owce do sukna, stada koni, kruszce do broni». Konie polskie cieszyły się sławą nie tylko w kraju ale i zagranicą.

Potwierdzają to liczne świadectwa pisarzy cudzoziemskich, zwłaszcza Włochów, którzy przyjeżdżając



Mohort.

Jul. Kossak.

z nuncyuszami papieskimi do kraju naszego, niejednokrotnie mieli możność podziwiać konie miejscowe. Gracyani powiada: «niema kraju, któryby tak dzielne konie wydawał jak Polska; konie te acz nie rosłe, prędsze są od tureckich, a piękniejsze i zwinniejsze od niemieckich». To samo potwierdzają inni pisarze.

Pomimo to jednakże zdaje się, że nie było nigdy jakiejś osobnej rasy polskiej, jak istnieje np. arabska.

Konie polskie przedstawiały właściwie mieszaninę cech najrozmaitszych ras, w części zachodnich, w części wschodnich. A jeśli odznaczały się pewną jednorodnością, to jedynie dla tego, iż wszyscy hodowcy koni mieli przed oczyma jednakowy ideał i starali się zawsze o dobór pewnych cech w hodowanych przez siebie rumakach.

Cechami temi były rącość, wytrwałość i fantazya czyli ogień rycerski, czem też właśnie odznaczały się zawsze konie polskie, ale tylko póty, póki kwitły rycerskie obyczaje i póki potrzebowano i poszukiwano takich koni.

Po sławnej potrzebie wiedeńskiej, w której zasłynęły i konie polskie i rycerstwo nasze, nastąpił upadek ducha wojennego.

Przeszedł czas długi saskiego pokoju,  
Rozpił się naród i odwykł od boju,  
Po nim nastąpił wiek innego kroju:  
Stanisław August i uczył, i stroił,  
Lecz nie douczył, ani też dozbroił.

Upadła też hodowla koni rycerskich i już w XVIII wieku koń polski starodawny stał się prawie rzadkością, a w krótkim czasie przeszedł do przeszłości. Dziś konie takie znamy już jedynie z obrazów.

O tem, że nie było u nas jednolitej rasy polskiej, lecz tylko wyhodowywano sobie jednolity typ z koni najrozmaitszych ras, widać ze wzmianek w dziełach swoich i obcych pisarzy.

Na wielką różnorodność ras końskich w Polsce wskazuje następujący opis: «są u nas konie krajowe, jak samogitici czyli żmudy, ukraińskie i podolskie

czyli ruskie, stepowe czyli zaporoskie, karpackie czyli podgórskie i nareszcie polskie ze wszystkich najprzedniejsze; inne zagraniczne, jak te z Turcyi to jest tureckie, z Fryzyi to jest Frezy; inne angielskie, hiszpańskie, arabskie, adziamskie, neapolitańskie, astarskie, albańskie, poddunajskie, tatarskie i czerkieskie bachmaty i t. d.»

Nie wszystkie te rasy posiadały jednakowe właściwości i nadawały się do jednakowego użytku.

Według świadectwa Marescottiego (z r. 1668), «konie holenderskie poszukiwane były do karet, węgierskie do codziennego użycia, arabskie dla kształtnej kibici, perskie dla okazałości, tureckie dla ognia i jako prędkie do wyścigów».

Charakterystykę biegu rozmaitych koni podaje w sposób nadzwyczaj dosadny i malowniczy jeden z naszych powieściopisarzy:

«Szparko, jak strzała, sadząc sarnimi susami, wpadł na podwórze stepowy konik z kozakiem... Za nim wleciał Murza tatarski, a bachmat jego jakby się pławił, tak gładko i tak nisko sunął sprężystemi nogami... W ślad za nimi pod Lachem koń, przysadzając się zadem ku ziemi, przodem wyskakując w powietrze, okracz wpląsał na podwórze».

W ustępie tym nadzwyczaj obrazowo został przedstawiony rozmaity sposób chodu kozackiego konia, tatarskiego bachmata i polskiego rumaka.

Największem uznaniem cieszyły się u nas konie arabskie czyli arabczyki, zwane także bedewiami, która to nazwa pochodzi od przekręconego wyrazu Beduin.

Konie te stanowiły najwyższy ideał tęgiego konia bojowego, dla pięknych kształtów i ognia.

Prawie na równi z arabem cieszył się uznaniem koń turecki czyli turski, zwany także rumlem od Rumelii, prowincyi tureckiej, dostarczającej najlepszych koni. Od tej nazwy powstał wyraz rumak, używany wogóle na oznaczenie rączego dobrego konia.

Dawne przysłowie zalicza konia tureckiego do nazwy najlepszych: «koń turek, chłop mazurek, czapka magierka, szabla węgierka». Zresztą nazwą koni tureckich obejmowano często wogóle piękne konie wschodnie, zarówno czysto tureckie, arabskie, jak perskie czyli adziamskie i inne.

Konie tureckie zbliżały się wogóle zaletami do arabskich: były również ogniste, o kształtach zwężonych i pięknych, oku wydatnem i wyrazistem.

Konie te były bardzo poszukiwane dla zalet, których nabywały wskutek starannego wychowania. Turcy obchodzili się ze źrebiętami nadzwyczaj łagodnie, starając się rozwinąć w nich wrodzone zalety, a także ufność i przywiązanie do człowieka: «głaszczą oni źrebięta swoje bez ustanku, przyjmują je do domów i do stołu, słowem otaczają je temi samemi staraniami, które dzieciom swoim poświęcają».

Mohort tak się wyraża o wschodnich koniach, znajdujących się w jego stadzie, o ich ogniu, rączości i łagodności a także o tem, jak się należy obchodzić z nimi:

Krew arcypaniska! tego rodu koni  
Łapać na arkan, ni ujeżdżać trzeba,  
Bo same z młodu przychodzą do dłoni;

Gdy je chcesz użyć, dodaj z solą chleba,  
Ogłaszcz, oklepaj i załóż wędzidło,  
Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.

A pokazując jedną klacz tej rasy, nazwiskiem  
Korybutka powiada:

Jak na rzut oka, niby trochę krótka,  
Ale jak niema krótkiego pałasza,  
Bo jeśli krótki, to pomknij się bliżej,  
Tak kiedy trzeba, ni dłużej, ni chyżej  
Sumak nie skoczy, jak ta perła nasza.

Za miarę przywiązania takich koni służyć może  
dalsze opowiadanie Mohorta o tej samej Korybutce.

Przed kilku laty zginęła ze stada,  
A po trzech latach sama wraca rada,  
Lecz sądzisz książe, że do koni może?  
Nie! mnie starego szuka na futorze,  
I rzy, i lata, że aż ziemia dudni;  
Poznałem rzenie, wychodzę z namiotu,  
A ona do mnie, i aż drży od lotu.

Za dobrego bojowego konia uchodził także tatarski bachmat, o którym pisze Wacław Potocki, autor z XVII w. «Niech się Tatar bachmatem, Turek rumlem szczyi». Konie te nie były tak pięknej postaci jak rumle i bedewie, przeciwnie miały budowę krępą a nogi niskie i mocne, ale zato odznaczały się rącznością i wytrzymałością, były więc nieocenione do wojny.

Aleksander Gwagnin, rotmistrz wojsk polskich za Zygmunta III, powiada, że Tatarzy ubiegają po 20 mil dziennie na swoich koniach, żywiących się tylko liściem, chróstem i korzeniami, wygrzebanymi

z ziemi; że wplaw przebywają na nich z łatwością bystre rzeki, jak Dniepr i Dniestr. Konie te znoszą doskonale trudy wojenne i głód, są równie wytrzymałe na wszelkie niewygody, jak i ich panowie, o których powiada poeta:

Kożuch — to ich odzienie, żywność — kobyлина;  
Wilk lub lis w polu wzięty, — to u nich zwierzyzna.

Bachmat zresztą pomimo wytrzymałości nie cieszył się u nas zbyt wielkiem uznaniem, dawne przysłowie powiada: «Idę na wyprawę, choć bachmata zdobędę». Poszukiwano ich jednak do wojska, lżej uzbrojonego, dla ich wytrzymałości i rącości. Na nich siedziały zwykle lekkie chorągwie Wielkiego księstwa Litewskiego, a na potrzeby tych chorągwi hodowano na Litwie całe stada tatarskich bachmatów.

Mniejsze tatarskie konie, drobnej budowy, z ciężką niezgrabną głową i płaskimi żebrami nosiły również tatarską nazwę łoszaków. Nazwy tej używa się i dzisiaj na Podolu, ale nie dla oznaczenia małych koni dorosłych, lecz dla młodych niewyrośniętych jeszcze źrebaków. Tatarskie łoszaki były słabe i gorsze od bachmatów, ale odznaczały się także ogromną wytrzymałością i rącością.

Koczowniczo najezdnicze plemię Tatarów nie dbało o zewnętrzne cechy konia, o piękne kształty i starało się jedynie o rozwinięcie w koniu wielkiej wytrzymałości i szybkości, te cechy bowiem były dla nich niezbędne zarówno dla szybkich i nagłych napadów, jak i dla niemniej szybkiej ucieczki, skoro napad ich spotkał należyte odparcie.



Siedząc na bachmatach i łoszakach, dzicz tatarska łupieżyła, paliła wsi oraz miasta podolskie i ukraińskie, uprowadzając w jasyr setki i tysiące bezbronnych mieszkańców. Ale umykała jak wichur skoro zetknęła się z ciągnącą na dzielnych polskich koniach skrzydlatą husaryą. Wtedy dopiero szybkość bachmatów stawała się dla nich prawdziwie nieocenioną.

Ale ucieczka nie zawsze się udawała. Polskie rumaki umiały gonić rączo, jak powiada Pasek: «siedziałem też na takim koniu, któremu kałmuckie i astrachańskie bachmaty uciekać nie umiały». Wówczas dopiero następował krwawy obrachunek za spustoszone wsi i miasta!

Bedewie, rumle, persy i bachmaty — otrzymywaliśmy ze wschodu, czy jako zdobycz wojenną, czy drogą zakupu. Z zachodu przychodziły do nas hiszpańskie dzianety, ale i w nich płynęła krew wschodnia.

Nazwa dzianet pochodzi od włoskiego wyrazu «gianetto» (rodzaj konia), rasa jednak tych koni wywodziła swój ród nie z Włoch, lecz od arabskich wierzchowców zwyciężkich Maurów, którzy, zdobywszy Hiszpanię, wprowadzili tam konie wschodnie i dali początek doskonałej bojowej rasie dzianetów, łączących w sobie lekkość budowy konia wschodniego z mocą i fundamentalnością pokroju ciężkich ras północy.

Dzianety były to konie nadzwyczaj okazałe, prawdziwie rycerskie i królewskie. Wyniosłe, dobrze zbudowane, a lekkie i rącze, z szeroką dumną głową, osadzoną na pięknie zagiętej szyi, o silnych, ściągających członkach i zręcznych a majestatycznych

ruchach. Jako koń bojowy, dzianet był prawie niezrównany, a urodę miał prawdziwie królewską.

Najlepsi wojownicy i rycerze u nas i indziej w Europie dosiadali dzianetów; na dzianetach jeździli królowie i pierwsi dostojnicy państwa. Zwłaszcza w wysokiej cenie były dzianety białe. Każdy z monarchów posiadał w stajni mniej lub więcej okazałe dzianety.

Andrzej Morsztyn, poeta z w. XVII, taki daje nam opis pięknej klaczy rasy hiszpańskiej:

Nie mają takiej i jordalskie stada,  
Byłaby takiej Asturya rada,  
Nie pasie takiej natalska murawa,  
Taką się klaczą przechwala Warszawa.  
Hiszpankać wprawdzie chodem i nazwiskiem,  
Ale się w kraju rodziła nam blizkim.  
Znaczne jej kształtu wizerunki wszelkie,  
Głowa niewielka i uszy niewielkie,  
Oczy wypukłe, wesole spojrzenie,  
I klus wspaniałe i żywe chodzenie.  
A skóra jasna i obfita grzywa  
Blaski złotego przenosi przedziwa  
O, jak to pięknie kiedy wznosi głowę  
I złotą grzywy puściwszy osnowę,  
Biega pomiędzy zazdrosnemi stady,  
Swych rówieśniczek zawstydzą gromady.

Konie hiszpańskie oprócz majestatycznego chodu odznaczały się także wielką zręcznością oraz zdolnością do uczenia się różnych sztuk. Wrażliwe także były niezmiernie na dźwięki muzyki i lubiły ją bardzo, a to dla tego, iż od dawnych czasów tresowano je zawsze przy muzyce. Nadawały się też szczegól-

nie do jazdy manezowej, obfitującej w różne sztuki, jak o tem wspomina dalej Morsztyn w przytoczonym wyżej wierszu o klaczy hiszpańskiej.

A gdy ją będą w bieg różnie ćwiczoney  
Karakolowali, o! jakie korbety,  
Jakie podrzuty, jakie wężokręty,  
Jakie odmiany ręki będą w kole,  
Jakie podrzutnym grzbietem kaprio!e!

Również do koni, pochodzących ze wschodu, należały węgierskie sekiele czyli sękiele, która to nazwa pochodzi od węgierskiego wyrazu sekhely, co znaczy granica.

Węgry były narodem nawskroś jezdniczym, jak głosi dawne przysłowie, że «Węgier rodzi się na koniu». Nic więc dziwnego, iż wyhodowali sobie odpowiednią rasę koni, pięknie zbudowanych, rącznych i dzielnych. Zwięzła, ścięgniasta budowa tych koni wskazuje wyraźnie na płynącą w ich żyłach krew wschodnią. Były one doskonale do boju, a dla większej łatwości dostania, z powodu sąsiedztwa Węgier, więcej rozpowszechnione w wojsku od innych. Były tak pospolite u nas, że nie można było prawie znaleźć w kraju stajni szlacheckiej bez sekiela, który nieraz bywał ufarbowany według ówczesnej mody.

Pod nim koń sekiel w bród <sup>1)</sup> ufarbowany,  
A na nim czółdar <sup>2)</sup> złotem haftowany.

Z takich to najrozmaitszych koni wschodniego pochodzenia składały się stadniny polskie. Polacy na-

---

<sup>1)</sup> całkowicie. <sup>2)</sup> Czółdar znaczy czaprak.

bywali je zagranicą, i następnie hodując u siebie, wytwarzali tę dzielną odmianę polskich koni.

---

### III. Konie północne i inne.

Na obszarze rzeczypospolitej chowano nie tylko konie krwi wschodniej. Istniały tam również rasy północne, o budowie ciężkiej, przeważnie wielkie wzrostem i rosłe. Niejedne z tych koni północnych zasłynęły również jako robocze.

Wśród tych koni północnych zasługują przede wszystkim na uwagę żmudzkie. Nie dorównały one wzrostem, pięknnością kształtów i rącznością koniom polskim, tem nie mniej jednak posiadały znaczne zalety.

Litwa i Żmudź — jako kraje mgliste, wilgotne, o klimacie chłodnym, a glebie w znacznej części mało urodzajnej nie mogły wyhodować rosłej i kształtnej rasy koni.

Konie tameczne, tak znane żmudziny czyli hestry, pokrewne małym konikom szwedzkim i fińskim odznaczają się drobnym wzrostem, grubym karkiem, małym łbem i cienkimi nogami. Są jednak kształtne, nieraz nawet ładne, a zawsze silne i niezwykle wytrzymałe.

Podanie o koniku Kiejstutowym przechowało się do dziś dnia, że był on «siwy, niewielkiego wzrostu», ale tak szybki, że «chan krymski koniem do

źmudzkiej pogoni głowy w hordę nie uwiezie». Wacław Potocki, chcąc wyrazić, iż wszystko w jego czasach upada i maleje coraz bardziej, szuka porównania z końmi źmudzinami:

Jeśli jeszcze będzie świat ten stał trzy krzyże <sup>1)</sup>,  
To i ludzi i konie w źmudziny postrzyże.

Konie te, pomimo drobnego wzrostu, odznaczały się wielką rączością, a jeszcze bardziej wytrzymałością niezwykłą na chłód, głód i trudy wszelkie. Urodzone pod zimmem, mglistem niebem, wychowane twardo i hartownie, były to prawdziwie żelazne konie, odpowiedniejsze wprawdzie do ciągnięcia ciężarów i twardej pracy koło roli, niż do popisów bojowych.

Jednakże i na wojnie zdobyły one sobie sławną kartę. Na nich to Litwa za dawnych czasów wykonywała nagłe napady na sąsiadkę swą Polskę, na nich stawiała nieraz czoło Krzyżakom. Konie źmudzkie słynęły zwłaszcza z doskonałego przeprowiania się przez rzeki.

A gdy w późniejszych czasach udoskonalił się chów koni na Litwie, wartość źmudzinów podniosła się jeszcze bardziej.

Wręcz przeciwny wygląd i charakter miały tak zwane fryzy czyli frezy, ogromne rosłe konie z Niemiec północnych, rasy tak zwanej armorykańskiej, która wzięła początek w północno zachodniej Francji i stamtąd rozeszła się po całej Europie środkowej, konie bowiem tej rasy były szczególnie uzdolnione

<sup>1)</sup> Trzy krzyże w znaczeniu trzy dziesiątki lat.

do dźwigania ciężkiego rycerstwa średniowiecznego, zakutego w żelazne zbroje.

Przeciwnieństwo fryzów ze żmudzinami dosadnie maluje przysłowie o marnym podarunku, hucznie ogłaszającym: «upominek jak żmudzinek; jak frez, oracya».

Na koniach tych występowali zawsze Krzyżacy zarówno do boju, jak i w poselstwach uroczystych, okazałe i buńczucznie.

Rajtarowie czarni, harde wsparłszy boki,  
Na frezach hop! hop! krzycząc, buczne stroją skoki,  
Zaś ómy knechtów z spisami pod stem fendłów <sup>1)</sup> kroczą,  
Potem za mistrzem obóz i dział dwieście toczą.

Przez Krzyżaków Polacy zapoznali się z frezami, od nich też w części drogą kupna, a w części jako zdobycz wojenna rozpowszechniły się frezy po kraju. Litwa na swoich małych żmudzinach zdobywała nieraz całe stada ciężkich, ogromnych, kosmatonogich fryzów.

Nigdy jednak Polacy nie kochali się zbyt w tych ociężałych koniach. Nie podobały się one jeszcze tembardziej, że były zwykle maści wronej, która należała do nielubionych w naszym kraju.

Na fryzach sadzano ciężką jazdę: kiryśników, dragonów, rajtarów cudzoziemskiego zaciągu. Towarzysze jednak chorągwi narodowych przedrwiwali sobie z tych opasłych niemców, nie dorównywających ogniem i rąchością polskim koniom. Gdy Paska

---

<sup>1)</sup> Fendel — chorągiewka, proporzec.

za mniemany udział w rokoszu aresztowała dragonia królewska, siedząca na fryzach, nasz pamiętnikarz w taki sposób bronił się od zarzucanej mu winy: «gybym się czuł winnym, mógłbym być bezpiecznie



Rajtar Karola Gustawa.

ujść. Siedziałem też na takim koniu, któremu kałmuckie i astrachańskie bachmaty uciekać nie umiały, pewnie bym się też niemieckim fryzom i powąchać nie dał». Że jednak niewinny, pozwolił się więc aresztować, żeby mieć możność zupełnego usprawiedliwienia się.

Gdy Jan III ciągnął pod Wiedeń, nie było w wojsku polskiem fryzów.

Największem uznaniem cieszyły się one u nas, jako konie powozowe, chociaż bowiem nie rącze, były jednak wytrzymałe i mogły podolać znacznemu nawet ciężarowi. Ale zato sprowadzenie ich i utrzymanie należało do rzeczy kosztownych i tylko wielcy panowie mogli sobie pozwalać na taki zbytek:

Prawo, bankiety, frezy, leki i budynki,  
Basarynki<sup>1)</sup> — pustoszą z gruntu nasze skrzynki.

Oprócz tych głównych ras koni, znajdowało się u nas wiele innych, mniej lub więcej godnych uwagi w części chowanych w kraju, w części sprowadzanych z zagranicy.

Były małe, ale nadzwyczaj mądre i przywiązane do ludzi górskie koniki karpackie, które odbywały podróże bez uzdy w towarzystwie górala bez bicia, same bowiem doskonale znały drogę i wiedziały, gdzie należy przyśpieszyć, a gdzie zwolnić chodu; naddunajskie z Wołoszczyzny, zbliżone charakterem do węgierskich sekielów i dla tego cenione na równi z nimi i wiele innych.

Odpowiednio do różnorodności ras spotykamy też u naszych przodków wielką różnorodność nazw, stosujących się do koni.

Niektóre z tych nazw, jak bedewie, rumle, fryzy i inne, oznaczały istotnie rasę konia, inne natomiast

---

<sup>1)</sup> Basarynek, basarunek od niemieckiego wyrazu «Besserung» (poprawienie), oznaczał wogóle karę pieniężną, nałożoną przez sąd.



tyczyły się wyłącznie pewnych przymiotów, nie określając bliżej rasy.

Mierzynem zwano wogóle konia miernego, zdanego przede wszystkim do zaprzęgu, zwłaszcza do parokonnych wózków niedużych; mierzyny były pozbawione ognia i niezdatne pod wierzch. Rosłe, niezgrabne konie nazywano dylongami, dryblasami, bucefałami albo kandybami od nazwiska ukraińskiego pułkownika Kandyby, który miał zwyczaj skupowania wielkich rosłych koni, chociaż były one niezgrabnej budowy.

Piękny, ładnej budowy koń nosił nazwę sudanego; a liche marne konie do niczego przezywano szkapami, marchami, wywłokami, bronowłokami, szewluchami i t. d. Nie można ich było nawet porównywać z pięknym rasowym koniem, co to zawsze jest

I droższy, i zacniejszy, choćby się ubrudził,  
Niżeli jaka marcha, choćbyś ją wycudził <sup>1)</sup>.

W tych różnych nazwach marnych koni były rozmaite odcienia: gdy marcha, wyraz pochodzenia celtyckiego, a więc z zachodu, oznaczał wogóle marnego nędznego konia, ale jeszcze możliwego do roboty; hetką zwano takiego, co to ciągnął, lecz tylko w ostateczności, pod grozą bata, tak że nim «co ubijesz, to ujedziesz», więcej jednak nic. Terliczą nazywano chudego konia, mającego, jak to mówią, tylko skórę i kości, od podobieństwa do terlicy, naj-

---

<sup>1)</sup> Wyczyścił pięknie.

prostszego siodła żołnierskiego, złożonego z drewnianego łąku, obitego skórą.

Słowem istniała u naszych przodków ogromna rozmaitość nazw, stosujących się do koni i doskonale określających zarówno ich rasę, jak i różne własności.

Tę obfitość nazw bardzo trafnie określa następujący wiersz:

Wszystkie konie Pan Bóg sierścią odział,  
Wzdy przecie w ich rodzajach chciał uczynić podział,  
Inszy Fryz, inszy Żmudzin, insze są Szewluchy,  
Przygodne do orczyka, chomonta i duhy,  
Inszy wałach podolski, inszy na poboczy  
Sękiel, inszy, co klusem, a co chodzi z kroczy.

#### IV. Maść koni i poglądy na nią.

Przodkowie nasi wielką przywiązywali wagę do maści czyli koloru sierści końskiej, a to dla tego, iż, jak twierdzili, maść pozostaje w bardzo ścisłym związku z całym charakterem konia, ze wszystkimi jego wadami i zaletami.

Według poglądu, zapożyczonego jeszcze od starożytnych, są cztery żywioły: ziemia, ogień, woda i powietrze; w nich stworzone są wszystkie rzeczy na świecie. Tym czterem żywiołom odpowiadają cztery istności, nadające charakter wszystkiemu, co istnieje, a mianowicie: zimność, odpowiadająca ziemi, gorącość—ogniowi, wilgotność—wodzie i suchość—

powietrzu. Od przewagi jednego lub drugiego żywiołu zależy charakter człowieka jak wogóle każdej istoty na ziemi.

U koni żywiołom ma odpowiadać maść, a mianowicie: gniada odpowiada powietrzu i suchości, to też konie gniade są z usposobienia ruchliwe, wesole; cisawa, czyli jak dziś mówimy, kasztanowata, samą swą barwą przypomina ogień, to też i konie maści cisawej są natury ognistej, gniewliwe, porywcze i włośniwe; maść czarna czyli wrona przypomina barwą ziemię, a stąd konie wronie są zimne i melancholijne; maść biała podobna jest żywiołowi wodnemu i dla tego konie białe są usposobienia powolnego, nie łatwo się zapalają, co im zresztą nie przeszkadza posiadać wysokich zalet tak samo, jak i ludzie usposobienia powolnego bywają często bardziej dzielni i więcej warci od porywczych.

Nie trzeba dodawać, że ten domniemany związek zalet konia z jego maścią i całe to bałamutne rozumowanie o żywiołach nie mają żadnego uzasadnienia. Ciekawą jest jednak rzeczą zapoznać się bliżej z poglądami naszych przodków na maść koni, rzucają one bowiem także światło na ich stosunek do tych zwierząt, na ich gusta i upodobania, a zawierają przytem nie jedną słuszną uwagę, u rozmaitych bowiem ras koni przeważają te lub owe barwy, maść więc pozostaje niekiedy w pewnym związku z właściwościami charakteru. A w pięknym wyglądzie konia odgrywa zawsze bardzo ważną rolę.

Zresztą i ojcowie nasi równie dobrze wiedzieli, że maść nie jest jeszcze wszyskiem, jak to wyraża

dawne przysłowie: «nikt nie kupuje konia z maści, ale z cnoty».

Podział wszystkich maści na cztery główne jest zresztą słuszny, bo wszystkie inne dadzą się w nich pomieścić, czy to jako odcienie, czy jako przejścia.

Biała maść jest właściwie dowodem braku wszelkiej maści, zależy ona bowiem od zupełnej nieobecności barwnika we włosach, takie włosy wydają się białe tak samo, jak białą wydaje się piana wodna złożona z bezbarwnych kropelek.

Jeżeli koń ma wszystkie włosy bezbarwne, to jest zupełnie biały; jeżeli jedne są bezbarwne a inne słabo zabarwione, to otrzymujemy maść siwą, ciemniejszą lub jaśniejszą, przechodzącą w rozmaite odcienie, jak szpakowata, żelazna (ciemno-siwa przechodząca w karą) lub dereszowata, będąca mieszaniną włosów bezbarwnych z gniadymi, żółtymi i czarnymi.

Maść czysto biała jest istotnie piękna i nie zbyt pospolita przytem, a że napotyka się w najlepszych rasach, konie więc białe były zawsze cenione nie tylko u nas, ale i wszędzie, poczynając od najodleglejszej starożytności. Były to konie przede wszystkim monarsze. Wartość ich podnosiła ta okoliczność, iż odznaczały się one często wielką, jak powiadano u nas, niewieścią delikatnością, wymagały więc bardzo troskliwych starań i z tego powodu nie każdy mógł sobie pozwolić na trzymanie takiego delikatnego konia.

Początkowo starożytni uważali je nawet za konie boskie, których nie godziło się używać ludziom. Według pojęć dawnych Greków, wóz słońca zaprząg-

nięty był w cztery białe konie. Maść tę uważano za symbol pokoju i sprawiedliwości.

Z czasem zaczęli ich używać królowie na znak, iż noszą w sercu czyste i łaskawe uczucia dla poddanych.

Na Wschodzie, u Tatarów i Chińczyków, składano chanom daniny z koni białych. Dżyngischan posiadał stado z 10,000 koni tej maści. Na koniach białych mogli jeździć jedynie albo bogowie, albo istoty ubóstwiane, to jest władcy kraju. Zwykłym śmiertelnikom nie godziło się ich dosiadać.

W początkach wieków średnich panował podobny zwyczaj w Europie: papieże i cesarze niemieccy zastrzegali dla siebie wyłączny zwyczaj używania białych koni.

U nas nie było żadnych ograniczeń pod tym względem, ale sama delikatność i kosztowność pięknych białych koni była powodem, iż dosiadali ich głównie monarchowie, wodzowie i wielcy dygnitarze. Szczególnie starano się posiadać białe konie do wjazdów uroczystych.

Przysłowie «kto nie miał białego, ten nie miał dobrego» wyraźnie wskazuje, jak wysoko ceniono konie tej maści. Wiedzano jednak również o ich delikatności, która nieraz psuła zupełnie całą wartość takiego konia: «biały albo wszystek dobry i chrobry, albo wszystek pies».

Za szczególnie dobrego uchodził koń biały z czarną skórą: «biały z czarną skórą ponad wszystkie konie górą». Konie te za młodu odznaczały się flegmatycznym usposobieniem, ale z wiekiem nabierały nie-

pospolitego ognia i dzielności. Takiego konia posiadał w swem stadzie Mohort.

Zwykła szlachta na ogół wyżej ceniła siwego, który, przypominając barwą i dzielnością białego, miał być jednak wytrzymalszy i mniej delikatny. Siwki były to najpospolitsze i najulubieńsze konie rycerskie, jak to widać z przysłów: «nie nowina siwcowi wojna», «kto nie siadał na siwym, ten nie siadał da dobrym koniu» i «nad siwego w świecie niema: szpaczek chwyci, lecz nie wstrzyma».

Z czasem, gdy w wojsku starano się o dobór jednakowej maści, na siwych koniach sadzano całe pułki, zwłaszcza jeżeli wyłogi lub wypustki u mundurów były białe.

Z odmian maści siwej najwyżej ceniono żelazną, stanowiącą przejście do karej, konie takie uchodziły za dzielne i bardzo wytrzymałe: «żelazna maść — żelazny koń».

Szpaki miały wartość jedynie za młodu: «koń szpakowaty za młodu skokliwym bywa». Maść tę uznawano za dość ładną, ale nie wierzono zbyt w wytrzymałość tych koni, jak to widać z wyżej przytoczonego porównania z siwkiem.

Dereszowata maść uchodziła za brzydką, ale konie takie uważano za bardzo wytrzymałe, prawie na równi z żelaznymi. Nie służyły więc one do występów, ani jako konie bojowe, chyba wyjątkowo, ale zato bardzo chętnie używali ich urzędnicy, oficyaliści, posłańcy, a nawet i szlachta na codzienne potrzeby, słowem w tych wszystkich wypadkach,

gdzie zupełnie nie chodziło o popis, lecz jedynie o wytrwałość w pracy lub powolnej dłuższej jeździe.

Z trzech pozostałych głównych maści najjaśniejszą jest cisawa, czyli jak się dziś mówi kasztanowata. Jest to maść jasno-czerwonawa, przypominająca kolor drzewa cisowego, które u nas było dawniej bardzo pospolite i powszechnie używane na liczne wyroby. Z czasem drzewo to znikło z naszych lasów prawie zupełnie i stopniowo przymiotnik cisawy zaczął również wychodzić z użycia, ustępując miejsca wprowadzonemu z Angli kasztanowatemu, który wziął początek od barwy owocu kasztana jadalnego. Dziś nikt już takich koni nie nazywa cisawymi, chociaż dawniej nie mówiono o nich nigdy inaczej.

W pieśniach ludowych prawie niema wzmianki o koniu kasztanowatym, ale cisawy wspomniany jest bardzo często, jak w tym krakowiaczku:

Jedzie krakowiaczek po krakowskiem błoniu,  
Czerwona czapeczka, na cisawym koniu.

Zato w znanej współczesnej piosence panienka, oczekująca gości, woła:

Ach, jak kocham mamę,  
Otwierają bramę!  
Kasztanek na przedzie...  
To ksiądz proboszcz jedzie.

Maść cisawa występuje w licznych odmianach od jasno-żółtych, stanowiących przejście do białej, do ciemnawo-czerwonych, łączących kasztanka z gniaдьми.

Do odmian najjaśniejszych, żółtawych należą: maść

migdałowata, masłowata, płowa, izabelowata i gliniasta. Potem szły właściwe cisawe, a potem ciemno cisawe i bułane, stanowiące przejście do gniadej. Te różne odcienie maści cisawej rozmaicie były szacowane.

Konie migdałowate i masłowate, najjaśniejsze z tych odcieni, uchodziły za słabe, ale spokojne i wolne od narowów, dla tego też najczęściej służyły pacholętom i damom.

Konie płowe i izabelowate nie różniły się właściwie niczem od siebie, miały bowiem tak samo żółtawą sierść na całym ciele, a ogony i grzywy najczęściej białe; zazwyczaj jednak nazwę płowych stosowano do zwykłych roboczych koni, a izabelowatymi zwano piękne rasowe rumaki; zwłaszcza dzianety hiszpańskie, u nich bowiem maść ta przytrafiała się najczęściej.

Taka właśnie była klacz, którą się zachwycił Morsztyn w wyżej przytoczonym wierszu. Taką izabelkę pokazuje Mohort księciu Józefowi Poniatowskiemu:

Jakże się wyda izabelowate,  
Co tam spokojnie po stronie się wlecze?  
To moja Iskra - - «Kahorlicka <sup>1)</sup> córka» -  
Z stada Tarnowskich, z bachmatów hetmańskich,  
Nie sierść, lecz jedwab; pergamin, nie skórka;  
Zdatna do harców tylko arcy-pańskich.

Takiej maści prawdopodobnie był słynny «Pałasz» Jana III, na którym dowodził pod Wiedniem. Przy najmniej Mikołaj Dyakowski, dworzanin królewski i autor «Dyaryusza wyprawy Wiedeńskiej», nazywa

---

<sup>1)</sup> W Kahorliku na Ukrainie mieli Tarnowscy słynne stado koni.



go płowym, ale że był to, bez wątpienia koń rasowy, słuszniejby mu się zatem należała nazwa izabelowatego. Inni autorowie podają go za cisawego, co zresztą nie stanowi wielkiej różnicy, płowa maść bowiem stanowi tylko odmianę cisawej.

Konie cisawe w ścisłym znaczeniu czyli kasztanki uchodziły za narowiste i nie były zbyt cenione, jako konie wojskowe, jak to widać z przysłowia późniejszej daty: «Gdy cię spieszą (gdy stracisz konia, gdy jesteś w opałach), nie siadaj na kasztana», bo ten cię nie ocali. Z tego powodu wymagały one starannego ujeżdżania; ale jeśli wyszły z dobrej szkoły i z pod dobrej ręki, stawały się nieocenione, bo były z natury dzielne i ogniste.

Z dowódców, którzy i polskiemu przewodzili wojsku, miał słynnego kasztana Napoleon. Koń ten, zwany l'Embelle, służył mu w czasie wypraw między r. 1806—1814; na nim Napoleon dowodził pod Jeną. Po wygnaniu cesarza, konia owego zabrano do maneuwersu wersalskiego, gdzie popisował się jeszcze do r. 1827.

Z innych maści cisawych—gliniasta i bułana zdarzały się najczęściej u koni, pochodzących od bachmatów tatarskich. Konie tych maści nie odznaczały się zwykle piękną kształtów, ale były przeważnie wytrwale i czujne, z początku powolne, ale w miarę potrzeby nabierały coraz większego ognia. Wojskowi wogóle lubili te konie i dosiadali ich chętnie.

Konie gniade różnią się od cisawych głównie tem, że mają czarne grzywy i czarne ogony; spotykają się one również w odmianach jaśniejszych i ciem-

niejszych. Gniade uchodziły na ogół za konie dobre i wesołe, ale że maść ta nie była nigdy związana z jakąś szczególną rasą, że spotyka się ją zarówno u koni wyborowych, jak i zupełnie zwyczajnych, nie cieszyła się więc nigdy żadnem wyłącznem uznaniem. Chyba że miała złocisty odcień, co się przytrafiało zwykle tylko u koni wschodniego pochodzenia.

Koń maści czarnej, wrony albo z turecka kary (co znaczy czarny) uchodził za melancholijnego, ponurego i zimnego. Przyczyniała się do takiego poglądu ponura, ciemna, jakby żałobna i złowieszcza barwa jego sierści, a także ta okoliczność, że wroną maść bardzo często miewały fryzy, konie ciężkie i ponure z budowy i natury.

Przyznawano wprawdzie karemu siłę, wytrwałość i pracowitość: «dobrze ciągnie siwy, kiedy mu kary pomoże». Używano też chętnie do powozów karych fryzów, używano ich do roboty. Wronymi końmi jeździli duchowni dostojnicy, uważając, że maść wrona najlepiej odpowiada ich stanowi i barwie sutanny.

Nie brzydził się nimi lud do pracy rolnej i często wspomina je w pieśniach: «kary konik, kary! za cztery talary!»

Ale rycerstwo nie lubiło tej ponurej barwy, jakby wróżącej nieszczęście i przegraną. Niechętnie też dośiadało wojsko nietylko karych, ale nawet skarogniadych koni. A niechęć ta przetrwała do ostatnich czasów.

Gdy książę Józef Poniatowski nabył w stadzie sławuckiem karego Szumkę, konia nadzwyczaj pięknego i rasowego, starzy wojacy nie pochwalili księciu tego

nabytku. Mogli też później tryumfować, bo podobno właśnie siedział na Szumce książę Józef w czasie niefortunnej bitwy pod Lipskiem, jak gdyby dla sprawdzenia przysłowia: «na wronym nie jedź do boju». Nie wierny Szumka wprowadzie był winien przegranej i śmierci księcia, jak nie «Pałasza» zasługą było zwycięstwo pod Wiedniem, ale różne przesady na świecie pochodzą z takich właśnie przypadkowych zestawień.

Z odmian maści karej do bardziej znanych należy myszata z odcieniem popielatym, stanowiąca przejście do siwej.

Konie myszate miano wprowadzie za silne i wytrzymałe, ale zarazem za leniwe i narowiste, nie siadano więc na nie bez ostróg, a do wozu nie zaprzęgano bez bata. Rycerstwo miało je w pogardzie, ale ziemianie ubożsi, lud i duchowieństwo jeździło nieraz myszkami.

Książę Józef Poniatowski, ujrawszy w stadzie Mohorta parę koni myszatyh, zapytał ze zdziwieniem: «A co to za hetki?»

Mohort zaś usprawiedliwiał się z posiadania takich koni.

Nie lubię myszki, bo maść narowista,  
Ale ksiądz rektor myszki tylko chowa,  
Bo grubo-plaskie — więc i trudna rada.

Oprócz koni maści jednolitej istnieją konie pstre o mieszaninie różnych maści, z których jedna występuje w tem, druga na innem miejscu skóry. Wśród koni takich odróżniano dwie grupy: pstroki czyli srokatę i taranty.

Ze srokatyh najwyżej ceniono karo-srokate, czyli srocze, to jest czarne z białym. Po zatem znajdują słę gniado-srokate, cisawo-srokate, myszato-srokate i różne inne. Srokacze uchodziły za wytrwałe i czujne, bystre i odważne, a przytem za pojętne i łagodne. Były też często używane przez wojskowych i myśliwych, a szczególnie chętnie jeździli na nich trębacze i dojeżdżacze.

W opisie chorągwi Mohorta przez Wincentego Pola, trębacz Kafarek jedzie na srokatym koniu:

Kafarków srokacz nie dotykał darnia,  
A nocą świecił przodem, jak latarnia.

Na srokacze też sadzano zwykle chłopaczków, uczących się jeździć konno, właśnie dlatego, iż uchodziły one za pojętne i spokojne. W «Pacholęciu hetmańskim» mały Waluś Rożanka zaczyna naukę konnej jazdy na srokatej klaczy:

W tym to dziedzińcu pod hetmańskim okiem  
I jam się uczył jeździć, naprzód krokiem,  
W słotę, pogodę zarówno, co ranka,  
A klacz srokata zwała się Pisanka

Był czas nawet, kiedy srokacze należały do koni bardzo modnych, zarówno do zaprzęgu, jak i pod wierzch, i kiedy wielcy panowie ubiegali się o popisywanie się cugami pstrej maści. Ale gdy moda przeminęła, srokacz zeszedł do rzędu koni pospolitych, nie posiadających żadnej szczególnej wartości, jak wyraża przysłowie: «niech będzie srokaty, byle nie nosaty» i drugie, wskazujące na godzenie się z losem:



Kafarek.

<http://rcin.org.pl>

Juljusz Kossak.

Więc koń srokacz, żona Magda,  
Co ma Bóg dać, to i tak da.

Zato taranty należały do koni wysoce cenionych, używanych do występów, paradnych wjazdów, na dary, ofiarowywane wysokim osobom. Były to konie zwykle rosłe, o delikatnej skórze i białej sierści, na której tle rozsiane były centki, nie większe od kurzego jaja barwy rozmaitej: cisawej, gniadej, czarnej, siwej i t. p. Mówiono o tych koniach, że «były nakrapiane, jak tarantule czyli pstre jaszczurki». Za najpiękniejsze uchodziły taranty w centki kasztanowate, z białą grzywą i ogonem, a czarnymi kopytami.

Bardzo wielką wagę przywiązywano również do tak zwanych odmian czyli znaków odmiennej maści, jakie posiadają na czole lub nogach konie jednobarwne. Odmiany te noszą rozmaite nazwy: gwiazdki, strzałki lub łysiny na czole, latarni na chrapach, pończoszek na nogach. A każda z tych odmian posiadała inne znaczenie: gdy jedne miały czynić konia pełnym fantazyi i dzielnym, obecność innych przeciwnie wskazywała, że koń jest leniwy i ociężały, mało pojętny. Niektóre znaki uchodziły przytem za bardzo szczęśliwe i pomyślne, inne natomiast, za przynoszące nieszczęście.

Zbyt dużo zajęłoby wyliczanie znaczenia tych różnych odmian. Wymienimy tu tylko parę ważniejszych: strzałka odznaczała konia rycerskiego, szeroka łysina — leniwego; za szczęśliwego konia uchodził taki, który miał białej maści nogę «siadaną» to jest lewą tylną, tą przez którą jeździec przerzuca nogę przy

wsiadaniu; przeciwnie, bardzo nieszczęśliwą miała być biała noga «włóczna» to jest prawa zadnia ta, przy której ciągnie się włócznia w szeregu, jak to wyraża przysłowie o powodzeniu i niepowodzeniu na wojnie: «siadany uciecze, odwłoczek (mający białą nogę włóczną) powlecze».

Zbytńia liczba odmian nie zalecała nigdy konia. Powiadano: «cztery nogi białe, piąta łysina — jeśli koń dobry, wielka nowina».

Naturalnie, różne takie znaki mogły stanowić ozdobę albo szpecić konia, ale że nie wpływały wcale na jego charakter, a tembardziej nie przynosiły szczęścia lub nieszczęścia, to więcej, jak pewna. Znaczenie im przypisywane było zawsze skutkiem jakiegoś przypadku. Niektóre z takich przypadków dochowała nam nawet historia.

W dziejach Rzymu znajduje się wzmianka o złowróbnym koniu, który miał pończoszkę na tylnej nodze, a którego pierwszy właściciel został skazany na śmierć przez Marka Antoniusza, drugi—Dolabella zginął w czasie zamieszek w Syryi, a trzeci i czwarty sami sobie śmierć zadali na skutek różnych niepowodzeń.

Czyż u ludzi zabobonnych taki zbieg okoliczności nie był dostateczny, aby konia podobnego ogłosić na wieki za przynoszącego nieszczęście?

Długosz znowuż podaje legendę o «szczęśliwym białonóżce siadany» pięknym ogierze Przybysława herbu Szreniawa. Ogier ten, skradziony swemu panu, przyprowadził mu po kilku latach całe stado koni z ziemi Węgierskiej, wtedy, gdy Przybysław stracił był wła-

sne stado, a to wskutek nieszczęśliwej wojny i zbiedniał ogomnie. Za ten postępek jednego konia wszystkie «białonózki siadane» zyskały opinię szczęśliwych równie niesłusznie, jak «odwłoczki» — przynoszących nieszczęście.

To przywiązywanie wielkiej wagi do maści koni, to zwracanie uwagi na najdrobniejsze znaki dowodzi w każdym razie, jak dalece dawni Polacy byli przywiązani do koni, jak w nich byli rozmiłowani, kiedy tak na wszystko zwracali uwagę.

W różnych czasach ta lub owa maść bywała modna, a wpływ mody bywał nieraz tak dziwaczny, że posuwano się aż do farbowania koni. Zwyczaj ten przyszedł do nas ze wschodu, gdzie istnieje do dziś dnia, a był u nas szczególnie pospolity w wieku XVII, zwłaszcza za Wazów. Farbowano przytem konie wyłącznie na wielkie występy, całkowicie, czyli, jak to się mówiło, w bród, albo też tylko grzywy i ogony. Najczęściej farbowano je na żółto lub na czerwono.

W karecie, posłanej po Maryę Ludwikę, zaprzężone były konie tarantowate z grzywami i ogonami czerwono farbowanymi; a w karetach posłów, wyprowadzonych po królowę, konie miały grzywy malowane na biało, a ogony na czerwono, to jest w kolorach polskich. Jeden z posłów rotmistrz Opaliński, wojewoda poznański, jechał na koniu tureckim białym «w bród farbowanym».

Francuzów dziwiła ta moda farbowanych koni, znajdowali jednak, że miała pewien oryginalny wdzięk.





Koń Przybysława.

Juljusz Kossak.

W rzeczywistości nie mogła ona być ładna, wyszła też wkrótce z użycia i w koniu zachwycano się znów wyłącznie pięknnością kształtów i naturalną maścią.

## V. Sposób jeżdżenia konno.

Przodkowie nasi zwracali wielką uwagę na wygląd i maść konia, a także na jego wyćwiczenie, ale nie mniej wymagający byli i względem jeźdźcy. Musiał on dobrze posiadać sztukę dosiadanania konia, aby nie narazić się na zarzut, że «jeździ po łacinie».

Już to Polacy dawni, chociaż szanowali łacinę i popisywali się nią chętnie, nie mieli zbyt świetnego pojęcia o sposobie dosiadanania koni przez Rzymian, uważając ich za lichych jeźdźców:

Jakoż by ci na koniach oklep mieli siadać,  
Co nie umieli, siedząc, tylko leżąc jadać.

Jeździec powinien był przede wszystkim siedzieć na koniu mocno, pewnie, a swobodnie, nie tak, aby o nim mówiono: «siedzi na koniu, jak pies na płocie».

Polacy brzydzili się sztywną, wymuszoną jazdą tak zwanej niegdyś włoskiej szkoły, według której należało siedzieć na koniu wyprężono i sztywno z wyciągniętymi nogami na długich strzemionach. Ale też nie lubili wcale krótkostrzemiennnej tatarskiej jazdy, przy której jeździec siedział z nogami podkurczonemi, cały podany naprzód, prawie leżąc na szyi końskiej.

Polski sposób jeżdżenia był prawdziwie wojskowy a zarazem i popisowy.

Jeździec powinien był siedzieć na koniu prosto i mocno, żeby mieć siłę wytrzymać natarcie; poruszać się zwinnie i zręcznie, żeby samemu mieć łatwość nacierania, a wreszcie zachowywać postawę naturalną, żeby się dobrze prezentować, «postawą w publice jaśnieć». Nogi należało trzymać miernie wyciągnięte, nie tak jak ten, co je wypręża ku pierśsiom konia, ale też nie kurcząc ich nad miarę, a już w żadnym razie nie rozkraczając ich dziwacznie, bo

Kto jedną nogą w niebo, drugą mierzy w ziemię,  
I tam i tu nie dojdzie, zerwie mu się strzemień.

Na koniu trzeba było siedzieć pewnie i śmiało; do tego zaś konieczna była znajomość usposobienia wierzchowca, nie każdego bowiem można było jednakowo zażywać, jak to wyraża Wacław Potocki w «Argenidzie:»

Więc trzeba i poddanych fantazy wiedzieć:  
Pierwej konia zrozumieć, niżli na nim siedzieć.

Ale gdy się wierzchowca znało, gdy się siedziało na nim mocno i swobodnie, można było popisywać się z jazdą i było też na co patrzeć wówczas!

Taki ładny i zręczny popis Sobieskiego podaje Pol w «Mohorcie:»

Gdy wojsko, ciągnąc pod Wiedeń, przyszło na krzyżujące się drogi i była chwila wahania, którądy się udać, na niebie zjawił się orzeł, zawisł chwilę

nad królem, a potem «w drogę środkową uderzył». Wówczas król, który

Zawsze na siodle chocimską buławę  
Hetmańskim strojem miał pod lewą nogą,  
Wysoko w górę buławę wyrzucił,  
W lewo buławę, w prawo konia zwrócił,  
A jak przystało tylko na junaka,  
Dał na tym zwrocie gładkiego szczupaka  
I chwycił zręcznie leącą z wysoka  
Druchnę chocimską, jak gdyby do tańca!  
I jakby koniem tratował pohańca,  
Tak po królewsku strzeliło mu z oka,  
I krzyknął głośno, nim posunął przodem:  
«Za orłem, wiara! jeszcze Bóg z narodem!»

Przy jeździe konnej dobierano rozmaitych ruchów konia zależnie od potrzeby i rodzaju jazdy. Te chody konia były takie same jak i teraz, nosiły jednak często odmienne nazwy.

Prawidłowe ruchy konia ujeżdżonego można podzielić na trzy grupy: ruchy krzyżochodne, susowe czyli skokowe i jednochodne.

Do ruchów krzyżochodnych należą: stępia czyli jak dziś mówimy stęp — powolny ruch, którym koń robi nie więcej jak pół mili na godzinę; ruch ten służył dla dania wypoczynku koniom w podróżach i marszach. Leniwy koń włókł się stępa nogą za nogą, dobry szedł rączym krokiem. Szybszym od stępi był trucht czyli dyrd, niezbyt rączza a trzęsąca jazda. Jeszcze szybszym klus, ruch dość prędkiej, ale również niewygodny i trzęsący. Kłusem chorągwie mogły zrobić milę na godzinę. Największy klus nosił nazwę rysi albo ryści: ruchem tym można było zrobić milę w 20 minut.



Sobieski na koniu.

Jul. Kossak.

Ruchy susowe polegają na tem, że koń skacze, dotykając jednocześnie ziemi dwu nogami, raz przednimi, raz tylnymi. Ruchy te są znacznie szybsze od krzyżochodnych. Dziś zowiemy je wogóle galopem, szybszym lub powolniejszym, dawniej zaś rozróżniano trzy stopnie ruchów skokowych: skok czyli półbieg, cwał i przecwał, najbardziej rączy bieg. Galopem natomiast nazywano uczoną włoską jazdę, przy której nietyle chodziło o szybkość, ile o popis, o wykonanie rozmaitych sztuk skokami i zwrotami konia.

W skok jechano za pilną sprawą, a galopowano na placu dla popisu. W skok młodzieniec śpieszył do ukochanej, a galopował przed jej oknami.

Chorągiew królewicza Aleksandra pod Wiedniem ruszyła na Turków najpierw w skok, potem puściła się cwałem, a wreszcie przecwałem dotarła do namiotu wielkiego wezyra. Ale następnie, gdy wojska polskie prezentowały się przed cesarzem, chorągwie galopowały.

Przy ruchach jednochodnych czyli inochodnych koń podnosi jednocześnie dwie nogi z jednej strony, a więc razem obie lewe, a potem obie prawe. Ruch ten kołyszący się jest ze wszystkich najdogodniejszy i najprzyjemniejszy, bo nie trzęsie wcale i przypomina niejako pływanie.

Niektóre konie mają go z natury, inne przyuczano do inochodu w ten sposób, że pętano im lekko razem obie prawe i obie lewe nogi, aby w ten sposób przyzwyczaić je do tego rodzaju ruchu jednostronnego.

Inochodniki z powodu lekkiego i miłego noszenia były wielce poszukiwane przez ludzi starszych, nie znoszących już większego zmęczenia. Uważano je za cenny podarek dla królów i wielkich dygnitarzy. Za miarę szacowności tego konia służyć może zdanie: któżby nie chciał, żeby «szczęście na inochodniku do nas zawitało?...»

Szybkość ruchów inochodnika też była rozmaita: szłap, odpowiadający stępowi; kroczy — kłusowi i jednochoda albo jednochód — najszybszy, nieustępujący cwałowi.

Jak dalece jednochód bywa szybkim ruchem wiadać z wielu starodawnych przysłów i orzeczeń. Chcąc wyrazić, że do kościoła trzeba jechać prędko, ale jeszcze prędzej wracać do domu, mówiono: «do kościoła trzeba kłusem, a z kościoła jednochodą».

Rej w przenośni piśże, mówiąc o sile pokusy do złego:

Najdzie się do złego inochodniczek,  
Ale gdy do dobrego, musisz iść piechotą:  
Bo i o szkapę trudno, gdy jechać za cnotą.

Tak samo kościół radził od pokus uciekać «prze-cwałem».

Przy jeźdźeniu konno najważniejszą rzeczą jest uzda, ona bowiem służy do kierowania i poskramia-  
nia wierzchowca. Przodkowie nasi, którzy nie bardzo wierzyli w skuteczność apteki i różnych le-  
karstw — pigulek, jak się pogardliwie wyrażali, tak określali niebezpieczeństwo jeźdźenia na koniu bez  
uzdy: «koń bez uzdy, Tatarowie przez Podole, pi-  
gulki przez brzuch — nie mogą bez szkody przejść».

Dla tego «na konia, którego masz objeżdżać, najpierw uzdę wdziejaj», a i przy jeźdzeniu pamiętaj zawsze o niej «kto konia kulbaczy, niech uzdę obaczy», bowiem «konie rządzą wodzami, ludzie mądrymi mowami».

W przerośni o poskromieniu, poddaniu swej woli kogoś, mówiono, że się go okieznało, ujeździło, biorąc porównanie ze sposobu poskromienia konia.

Dla dobrego jeźdźcy uzda stanowi dostateczny środek do kierowania koniem. Wszelkie trzcinki, szpicruty, czyli jak ongi nazywano palcaty — zbyteczne są na konia wyjeżdżonego. Palcat przystoi jedynie ujeźdźczowi na wypadek, gdyby się trafił koń hardy, któregooby trzeba było zaciąć kiedy niekiedy.

Tak samo niechętnie używano ostróg. Stanowiły one wprawdzie nieodzowną część stroju rycerskiego, i rycerz przed wsiadaniem na koń przypinał je zawsze tak, że wyrażenie «być w ostrogach» oznaczało to samo, co być gotowym do wsiadania na koń. Oswajano też zawsze konia z ostrogami, ale używano ich oględnie, bodzono nimi jedynie w ostateczności, dla wydobywania ostatnich sił w natarciu lub ucieczce.

Zato konieczną rzeczą były podkowy. Ostra zima trwająca u nas kilka miesięcy i wywołująca gołoledzie i grudy, a także ogólny zły stan dróg nie pozwalały jeździć na bosych, to jest nie podkutych koniach. Jedynie wtedy, gdy stado znajdowało się na pastwisku, konie mogły obejść się bez podków.



Rozkuwano je też wówczas, jak to zrobił Mohort, gdy doń wróciła klacz, która zginęła była ze stada:

Ktoś jej dopiero jedną okuł nogę,  
Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę.

Do wszelkiej potrzeby jednak, a zwłaszcza w ziemi koń musiał być podkuty: «z koniem bosym na lód, z butem dziurawym na błoto, bez wiosła na wodę—niebezpiecznie»

Bo i najlepszy jeździec, gdy na koniu bosym,  
Szwankowawszy na lodzie, utknie w ziemię nosem.

Swoją drogą sztuka podkuwania koni nie sięga tak bardzo dawnych czasów. Wogóle zdaje się, że prawdziwe kucie koni zaczęło się nie wcześniej, jak w VI w. po Chrystusie. Dawniej używano jedynie trzewików z łąbu, kory, wołłoku lub skóry, przywiązywanych rzemykami do nóg końskich.

U nas za pierwszych królów kucie koni nie było jeszcze rzeczą zbyt pospolitą, skoro kronikarze cytują, jako osobliwość Jastrzębca, wojownika z czasów Bolesława Chrobrego, który pierwszy zbrojno i konno wdrapał się na Łysą Górę dla opanowania ostatniej garstki chroniących się tam pogan i zburzenia ostatniej ich Świątyni.

Wysokość tej góry maluje obrazowo stary dwuwiersz, przez porównanie z koniem:

Z góry tej człek dorzuci tak daleko okiem,  
Ile przez dzień kroczyły koń przepędzi krokiem.

Jastrzębcowi wdrapanie się na górę umożliwiło to, iż miał podkutego konia.

W miarę rozpowszechniania się ciężkich zbroi i większych północnych koni, kucie wchodziło też coraz bardziej w użycie, aż stało się rzeczą tak dalece powszechną, że w wiekach średnich mówiono: «całe kraje na jednym trzymają się gwoździu, gwoździe bowiem utrzymuje podkowę, podkowa konia, koń rycerza, rycerz gród, a grody — kraje całe».

Kucie koni stało się ważnym rzemiosłem a kowal wielce cenną osobą, która dokazywała niemałej sztuki, bo nadawała koniom swym kunsztem zdolność do chodzenia po śliskich lub twardych drogach. Za miarę wielkiego znaczenia kowala może służyć twierdzenie, że kowal dużo może, «ale gdy koniowi Bóg rozumu nie dał, to mu go i kowal ukuć nie potrafi».

Siodło czyli kulbaka albo jarczak nie było taką konieczną składową częścią stroju końskiego jak uzda. Jeździło też nieraz na oklep, zwłaszcza młodzież. Na ogół jednak dla człowieka rycerskiego i uzbrojonego, a zwłaszcza na dłuższą podróż siodło było konieczne, jak to wyraża przysłowie: «jazda bez siodła, pole (polowanie) bez obłowu, gość niedyskret — naprzykrzą się».

Używano więc powszechnie siodła, bacząc na to, aby było ono dogodne, ani za przestronne, ani za ciasne, aby i konia nie gniotło i jeźdźcowi dobrze było siedzieć na niem.

Podstawę siodła stanowiła drewniana osnowa czyli łąk, którego obie części wystające z przodu i z tyłu zwano kulami (a czasami tak samo łąkiem); łąk był pociągnięty skórą i takie proste siodło z drze-

wa i skóry nosiło nazwę terlicy. Płaty skóry, zwieszające się u boków siodła, nazywały się tebinkami.

Tebinki uwiecznione są w przenośni w następującym przysłowiu:

Po tych swoich drwinkach

Poskrob się bracie w głowę, weźmiesz po tebinkach.

To znaczy dostaniesz w skórę, wogóle będziesz ukarany za żarty, tebinki użyte tu są w przenośni na oznaczenie ciała, skóry, to jest tego, co się znajduje pod niemi.

Ważną rzeczą były dobre popręgi, których zwykle dawano dwa, dlatego, że jeden częstokroć pękał przy silnem natarciu kopią. Podpinać należało dobrze i mocno, jak mówi przysłowie: «dobrze jeżdżą, którzy dobrze podpinają», ale nie tak, aby koń nie miał oddechu. Gdy komu los bardzo dokuczył, mówiono: «dopiął nam teraz los popręgów jeszcze ciasniej, aż już tchu nie staje».

Siodło jak i wogóle cały rząd zdobiony był zwykle w miarę możności właściciela złotem i drogimi kamieniami, jak to widać w opisie konia darowanego przez króla Mohortowi:

Rząd staropolski aż kapał od złota,

Choć przysłoniony tureckimi kapy.

Okrywano konie mniej lub więcej drogimi i ozdobnie wyszywanymi czaprakami, dywdykami, czołdarami i t. p., zwłaszcza gdy szło o jakiś występ, o pokazanie się na jakiej uroczystości.

Uważano, że «i koń hardo stąpa, gdy w bogatym rzedzie». Ale do takiego wspaniałego rzedu musiał

być i koń piękny, rasowy. Byle jakiego konia nie można było okazale ubierać, bo «wygląda, jak mały koń w krakowskim chomencie». Niewłaściwość stroju i rzędu wyrażano przysłowiem: «koń w prześcieradle, panna w bindzie, usarz w kapeluszu—nie kształtny strój». Rozumiano jednak, że rząd ozdobny sam przez się nie nadaje wartości koniom i że jest w każdym razie rzeczą drugorzędną i dlatego wiersz z XVI w. opisujący zalety konia, kończy się uwagą, że dobry jest:

«I ubiór strojny, lecz to sztuka z trzosa».

---

## VI. Rycerstwo średniowieczne.

Koń rycerski wieków średnich w przeciwieństwie do suchego i szczupłego araba odznaczał się ciężką, masywną budową i wielkim wzrostem. Rasa ogromnych rycerskich koni wzięła początek na wybrzeżach północno-zachodniej Francji, w mglistym, wilgotnym klimacie, na soczystych łąkach. Suchy klimat i sucha pasza Arabii i stepów środkowo-azyatyckich wytworzyły suchego konia wschodniego; wilgotny klimat i soczysta pasza nadmorskich części Francji pozwoliły wyhodować rosłego i ciężkiego konia rycerskiego.

Konie te zwano armorykańskimi od Armoryki, dawnej nazwy tej właśnie części Francji, gdzie się rozwinęła ta rasa. Konie armorykańskie rozeszły się

stamtąd do Anglii, Niemiec, a następnie i innych krajów europejskich.

Ciężki koń armorykański doskonale odpowiadał potrzebom rycerstwa średniowiecznego, zakutego od stóp do głów w zbroję stalową, zbrojnego ciężką kopią i niemniej ciężkim mieczem.

Świat starożytny nie znał tak ciężkich zbroi, to też jazda dawna mogła się utrzymać na mniejszych i słabszych koniach, ale w miarę coraz większego wchodzenia w użycie żelaznych zbroi, zaszła konieczna potrzeba wyhodowania odpowiedniej rasy koni, co właśnie zrobiono we Francji.

Zaszła też potrzeba zmiany w sposobie ubierania samego konia.

Świat starożytny nie znał ani siodła, ani strzemion. Na koniu jeżdżono oklep, a wskakiwano nań z ziemi lub po karkach zwyciężonych nieprzyjaciół albo niewolników, którzy w tym celu przyklękali przy koniu. Wschód więcej rozmyślony w wygodzie, zaczął używać nakryć na konie lub poduszek już na kilka wieków przed Narodzeniem Chrystusa. Stamtąd przyszły one do Europy i otrzymały grecką nazwę ephippii albo efipii.

Ludy jednak europejskie tak długo nie mogły się z nimi oswoić, że, według świadectwa Juliusza Cezara, Germanowie, zamieszkujący okolicę Renu, nie tylko nie chcieli ich używać, ale przeważnie mieli do nich wstręt nieprzewyciężony.

«Nic nie jest — powiada Cezar — tak przeciwnem obyczajom Germanów, i nic u nich za tak haniebne i przebrzydłe nie uchodzi, jak używanie ephippii; dla

tego to, choćby w małej byli liczbie, nie lękają się nigdy natrzeć na najliczniejszego wroga, ephippii używającego».

To samo tyczy się strzemion, o których pierwsze wzmianki znajdujemy zaledwie w końcu wieku IV po Chrystusie. Był to początkowo po prostu postronek lub ramię, przyczepiony do siodła zwykle z jednej tylko strony, aby było oprzeć na czym nogę przy wsiadaniu.

W miarę wzrastania ciężaru zbroi i wchodzenia w powszechne użycie coraz roślejszych rumaków, koniecznem stało się wydoskonalenie siodła i wprowadzenie na stałe strzemion, niezbędnych do pomocy przy wsiadaniu, a zarazem stanowiących punkt oparcia dla ciężko odzianych nóg rycerza, które zwieszane z konia ciążyłyby ogromnie wojownikowi.

Wprawdzie Niemcewicz powiada, że Zawisza Czarny:

W ciężkiej kolczudze, nie tknąwszy strzemienia,  
Lekko wskoczył na bachmata.

I nie było to rzeczą tak rzadką, boć nie jeden z naszych wojowników nawet w starości musiał dokazać jeszcze tej sztuki. Na ogół jednak strzemię stanowiło wielką pomoc, prawie nieodzowną przy wsiadaniu, a jeżdżenie na oklep w ciężkiej zbroi stawało się wprost niemożliwością.

Tak samo niemożliwem było walczenie pieszo przy tak ciężkiem uzbrojeniu. Dlatego to koń stał się nieodzownym towarzyszem rycerza, a jazda konna przywilejem i godłem stanu rycerskiego, tak da-

lece, że uchodziło za hańbę, jeżeliby rycerz wsiadł z jakiegokolwiek powodu do wozu, ciągniętego przez woły lub krowy.

Ale też dosiadanie konia w tak ciężkiej zbroi



Trojden, księżę czerski.

Jan Matejko.

i wprawne robienie ówczesnym orężem nie było bynajmniej rzeczą łatwą. Nie każdy mógł temu podołać i długo trzeba się było ćwiczyć w tej sztuce, aby ją posiąść należycie. A że jednocześnie były to czasy nieustannych najazdów, walk i wojen, ci

więc, co się raz oddali tej sztuce, nie porzucali jej już nigdy, i w ten sposób wytworzył się osobny stan rycerzy, ludzi, których jedynym zajęciem była wojna, a którzy sztukę swą doprowadzili do doskonałości.

Stan ten zresztą wymagał nie tylko umiejętności jeżdżenia konno i robienia bronią, ale także męstwa i odwagi, znoszenia cierpliwie wszelkich trudów i niewygód. Wkładał przytem na rycerzy obowiązek stawania zawsze w gotowości do bronienia swej wiary i kraju swego oraz monarchy, a także słabszych i uciśnionych, zwłaszcza kobiet.

Co prawda, to i ówczesne niewiasty odznaczały się również męstwem. Niejedna z nich przywdziewała zbroję i dosiadała konia, jak słynna hrabina Montfort, co to «miała odwagę bohatera, serce lwie, a w ręku miecz zboczony, którym dziwnie dokażywała». Niewiast mężnych nie brakło w średnich wiekach nigdzie, nie brakło też i u nas, a piękny obraz takiej rycerki dał nam Mickiewicz w «Grażynie», która w zbroi mężowskiej i na jego koniu wyruszyła przeciwko Krzyżakom i poległa w walce z nimi.

Wiadomo, że królowa Jadwiga w razie potrzeby umiała stanąć na czele wojska.

Gniewem uniesiona,  
Uczuła w sobie męstwo bohaterki,  
Śnieżne swe czoło już hełmem okrywa;  
Na dzielnym koniu, z dobranymi szyki  
Uderza, twierdze warowne zdobywa  
I do poddaństwa wraca buntowniki.



Ogół jednak niewiast, ze względu na słabsze siły, nie mógł pełnić twardej służby rycerskiej, nie zawsze mógł bronić siebie i dlatego prawy rycerz do obowiązków swoich zaliczał stawanie w obronie kobiet.

Wogóle obowiązki rycerskie były surowe i miano prawego rycerza można było zyskać jedynie męstwem, dzielnością i cnotą. Rycerz powinien być być szczerym i prawdomównym, brzydzić się kłamstwem i wszelkim podstępem, walczyć tylko otwarcie, a na słabszych nie napadać nigdy.

Mohort, w znanym poemacie Wincentego Pola, tak podaje obowiązki rycerskie:

A kto rycerzem, ten już po zakonie  
Znać to powinien, czego bronić trzeba:  
Więc naprzód stawać ma w wiary obronie  
I Maryi Panny, tej królowej nieba,  
Potem w obronie granicy — i basta!  
Bo reszta z tego już czleku wyrasta.  
A kto się takim puklerzem uzbroi,  
Kto przy kościele i granicy stoi,  
Ten się prócz Boga, niczego nie boi.

Wprawdzie nie zawsze i nie wszędzie rycerze postępowali tak, jak tego wymagała ich godność i miano. A Krzyżacy dali nam najlepszy przykład zarówno walk podstępnych, jak i kłamstwa, obludy i wogóle wszystkiego tego, co właśnie nie przystało rycerzowi. Ogół jednak rycerstwa, zwłaszcza w epoce największego jego rozkwitu, starał się odpowiadać godnie swemu mianu i prawy rycerz szanowany był wszędzie, wśród swoich i wrogów.

Szeroko znany był słynny Zawisza Czarny z męstwa i cnoty:

W Niemczech, Włoszech i Tureckiej ziemi,  
Kiedy kogo wychwalano,  
Przysłowiem było bojów towarzyszy:  
«Polegaj na nim, jakby na Zawiszy!»

Jeżeli więc zdarzały się odstępstwa od zasad rycerskich, to jednak zawsze godłem prawego rycerza było męstwo i cnota i dlatego wejście do stanu rycerskiego można było okupić jedynie zasługą osobistą.

Syn rycerza, chociażby nawet najdzielniejszego, nie zostawał jeszcze przez to samo rycerzem, jak to się stało z czasem przywilejem stanu szlacheckiego. Musiał się on koniecznie dosługiwać tego miana, zdobyć je własnymi zasługami i wówczas dopiero zostawał «pasowany na rycerza» w sposób nadzwyczaj uroczysty i według ściśle przepisanej ceremoniału, który służył do okazania, jak ten stan był szacowny i jakie obowiązki wkładał na pasowanego.

Syn rycerski do lat siedmiu chował się pod okiem matki w domu ojcowskim, poczem ojciec odwoził go na zamek krewnego lub obcego rycerza, gdzie młodzieniec zostawał paziem, chłopcem przeznaczonym do osobistych posług najpierw pani, a potem pana zamku. Zresztą i syn pana zamku służył tak samo, jako paź, w innym domu, uważano bowiem, że pobyt wśród obcych najlepiej kształcił dziecko, hartował je i odzwyczajał od pieśczoć i miękkiego wychowania, jakie nieraz bywa w domu rodzicielskim.

Paż pobierał naukę od kapelana zamku; oprócz tego ćwiczył się w konnej jeździe i zaprawiał do

bitew w walce z towarzyszami, a oglądy światowej nabierał, obcując ze starszymi, którym posługiwał. Zamek rycerski stał zawsze otworem dla licznych gości — innych rycerzy, a ci na ucztach i zebraniach opowiadali o swych walkach i podróżach, zaznając z obcymi krajami, które zwiedzali lub w których walczyli.

Doszedłszy 14 lat wieku, zmężniawszy i nauczywszy się porządnie konnej jazdy — paż zostawał giermkim, dostawał prawo noszenia oręża i towarzyszenia swemu panu na wojnę. Miecz do boku przypasywał mu kapłan po mszy przy oltarzu, przypominając, iż oręża powinien używać jedynie w celach szlachetnych — obrony wiary, ojczyzny, króla i słabszych. Służba giermka była już służbą wojskową, a nie domową, jak pazia. Pilnował on konia rycerza, kuł go, czyścił zbroję, a w bitwie towarzyszył panu, nosił jego tarczę, miecz zapasowy, lancę lub prowadził konia rezerwowego, aby go podać w stosownej chwili, gdy rumak bojowy został raniony. W razie potrzeby giermek zasłaniał pana i walczył w jego obronie. Musiał więc już dobrze umieć broń włączyć.

Zamożniejsi panowie miewali zwykle po kilku giermków, którzy im towarzyszyli w boju, a każdy miał osobny wydział poruczony sobie w służbie pana. Ubożsi rycerze obchodzili się tylko jednym giermkim i tego służba była prawdziwie ciężka i męcząca, ale też hartowała i uczyła najlepiej.

Jako giermek, młodzieniec służył rycerzowi mniej więcej do roku dwudziestego, a gdy już został uzna-

ny za należycie wyćwiczonego, ruszał w świat, aby zdobyć męstwem i dzielnymi postępkami tytuł rycerza. Najlepszym polem do tego bywały wojny, to też nieraz taki kandydat na rycerza, gdy nie było wojny w kraju, wydalął się w obce i tam dobijał się sławy. Szczególnie zaszczytnem było zdobycie oznak rycerskich na wyprawie do Ziemi Świętej.

Skoro młodzieniec zdobył już pewną sławę, wówczas udawał się do którego ze znakomitszych rycerzy, a ten, wywiadziawszy się o jego czynach i życiu, pasował go.

Pasowanie odbywało się zawsze z wielką uroczystością, zazwyczaj w wigilią jakiegoś święta. Młodzieniec przygotowywał się do tego przez oczyszczenie moralne (spowiedź) i fizyczne (kąpiel), a przystępował do tego obrzędu w białych szatach, na znak czystości ducha, którą nabył i którą ma zachować.

Po nabożeństwie i poświęceniu oręża, kapłan odczytywał przepisy i obowiązki stanu rycerskiego, a kandydat zobowiązywał się przysięgą dochowywać ich święcie. Przysięgę składał na ręce uproszonego rycerza, który wówczas opasywał go pasem rycerskim, uderzał trzykroć płazem po ramieniu, a ręką lekko po twarzy, poczem dawał mu uścisk braterski na znak przyjęcia do stanu rycerskiego, mówiąc: «Mianuję cię rycerzem w imieniu Boga, Najświętszej Maryi Panny i świętego Huberta (świętego Jerzego lub jakiego innego świętego)». Wówczas dopiero nakładano na rycerza poszczególne części zbroi, co zwykle robiły damy.

Ceremoniał kończyło przypięcie złotych ostróg, oznaki rycerskiej, której nikomu innemu nie wolno było nosić. Giermkowie nosili srebrne. Dlatego to uzyskanie godności rycerskiej wyrażano zwykle obrazowo: «zdobyć pas rycerski» (stąd «pasowanie» na rycerza), albo «zdobyć ostrogi».

Niemcewicz w «Śpiewach historycznych» daje następujący obraz pasowania na rycerza Zawiszy Czarnego:

W obliczu ludu, wśród Pańskiej świątnice  
Bierze młodzian cześć rycerza:  
Ojciec mu wkłada pancerz i przyłbicę  
I mieczem trzykroć uderza,  
I mówi, oręż mu dając niezmierny:  
— Broń twej ojczyzny, bądź jej zawsze wierny!

Każdy rycerz musiał przejść koniecznie przez stopnie pazia i giermka, a potem własną zasługą zdobyć prawo noszenia ostróg i pasa rycerskiego. Szczególnie zaszczytnem było, gdy pasowania dokonywał jakiś sławny rycerz, jak głośny Bayard francuski, zwany «Rycerzem bez trwogi i bez zarzutu», albo nasz Zawisza Czarny, uwieczniony w przysłowiu: «Polegaj na nim, jak na Zawiszy».

Rycerz musiał dotrzymywać rycerskiej przysięgi i godnie nosić swe miano, w przeciwnym bowiem razie, pozbawiano go tej godności: kat na gnojowisku odrąbywał mu toporem ostrogi, odbierał mu konia, jako godło rycerza, a następnie wprowadzano go na rusztowanie i oddawano w ręce sprawiedliwości, aby ukarała przestępcę, pozbawionego już charakteru rycerza.

Obyczaje i zwyczaje rycerskie rozwinęły się i ustaliły na Zachodzie, a stamtąd przyszły do nas, ale bardzo już dawno, znajdujemy bowiem ślady u kronikarzy, że Bolesław Chrobry pasował pierwszych rycerzy w Polsce, chcąc wojownikom swoim nadać zupełnie ten sam charakter, jaki mieli rycerze w zachodniej Europie.

Gallus podaje, że Władysław Herman w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny pasował w Płocku na rycerza 15-letniego syna Bolesława Krzywoustego oraz młodych jego towarzyszy, a Niemcewicz tak opisuje to pasowanie:

Rozrzewnion ojciec tą dziecka ochotą,  
    Helmem okrywa mu skronie,  
Daje mu tarczę, miecz i zbroję złotą  
    I mówi: «W kraju obronie  
Użyj jedynie tych znamion rycerza,  
    Niech służą chwale, nie dumie;  
Chętnie lud temu berło swe powierza,  
    Kto orężem władać umie».

Pasowanie było zarazem uszlachceniem rycerza, jeżeli ten pierwaj nie był szlachcicem, a odznaczył się walecznością.

W ten sposób początkowe rycerstwo średnio-wieczne było zbiorem ludzi, którzy pas i ostogi zdobyli własnem męstwem, własną zasługą, a nie urodzeniem.

Z czasem atoli w miarę wchodzenia w użycie broni palnej, wojsk zaciężnych i formowania oddziałów stałych, stan rycerski zaczął upadać, a zarazem

poszły też w zapomnienie obyczaje i zwyczaje rycerskie.

W Polsce jednak, gdzie powszechna służba wojskowa całej szlachty przetrwała dłużej niż gdzieindziej, gdzie wojsko stałe weszło później w zwyczaj, wiele zwyczajów rycerskich przechowywało się bardzo długo, chociaż upadła była dawno sama instytucja rycerzy.

Do takich długo trzymających się zwyczajów należało oddawanie młodych chłopców na dwory pańskie, gdzie, jako pacholęta, nabywali oni ogłady towarzyskiej a zarazem uczyli się konnej jazdy i sztuki wojowania, doskonalić się potem w niej, jako dworzanie pana domu. To wysługiwanie się panom nie było w owych czasach służalstwem, szukaniem łaskawego a łatwego chleba, lecz szkołą życia i sztuki wojskowej, taką samą, jak dawniej służba paziów i giermków.

Czasy się jednak zmieniły: znikł stan rycerski, do którego trzeba było wkupywać się długoletnią służbą u innych rycerzy, a następnie czynami walecznymi; powstały natomiast właściwe szkoły i stałe wojska, gdzie można było jeszcze lepiej nauczyć się wszystkiego tego, co dawniej zdobywało się jedynie na dworach pańskich. Wówczas w roli dworzan i pacholąt występują jedynie ci, którzy, jak się to mówiło, u «klamki pańskiej» wisieli, aby tam zdobyć sobie chleb lekki nie pracą i zasługą, lecz wysługiwaniami się. Takich dworzan, pozbawionych zupełnie charakteru rycerskiego znajdujemy w ostatnich cza-

sach przed rozbiorami Rzeczypospolitej, w okresie upadku obyczajów.

Przeżyła się i upadła dawna instytucja i pozostała po niej sama tylko forma bez żadnego znaczenia, a właściwie w znaczeniu wręcz przeciwnem.

Wincenty Pol w «Pacholęciu hetmańskim» opisał taki pobyt młodego Walentego Różanka na dworze hetmana Tarnowskiego, jeszcze z tych czasów, kiedy ten pobyt był naprawdę rodzajem szkoły, chociaż samo pasowanie na rycerza wyszło już było z użycia.

Mały Waluś Różanka odwieziony został przez ojca jako pacholę do posługi przy hetmanie, sypiał on z nim razem i razem z nim odmawiał wieczorne i ranne pacierze. Za dnia zaś pozostawał przeważnie pod opieką kapelana, ojca Melchiora, który go uczył czytania, pisania, tajemnic wiary świętej oraz innych rzeczy. Część dnia pacholę spędzało przy starym żołnierzu, który po mistrzowsku zaznajamiał Walusia z jazdą konną, psami, sokołami, przygotowując zeń powoli przyszłego wojownika. W ten sposób pobyt pacholęcia przy hetmanie był prawdziwą szkołą początkową, a służba przy panu nie głównym zajęciem, ale dodatkowym ćwiczeniem w karności i posłuchu dla starszych.

Stanowisko takiego pacholęcia uważano wówczas zawsze jeszcze za przejściowy stopień do stanu rycerskiego i kształcenie w tym kierunku miano zawsze przede wszystkim na widoku. Gdy po pewnym czasie Różanka służył na Wielkanoc do Mszy Świętej wraz z hetmanowiczem, swym rówieśnikiem, hetman przywołał ich obu do siebie i rzekł łaskawie:



«Gdy się uczycie służyć Panu Bodze<sup>1)</sup>,  
To ja szabelką służby te nagrodzę,  
A służyć macie zawdy dobrej sławie».  
I wziął nas z sobą na basztę, gdzie zbroje.  
I dał jednakich szabelek nam dwoje  
I uzbrojonych wiódł do hetmanowej;  
I oglądały nas bardzo ciekawie  
Całego dworu wdzięczne białogłowy  
I wszystkie goście i wszystkie panięta,  
Gdyśmy stanęli oba w tej postawie,  
Jako rycerskie one pacholęta.  
I znów dzień cały i łukiem i biczem  
Bawim się oba wraz z hetmanowiczem.

To obdarowanie szabelkami było czemś w rodzaju dawnego przypasania miecza paziowi, co czyniło go giermkim, chociaż wówczas nie było już giermków w użyciu.

Jak wielce dbano o porządne wyćwiczenie w sztuce wojennej takiego pacholęcia, widać z tego, że hetman sam układał Różankę do konia, skoro podrósł on już nieco, a bronią uczył go robić porucznik Maruszka, stary towarzysz bojów hetmana. Cała ta nauka odbywała się na zamkowym dziedzińcu pod hetmańskim okiem i hetman nie pozwalał pacholęciu «w świat wyjechać», dopóki nie nauczył się wszystkiego dobrze.

I pókim nie znał się z wszelaką bronią,  
Pókim nie umiał wszystko czynić konią<sup>2)</sup>,  
Póty mnie hetman w tem kole niewolił  
I w świat wyjechać nigdy nie dozwolił,  
Bo mawiał: «młody ma się ćwiczyć w ciszy».

---

<sup>1)</sup> Panu Bogu. <sup>2)</sup> Konno.

Zawsze jednak Różanka był jeszcze tylko pacholęciem przy hetmanie. Dopiero po kilku latach stał się on prawdziwym giermkim, gdy pewnej wiosny wpadli Tatarzy do kraju. Hetman ruszył na ich spotkanie, Różanka wprosił się, aby i jego wziął ze sobą. Był on jeszcze wówczas za mały na rosłego konia i wielką zbroję, chociaż jeździł już dobrze i robił bronią niezgorzej, — więc hetman dobrał mu małego, cisawego konia perskiej rasy, który «za mały był do szyku, lecz dzielny bardzo». Następnie wybrał mu ze zbrojowni w baszcie niedużą i lekką zbroję.

Szczęściem znalazła się jakaś kolczuga  
I bardzo lekka i nie bardzo długa,  
Znać udziergana na chłopięce służby.  
To mi ją dano po łosim kaftanie,  
I w tej koszulce bywałem przy panie.

W bitwie z Tatarami Różanka nie brał udziału, lecz razem z luzakami stał ukryty w chróstach, za mały bowiem był jeszcze do boju. Mimo to jednak, gdy bitwa przysunęła się bliżej, nie mógł wytrzymać i uniesiony zapalem pobiegł do hetmana.

Hetman zganiał go wprawdzie za to, ale skorzystał ze sposobności i, widząc jego zapał, kazał mu skoczyć i przyprowadzić sobie na zmianę świeżego konia «Żmiję». A kiedy młody giermek podjechał z koniem i podawał hetmanowi strzemię, Tatarzy będąc już wówczas w odwrocie, wypuścili nagle strzały i jedna z nich, jak opowiada sam Różanka, w mej piersi ustrzęgła.

Trzymając strzemię, patrząc się na pana,  
Bardzo coś boli. Hetman wyrwał strzałę,  
Lecz była tylko z ukosa nadziana,  
Bardzo szczęśliwie w żelaznej koszuli.  
Tedy pan hetman w łasce mnie przytuli:  
«To masz nagrodę za służby zuchwałe».

W ten sposób pacholę hetmańskie dostało chrzest na placu boju wtedy, kiedy jeszcze do czynnego udziału w walce nie było zdolne.

Na zakończenie wychowania, po siedmiotetniej służbie pacholęcej, hetman wyprawił Różankę na lat cztery do Akademji Krakowskiej. Potem Różanka bawił znów jeszcze cztery lata na dworze hetmańskim, jako dworzanin, i wtedy dopiero powrócił do domu ojcowskiego, wprawdzie nie jako rycerz pasowany, bo pasowanie wyszło już było wówczas z użycia, ale jako człowiek wykształcony i przetarty w świecie.

Pobył na dworze takich panów, jak Jan Tarnowski, był jeszcze prawdziwą rycerską szkołą dla młodej szlachty, którą ćwiczone tam w cnotach obywatelskich i zaprawiano w rzemiośle wojennem. Były to już jednak resztki dawnych rycerskich zwyczajów i pobyt na dworach przerodził się już wkrótce w dworactwo, które ludzi przyzwyczajało tylko do wysługiwania się panom, aż wreszcie znikło zupełnie, jako zbyt cenny zabytek dawnych czasów nie odpowiadający już niczyim potrzebom. Kształcenie się przy zamkach i dworach pańskich zastąpiły szkoły publiczne, w których można było pobierać naukę nie wysługując się nikomu. Służba pacholąt i dwo-

rzan—zabytek zwyczajów rycerskich, znikła zupełnie z widowni.

Ale za to do dziś dnia przechował się wśród ludu w niektórych okolicach inny zabytek, będący pozostałością dawnego pasowania na rycerza.

Lud wiejski, lubiący naśladować obyczaje szlachty i przechowujący je nieraz bardzo długo, wtedy jeszcze, kiedy wszędzie wyszły już one dawno z użycia i kiedy o nich zupełnie zapomniano, przyjął był do swoich zwyczajów coś w rodzaju pasowania na rycerza. Mianowicie utworzył pewne ceremoniały przy przyjmowaniu nowych towarzyszy do pracy, ceremoniały, przypominające wielce pasowanie na rycerza i złożone z takich samych głównych części.

Zwyczaje te, między innymi, przechowały się do dziś u flisów czyli oryli, spławiających rzekami, zwłaszcza Wisłą, zboże oraz inne plody, a także u kosiarzy czyli kośników. Tyczą się one zawsze postępowania z nowicjuszami w zawodzie, noszą nazwę frycowego, od fryca, będącego zdrobnieniem niemieckiego imieniem Fryderyka. Nazwa ta powstała, prawdopodobnie stąd, że każdy Niemiec, bardzo często noszący imię Fryderyka, Fritza, był nowicjuszem w Polsce. Stąd zaczęto zwać frycem każdego wogóle nowicjusza, a wprowadzenie go w grono starszych towarzyszy — frycowerem.

U kośników to frycower posiada wiele cech wspólnych z dawnym pasowaniem na rycerza.

Młody parobek, «fryc» czyli «wilk», stający pierwszy raz do kośby, kosi od rana do południa, poczem musi się poddać przepisanej obrzędowi.

Okręcają go całego trawą, kwiatami lub zbożem, kładą mu wieniec na głowę, opasują pasem ze słomy lub siana i sadzają go pod baldachimem, utworzonym z czterech kos, zatkniętych w ziemię i przykrytych u góry zielenią. Wówczas jeden ze starszych kośników słucha go spowiedzi; drugi występuje jako sędzia oceniający jego postęпки, a trzeci, jako marszałek, pasujący na kośnika, bije go pyłą ze słomy lub siana, jak ongi rycerz płazem miecza. Na zakończenie młody kośnik musi się wykupić, sprawiając towarzyszom poczęstunek w karczmie.

U oryli nowego towarzysza spowiadają również, oblewają wodą i okadzają próchnem, co wszystko ma przypominać moralne i fizyczne oczyszczenie pasowanego rycerza; potem biją go postronkiem.

Jedynie to są ślady pozostałe dzisiaj po dawnych uroczystych obrzędach rycerskich. Znikły one tak samo, jak znikł bez śladu średniowieczny rycerz, ideał męstwa, dzielności i cnoty. Książę Józef Poniątkowski następujące słowa poświęca pamięci Mohorta, który przechował był w sobie jeszcze wiele cech dawnych rycerzy:

«Był to ostatni rycerz z pod szyszaku», —  
Tak kończył książę, — «ostatni od szlaku;  
Dusza hartowana, wielka i pobożna!  
Po nim — żołnierzem być już tylko można».

---

## VII. Igrzyska konne.

Ludy wojownicze i rycerskie z całym zapalem oddawały się w czasach pokoju ćwiczeniom i roz-

rywkom, które z jednej strony przypominały im harce wojenne, a z drugiej stanowiły niejako przygotowanie do nich, powtórzenie i przypomnienie ćwiczeń i zwrotów, niezbędnych dla każdego prawdziwego wojownika.

Tem się tłómaczy namiętność, z jaką oddawano się łowom u nas i w innych krajach Europy; to nam wyjaśnia wielkie rozpowszechnienie igrzysk wojennych i wielkie zamiłowanie do nich, jakie spotykamy u najrozmaitszych ludów.

Koń, który był stałym towarzyszem człowieka i głównym jego pomocnikiem na wojnie, odgrywa nie mniej ważną rolę i na tych igrzyskach, które składały się zawsze z wyścigów pieszych lub konnych, z popisów zręczności pieszo lub na koniu, i wreszcie w utarczkach pojedynczo lub grupami, utarczek przechodzących nieraz w krwawą walkę.

Zwróćmy tutaj uwagę jedynie na takie igrzyska, w których brały udział konie.

Igrzyska takie znajdujemy już w świecie starożytnym.

Słynne igrzyska Olimpijskie, odbywające się w Grecji co cztery lata, kończyły się zawsze wysoko cenionymi wyścigami konno i na wozach. Konne wyścigi połączone były nieraz ze sztukami, mianowicie ścigano się na dwóch koniach i ścigający się obowiązany był, dobiegając do celu, przeskoczyć z jednego konia na drugiego. Wozami ścigano się parokonnymi lub czterokonnymi, a zwycięstwo w tym drugim wyścigu uważane było za najznakomitsze,

Nagroda zwycięzcy była bardzo skromna—wieńce z gałązek świętego drzewa oliwnego. Pieniężnych nagród, jak na dzisiejszych wyścigach nie dawano wcale, ani też nie robiono rujnujących i roznamietniających zakładów, jak obecnie.

Za to uznanie, jakie sobie zdobywał zwycięzca u swego ludu, było niezrównane: prowadzono go w tryumfie do ołtarza Zeusa i składano tam ofiary dziękczynne, a gdy powracał do miasta rodzinnego, cała ludność wychodziła na jego spotkanie, i do miasta wprowadzano go przez umyślnie zrobiony wyłom w murach. Oprócz tego takim zwycięzcom naznaczano nieraz pensye ze skarbu publicznego i zapisywano ich imiona na wieczną rzeczy pamiątkę, a nieraz wznoszono nawet pomniki.

Nie działo się to jednak dla czczej chwały, ale dlatego, że starożytni Grecy rozumieli wartość zdrowia, siły i zręczności, i wiedzieli, że taki zwycięzca z igrzysk Olimpijskich potrafi w razie potrzeby mężnie stanąć w obronie ojczyzny.

Ale nagradzając ludzi, Grecy nie zapominali o głównym sprawcy wygranej. Rozumieli oni dobrze, że jeśli zwycięzca—człowiek popisał się z umiejętnością konnej jazdy i kierowania końmi, to tem słuszniejsza nagroda należała się koniowi, którego rączność i wytrzymałość rozstrzygała o wyniku wyścigów. Pamiętali więc o koniach, zapisując ich imiona, wiek, maść, rasę, ojczyznę, a nieraz wznosząc im nawet posągi tak samo jak bohaterom.

Igrzyska konne Greków miały charakter wyścigów. U Rzymian spotykamy już rodzaj walk i popisów

zręczności, związanych z wojną, co też odpowiada bardziej wojowniczemu charakterowi tego ludu.

Jedno z tych ćwiczeń konnych, zwane Quintena, polegało na trafianiu z konia w pędzie pociskiem lub strzałą we wkopany pień. Inne — palus — było atakowaniem specjalnie urządzonego pala, który w razie nieumiejętności i niezręczności atakującego uderzał go. Trzecia wreszcie gra, zwana trojańską (lusus trojanus), przedstawiała utarczkę dwu oddziałów konnych, utarczkę, w której jeźdźcy manewrowali, napadali, zasłaniali się i cofali, jak na prawdziwej wojnie.

Te igrzyska rzymskie, odbywające się w tak zwanych cyrkach, możemy uważać za pierwsze początki świetnych turniejów średniowiecznych. Zresztą przechodziły one nieraz istotnie w prawdziwe krwawe walki, przy których krew lała się obficie i trupy zasiedlały pobojowisko. Naród nawskroś wojowniczy, a namiętny, niezawsze umiał powściągać uczucia i rozmaite spory polityczne oraz inne przenosił na arenę cyrkową, na której nieraz stawały do walki ze sobą wrogie partye, wiodące spór nawet o rządzenie krajem. Działo się to zwłaszcza często w ostatnich wiekach państwa rzymskiego, kiedy Rzymianie zniewieścili już o tyle, że nie mogli znosić trudów życia obozowo-rycerskiego, a więcej się zajmowali zabawami oraz intrygami w stolicach.

Na Wschodzie igrzyska konne były też w powszechnem użyciu. Arabowie lubią namiętnie i lubili zawsze wyścigi, do których szczególnie są uzdolnione ich szczuple, zwięzłe i rączce rumaki. Persowie upra-



wiają oprócz wyścigów rozmaite sztuki na koniach, jak gra w piłkę z konia, przeszywanie strzałami piłki, położonej na palu. Ta druga gra odbywa się w ten sposób, że natarłszy koniem na pał, jeździec zwraca konia i odjeżdżając od pała, strzela z łuku w tył. Ćwiczenie to ma na celu wyrobienie zręczności w strzelaniu w tył. Jest to więc ćwiczenie czysto wojenne.

Ten rodzaj strzelania z łuku stanowi pozostałość po starożytnych Partach, którzy byli mistrzami w tej sztuce. Natarłszy na nieprzyjaciela, uciekali oni natchmiast, ale w ucieczce zasypywali go chmurą strzał, wyrzucanych nadzwyczaj celnie. Stąd powstało u starożytnych przysłowie «uciekać po partawsku» — to znaczy będąc już samemu w odwrocie, zadać klęskę nieprzyjacielowi.

W późniejszych czasach z takiego strzelania w tył w ucieczce słynęli Tatarzy, i nasze rycerstwo niejednokrotnie sprawdziło na sobie celność strzał uciekających Tatarów, jak to widać z przysłów: «pilnuj się, kiedy Tatar ucieka» albo «choć Tatar ucieka, niebezpieczna twoja głowa».

Igrzyska konne Turków miały również na celu rozwinięcie i podniesienie do doskonałości wszystkich przymiotów konia i jeźdźca, przyczyniały się też nie mało do wyrobienia doskonałej kawalerji, z której Turcyą słynęła do ostatnich prawie czasów.

Na igrzyskach ich, obok wyścigów, szczególnie ulubioną była gra w dziryt. Dziryt była to laska półtora łokcia (przeszło 80 centymetrów) długa, którą konno przeciwnicy ciskali jednocześnie na siebie,

a cała sztuka polegała na tem, aby ugodzić przeciwnika, a samemu uniknąć pocisku, potem zaś w całym pędzie konia schylić się, podnieść dzi ryt z ziemi i znów uderzyć na współzawodnika. Gra ta zatem ćwiczyła w wielkiej zręczności, podobnie jak i inna, przy której jeźdźcy zniżali się pod brzuchy koni, zeskakiwali z nich i wskakiwali na nie w pełnym galopie, albo też leżąc na wznak na koniu, strzelali z łuków z wielką celnością. Łatwo pojąć, że zarówno jeździec jak i koń ćwiczeni na takich igrzyskach, umieli znaleźć się godnie w boju i nie trzeba dziwić się, że turecka jazda dokazywała w swoim czasie cudów.

Taki sam cel — rozwinięcia dzielności i siły miały na widoku głośne średniowieczne turnieje, będące zresztą zarazem i popisem tych przymiotów. Ciężko uzbrojony rycerz nie zdołałby wykonać takich sztuk, jak nie obciążeni niczem Persowie lub Turcy; popisywał się więc głównie, zarówno, jak i koń jego, dzielnością natarcia i wytrzymaniem napadu. Ćwiczył się jednak także w niektórych sztukach, wymagających szybkich zwrotów i zręczności, ale wówczas ubierał się lżej.

Turnieje czyli, jak je po polsku zwano, goni twy — polegały na ścieraniu się zbrojnych rycerzy, albo też oddziałów. Rycerze byli w pełnym uzbrojeniu, ale zwykle z tępymi mieczami i lancami, a cała rzecz polegała na wyrzuceniu z siodła przeciwnika, który wówczas musiał się uznać za zwyciężonego. Początkowo więc walka kończyła się co najwyżej na potłuczeniu, z czasem jednak zaczęto gonić «na



Turniej średniowieczny XV wieku.

Wiktor Mazurowski.

ostre», to jest występowało z ostrymi mieczami i lancami, a walczących ogarniał nieraz taki zapał, że w szrankach musieli znajdować się giermkowie z olbrzymiemi dwusążniowemi kopiami (prawie 4 metry), którzy zasłaniali nimi leżących na ziemi rannych rycerzy i uprzętały ich ze szranków.

Turnieje odbywały się z wielką uroczystością. Książę, który je urządzał, ogłaszał o tem zawczasu nietylko w kraju, ale i zagranicą, zapraszając na nie rycerzy zewsząd. W wigilię turnieju zawieszano w szrankach zbroje i hełmy rycerzy, mających się ścierać. A w sam dzień walki heroldowie donośnym głosem trąb zapowiadali jej zaczęcie się, poczem rycerze wyjeżdżali w szranki i rozpoczynali gonitwy parami lub oddziałami.

Na galeryach zamku siedzieli goście i widzowie: książę lub król z orszakami, damy, sędziowie, którzy dawali znak zakończenia turnieju, skoro uważali, że zwycięstwo przechyliło się na stronę jednego rycerza lub jednego oddziału. Wówczas trąba dawała hasło do odwrotu, heroldowie ogłaszali koniec igrzysk oraz nazwisko rycerza, który zdobył pierwszeństwo w walce.

Nagrodę dla zwycięzcy stanowiły rozmaite drogocenne dary; ale nie o nie właściwie ubiegano się, lecz o nagrodę bardziej honorową, o sam zaszczyt zwycięstwa, o poklask i uznanie widzów oraz o podziękowanie damy, obranej na królową danego turnieju.

Gdy już sędziowie przyznali jednemu z rycerzy pierwszeństwo, prowadzono go w tryumfie przed

królową: rycerz klękał przed nią i całował jej rękę,  
a ona dziękowała mu i wręczała nagrodę.

Ucihła wrzawa — na dzielnych rumakach  
Wielu z rycerstwa śmiało w szranki wnida,  
Z lekkim ukłonem i zniżoną dzidą.  
Białe się pióra chwieją na szyszakach,  
Przez lewe ramię pas przewieszon drogi,  
A koń się wspina od złotej ostrogi.  
Gdy się im męskie powiodą igrzyska,  
Uśmiech piękności i oklaski gminu,  
Najdroższą płacę największego czynu,  
Cel bohatera każdy z nich pozyska.

Turnieje były ulubioną rozrywką rycerską całej Europy w średnich wiekach. Odbywały się też po wszystkich dworach królów, książąt i panów. A czy były okazałe, jako popis rycerzy, przybyłych z dalekich stron, czy też powszednie, w bliższem kółku — stanowiły zawsze doskonałą szkołę szermierki, uczyły nacierać i bronić się. U nas turnieje weszły dość wcześnie w zwyczaj, bo pierwszą wzmiankę o nich znajdujemy w w. XII (r. 1142) przy opisie wesela córki Piotra herbu Łabędź z Jaksą księciem serbskim. Rozpowszechniły się one wkrótce tak dalece, że stanowiły konieczną składową część wszystkich ważniejszych uroczystości, jak koronacje, zjazdy lub wesela monarchów, a także znakomitszych panów.

Niemcewicz tak opisuje turniej za Kazimierza Wielkiego:

Tam wnuczkę cudnej urody  
Z cesarzem śluby kojarzy,  
Wzywa na weselne gody  
Czterech potężnych mocarzy.

Widziano przepych nieznanym  
W ucztach, turniejach, gonitwach;  
Od piękności dank przyznany  
Zwycięzcy w szczęśliwych bitwach;  
Kto na ostrze dzielnie godził,  
Wśród oklasku z szranków schodził.

Na naszych turniejach tak samo, jak i na Zachodzie, potykano się z tępymi mieczami i kopiami albo też na ostre i tak samo turnieje kończyły się nieraz śmiercią jednego z napastników.

Jeszcze w XVI w. na gonitwach, które się odbywały po koronacji Henryka Walezego, wysadzono dwu rycerzy z siodła, a jeden został na placu, przeszty nawskroś.

Za dowód wysokiej zręczności współzawodników uważano, jeżeli na turnieju nikt nie został tknięty. Takie bezkrwawe gonitwy odbyły się w czasie zaślubin Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką Anną. Rycerze wówczas uzbrojeni byli tylko w kopie i tarcze, a lubo o tarcze skruszono wiele kopii, nikt jednak nie był raniony.

Zwycięzcą na gonitwach bywał najczęściej dzielny rycerz, który i na wojnie odznaczał się nie mniej mężnie i umiejętnie.

Na gonitwach, urządzanych przez Krzyżaków w Toruniu w r. 1404, odznaczył się szczególnie Dobek z Oleśnicy, któremu nikt nie mógł sprostać: zwyciężywszy wszystkich, do nocy pozostał on w szrankach, nadaremnie wyczekując, czy się nie znajdzie rycerz, któryby pomścił wysadzonych przezeń z siodła Krzyżaków! W kilka lat później ten

sam Dobek nie mniej dzielnie odznaczył się harcami pod Grunwaldem.

Oprócz gonienia na ostre lub zwykłego potykania się, rycerstwo polskie uprawiało i inne igrzyska, będące już więcej popisem zręczności jeźdźca i rączności konia. Były one nawet pospolitsze od właściwych turniejów, których zresztą stanowiły zwykłe część składową, urządzano je bowiem we wszystkich dworach i dworkach szlacheckich tem chętniej, że wymagały znacznie mniej przygotowań.

Do takich rozrywek należały wyścigi czyli «bieganie w zawód», którym ze szczególnym zapalem oddawała się młodzież. A za zaszczytne uważano na wyścigach nie tylko pierwsze miejsce, ale i drugie, jak powiada Górnicki: «I u zawodu kto nie może być pierwszym, wiele ma przed trzecim, gdy wtórym przybieży».

Oprócz «biegania w zawód» popisywano się jeszcze na takich zabawach różnemi sztukami zręczności jak skakanie przez przeszkody, przeskakiwanie w biegu z jednego konia na drugiego, gra w piłkę z konia i t. p. Do ulubionych zaś igrzysk należała gra w pierścień.

Przy grze tej rycerze musieli w całym pędzie konia nadziać na kopię pierścienia, zawieszony na sznurze. Nie wolno było przytem przenieść kopią ponad pierścieniem, dotknąć nią ziemi albo złamać ją. Takie objawy niezręczności zmuszały do opuszczenia szranków, a przynajmniej do zaczynania gry na nowo. Na to samo narażał się ten, komu w szalonym pędzie noga wypadła ze strzemia, albo hełm spadł

z głowy. Współzawodnicy biegali kilka razy do pierścienia, a zwycięzcą zostawał ten, kto go nadziewał największą ilość razy i najzręczniejsz.

W igrzyskach konnych brały nieraz udział i kobiety, które w owych czasach musiały często z konieczności posiadać sztukę konnej jazdy. To też i dla nich igrzyska wojenne miały nie mniejszy urok, niż dla mężczyzn. Ogół niewiast ograniczał się wprowadzie do przyglądania się popisom rycerskim, zdarzało się jednak od czasu do czasu, że i kobiety brały w nich udział.

W r. 1719 zasłynęła na całą Europę 18-letnia Helena Ogińska, wojewodzianka wileńska, która popisywała się na «karuzelu» urządzonym przez młode damy w Dreźnie podczas wesela królewicza Fryderyka Augusta. Wykonała ona wszystkie konne sztuki rycerskie z taką doskonałością, że otrzymała zapowiedzianą nagrodę i zyskała sławę w całej Europie. Panna ta przytem odznaczała się taką siłą, że w zapasach ręcznych nie każdy mężczyzna mógł jej podołać.

Karuzel zresztą nie był już właściwie rycerskim popisem w całym znaczeniu tego wyrazu jak turnieje; było to raczej współubieganie się w zręczności, zbliżone wielce do dzisiejszych występów cyrkowych. Na karuzelach popisywały się zwykle także konie tańczące, klękające oraz wykonywujące inne podobne sztuki.

Ostatnie okazałe turnieje odbywały się w Polsce za Zygmunta III, a od czasów Jana Sobieskiego wogóle igrzyska rycerskie zaczęły wychodzić z użycia,



ustępując miejsca bardziej karuzelom, a następnie cyrkom. «Wszystko się mieni z mieniącymi czasy» powiada Jan Kochanowski: przeszedł do przeszłości rycerz średniowieczny, a wraz z nim znikły i ówczesne igrzyska wojenne.

### VIII. Sprawność jazdy i koni.

Któż prawnuce serce zmierzy  
Z wielką piersią tych rycerzy,  
Grzmiących w blasku,  
W zgiełku, trzasku,  
Jako orłów ród?..  
Kto dziś zdzierzy takie boje?  
Taką sławę, takie zbroje?  
Drzewce stare,  
Żywą wiarę?  
Kto dziś stworzy cud?

*(Konopnicka. Grunwald).*

Wieki średnie, do których stosują się te słowa poetki, były wiekami bojów rycerzy, zakutych w stal, wiekami, kiedy ciężka jazda rozstrzygała o zwycięstwie. Wielki, rosły koń i olbrzymi rycerz — królowali wtedy nad światem.

Ale powoli zmieniał się charakter bojów; na scenę zaczęła wchodzić broń palna i rażenie z niej przeciwnika pociskami z odległości. Jazda z ciężkiej musiała stawać się lżejszą, żeby zwinniej atakować i zwinniej usuwać się przed strzałami; jeźdźcy zaczęli

dosiadać koni mniej rosłych i mniej ciężkich, ale zato lotniejszych. Piechota i artylerya wysuwały się coraz bardziej na czoło. Dużo atoli jeszcze czasu upłynęło, zanim piechota zaćmiła zupełnie jazdę i zepchnęła ją na drugi plan, do roli drugorzędnej, jaką ona odgrywa w dzisiejszych wojnach.

U nas przez cały ciąg dziejów, wyjąwszy samego początku, jazda stanowiła główną podstawę armii, odpowiednio do jeździeckiego ducha narodu: jej Polacy zawdzięczali swe zwycięstwa, ona roznosiła po Europie sławę naszych wojowników, którzy przeważnie na koniach bili wrogów, na koniach odbywali wyprawy wojenne.

Piechota cieszyła się mniejszą sławą: «polska piechota—lichota», powiada dawne przysłowie. Nie można jednak powiedzieć, aby miało ono zupełną słuszność, bo i w dziejach piechoty znajdzie się mnóstwo sławnych czynów, od najdawniejszych czasów poczynając. A ważne jej znaczenie podaje inne przysłowie: «kto bez piechoty wojuje, ten czatuje, nie wojuje».

W początkowych okresach naszej historyi wojsko walczyło przeważnie pieszo, bo w kraju tak zarosłym lasami i puszciami, jak dawna Polska, jazda nie mogła poruszać się swobodnie i z konieczności trzeba było walczyć głównie pieszo. Wedle świadectwa kronikarza Dytmara wojsko Bolesława Chrobrego składało się przeważnie z piechoty, chociaż obok niej król ten posiadał już i dzielną jazdę.

Ale w miarę trzebienia lasów, przecinania dróg i gościńców, jazda zyskiwała coraz szersze pole dzia-

łania, zaczęła brać przewagę nad piechotą i wkrótce stała się główną siłą wojsk, rozstrzygającą zwykle o zwycięstwie.

W świetnej bitwie pod Grunwaldem, w której tak się odznaczyło rycerstwo konne, brały także udział zastępy piesze, złożone z kmieci, uzbrojonych w rohatyny, oszczepy i kosy, osadzone sztorcem na drągach. Walczyli oni nie mniej dzielnie od jezdnych i nie mało przyczynili się do zwycięstwa.

Odznaczała się następnie piechota w niejednej potrzebie, ale wogóle przy ówczesnym sposobie wojowania była mniej liczną od jazdy, więc też i mniej wawrzynów zdobywała w bitwach.

Dopiero od Batorego zwiększała się ilość piechoty w wojsku. W wieku XVII ilości obu tych rodzajów broni stają się prawie równe, a od początku XVIII w. piechota zaczyna liczebnie przeważać nad jazdą.

W końcu zaś tego stulecia i w następnym zasłynęła ona wielu bohaterskimi czynami, nie ustępując nic a nic jeździe w dzielności i równie mężnie walcząc, czy to karabinem czy kosą. Raclawice, Raszyn, Grochów, Dęby, Iganie, Ostrołęka, Wola — w kraju, równiny Lombardyi, Saragossa, Eylau, Jena i tyle innych miejscowości zagranicą rozniosły daleko sławę polskiej piechoty i jej męstwa. Szczególnie zaś zasłynął jako jeden z najwaleczniejszych czwarty pułk Królestwa Kongresowego, zwany pospolicie czwartakami. Za najlepszą miarę uznania może służyć to, że nawet obcy poeci, jak Niemiec Juliusz, Mozen pisali pieśni na jego cześć, sławiąc męstwo, zaparcie się i dzielność czwartaków.

Wiadoma światu ta sławna Olszyna,  
Gdzie twardym murem nieprzyjacieli stał,  
Paszez tysiące ziele, rzeź się krwawa wszczyną,  
Już mur zwalony, nie padł ani strzał!  
Okropny postrach padł na tłum rozżarty,  
Spokojnie wrócił do Pragi pułk czwarty.

Jednakże prawie do ostatnich czasów piechota składała się wyłącznie z włościan i mieszczan, szlachta zżyta od dziecka z koniem, nie lubiła tej broni i służby, ciągnęła zawsze do rumaka i uważała nawet za pewne poniżenie służyć pieszo, bez konia: «pić samemu, bić się na piechotę i gawędzić stojący — rzecz nie szlachecka». Do ostatnich też prawie czasów przechowało się pojęcie z wieków rycerskich, że prawy rycerz na koniu tylko walczyć może, a najważniejszą dlań bronią szabla i kopia, która z czasem przekształciła się w lżejszą lancę.

Taki wojak kochał swego konia, ale nieraz jeszcze więcej szczyił się szablą rodzinną, bo na koniu on sam tylko walczył, a szablę wślawili ojcowie i dziadowie i prawem spadku przechodziła ona z ojca na syna. Wręczając ją młodzieńcowi, idącemu na wojnę, ojciec przypominał sławne wyprawy, w jakich się ten oręż rodzinny odznaczył i zachęcał go, aby nietylko nie splamił dziedzicznej broni, lecz sam jeszcze dorzucił nowy listek do jej sławy. Nieraz na samej szabli umieszczano wspomnienie zwycięskich bitew, w których uczestniczył jej właściciel.

Pocięłam szyszak na komtura czole,  
A brałam hanów tatarskich w niewolę,  
Zna mię Szwed i Bisurman, grożnam przy Buczynie,  
Za morzem i pod Wiedniem krzywa szabla słyńie.

Zamiłowanie w nacieraniu kopią znalazło swój oddźwięk w świetnych czynach wojennych ułanów i w ogólnym zapale, jaki okazywano, do służenia w tej właśnie broni.

    Nie masz pana nad ułana,  
    A nad lancę nie masz broni.

Żołnierz tak się zżywał z swym koniem i orężem, że nawet po wyjściu z wojska marzył i śnił jeszcze o nich. Stary wojak nie może spać spokojnie w izbie w której go ulokowano, bo «w niej okna są na drogę», którą «często poczta jedzie». Gdy zaś usłyszy w nocy trąbkę pocztową, to mu się zaraz przypomina dawna wojenka i zdaje mu się, że trąbią do koni. A potem już nie może zasnąć, bo choć

    Oczy zamknę: to się marzy  
    Nasze konie, chorągiewki,  
    Ognie nocne, krzyki straży  
    I wiarusów naszych śpiewki.

Stary dziaduś, co to dobry kawał życia spędził na wojaczce z Napoleonem, z lubością do końca życia wspominał zawsze te czasy:

    Hej! minęły tamte lata,  
    Ani wiatrem ich dogoni!  
    Kiedy parską koń bojowy,  
    Kiedy szabla lśniła w dłoni!  
    Hej! chadzało się, chadzało  
    Po szerokim bożym świecie!  
    W dzień na koniu, z szablą w garści,  
    A zaś nocą na laweciel!

Słowem, czy sięgniemy do dawniejszych czasów, czy zatrzymamy się na późniejszych, zawsze znaj-

dziemy to samo zamiłowanie do konia, szabli i lancy. I słusznie zupełnie, jazda bowiem stanowiła przez całe wieki główne jądro naszego wojska, a koń, szabla i lanca — podstawę jazdy. A że wojować wypadło dużo, więc i wojna stawała się drugą naturą.

Bo z charakteru swego Polacy [nigdy nie byli ludem zaborczym, wojny prowadzili prawie wyłącznie w obronie kraju swego, o cudzą ziemię rzadko się kusili. Cecha ta odbija się wyraźnie w ogromnej ilości przysłów, z których widać ogromne zamiłowanie pokoju i chęć wojowania jedynie dlatego, aby nieprzyjaciel sąsiad nie zakłócił właśnie tego pokoju.

«Dla pokoju tę broń noszę, o który Cię, Boże, proszę». «Daj, Boże, dobrą broń miec, a nigdy jej nie używać». «Lepsza trocha w pokoju, niż na wojnie wiele». Rozumieli jednak, że dla pewności, należy być zawsze gotowym stanąć w obronie tego pokoju, jak to wymienił Rej:

To jest namędrszy, co jeszcze w pokoju  
Rozmyśla, co ma przyspać w przyszłym boju.

Poetka (Żmichowska) słusznie powiada o Polakach, że to jest lud,

Który nigdy hufcami zbrojnemi  
Obcej, dla marnych łupów nie najeżdżał ziemi.

Ale kraj taki, jak Polska, otwarty ze wschodu i zachodu, z konieczności był wystawiony na najazdy nieprzyjaciół, mieszkańcy jego ciągle musieli żyć w wojnach: tu Krzyżacy, tam Tatarzy i Turcy — nie dawali spokoju i przyczynili się do rozwinięcia tej



Rycerstwo polskie odbija jeńców Tatarom r. 1497.

Juliusz Kossak,

wojowniczości, z której Polacy słynęli przez szereg wieków. Lud z natury spokojny i łagodny, całe życie spędzał na koniu z bronią w ręku i stał się wzorem męstwa i odwagi, wslawił się szeregiem zwycięstw, chroniących nie tylko Polskę, ale i całą Europę przed nawałą tatarską i turecką.

Te zasługi Polaków pięknie wyraziła Żmichowska w hymnie do Ś-tej Cecylii:

    Za ludem, który całą swą powieść dziejową  
    Ułożył w jedną krwawą wyprawę krzyżową,  
    I nie Grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary  
    Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatary;  
    Za ludem — Europy tarczą i podporą,  
    Co ginął pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,  
    Pod Chocimem i Wiedniem, aż księżyc dwurogi  
    Na zdeptanie dał Pannie Maryi pod nogi;  
    Za ludem czujnej straży od plagi pogańskiej,  
    Za ludem poświęcenia i służby kapłańskiej —  
    W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,  
    Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy.

Ale gdy odpędzono nieprzyjaciela od granicy, nie sięgano po jego dziedzinę. «Nieprzyjaciołom idącym w odwroty pobudujże most i do tego złoty». Walczono niekiedy na jego ziemi, ale taka walka miała zawsze na celu jedynie większe zabezpieczenie własnego kraju. Wszystkie nasze sławne zwycięstwa, jak Grunwald, Psie Pole, Płowce, Wiedeń i inne — były zawsze walkami obronnymi.

W walkach tych zasłynęła przede wszystkim jazda, ona bowiem, jak powiada Konstanty Górski, autor «Historii jazdy polskiej» — była główną i zasadniczą bronią w wojsku polskim; jej krwią i mę-



stwem zdobyte są wszystkie prawie zwycięstwa Polaków w dawnych wiekach. A i potem jakich-że świetnych jej czynów dzieje nam nie podają? Rozbijała ona szeregi nieprzyjaciół w otwartym polu, oblegała lub atakowała twierdze, albo też ich broniła, przepływała wpływ rzeki, a co najważniejsza, umiała nietylko dotrzymać placu znacznie silniejszemu i liczniejszemu wrogowi, ale nawet zgnieść go i zwyciężyć:

Czy ich wiele, czy ich mało,  
A nam-że do tego co?  
Nam dość że nic nie zostało.  
Policzą ich, jeśli chcą.

Zdumiewające są niektóre zwycięstwa, jeśli się porówna ilość polskiej jazdy i liczbę wrogów, których ona zniosła: Chodkiewicz pod Chocimem miał tylko 18,000 żołnierza; pod Kircholmem w 3,600 zwyciężył 14,000 Szwedów; Sobieski ocalił Wiedeń w 60,000 ludzi, rozbijając nimi całą potęgę Muzułmanów, a główną rolę odegrała przy tem jazda. Ona też pod Czarnieckim tylokrotnie gromiła Szwedów. Czarniecki «nie liczby Szwedów, ale, gdzie są? pytał». A zdumiewał zawsze i wszędzie nadwyzczajną rącością swych marszów i zjawiań się:

Z rycerstwem pod znaki zebranem,  
Szybkiej błyskawicy lotem  
Tu Szwedów schodzi i gromi nad Sanem,  
Owdzie niespodzianym zwrotem  
Rzuca się z koniem wpływ, rzekę przebywa.  
Uderza, pole trupami pokrywa.

Taką sławą cieszyła się jazda polska w kraju wkrótce jednak stała się głośna i za granicą.

Gdy król duński sprzymierzeniec polski, napadnięty przez Szwedów, zażądał posiłków, Jan Kazimierz posłał mu Czarnieckiego, który w tej wyprawie aż za morze zaniósł sławę polskiej jazdy i polskiego oręża.

Zaniósł Czarniecki w pamiętnej wyprawie  
W obcą ziemię Polski chwałę,  
Przez wały morskie, na wątpliwej nawie  
Prowadzi szyki zuchwałę:  
Dziwią się ludy, jak odwaga męża  
I nieprzyjaciół i burze zwycięża.

Jedną z wielkich zalet jazdy polskiej była nadzwyczajna umiejętność przebywania w pław rzek, w czem nie miała zasługa należy się koniom, od samego początku umiejętnie i starannie ćwiczonym w tej sztuce. Dzięki tej umiejętności rzeka nie stanowiła prawie nigdy przeszkody dla jazdy i wojsko bardzo często zjawiało się zupełnie nagle tam, gdzie nikt się go ani spodziewał.

W razie potrzeby rzucano się nawet w morze z taką samą śmiałością, jak w rzeki. Stało się tak mianowicie w czasie słynnej wyprawy Czarnieckiego do Danii, gdy chodziło o zdobycie wyspy Alsen. Opis tej przeprawy w pław przez morze pozostawił nam jej uczestnik, Jan Chryzostom Pasek w swych «Pamiętnikach».

«Było pływać, jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku tej odnogi było miejsce takie, gdzie koń

zgruntował i mógł odpocząć, bo było takiego miejsca z pół staja<sup>1)</sup>). Sam tedy wojewoda (Czarniecki), przeżegnawszy się, wprzód w wodę; pułki za nim, których jeno 3 było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknawszy pistolety, a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przy płynął na środek, stanął i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania próbowane; który źle pływał, to go między dwu dobrych mieszano, nie dając mu tonąć.

«Żadna chorągiew nie była jeszcze u ładu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi, widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zmokła, ale strzela i zabija — w nogi. Powiadali później więźniowie: rozumieliśmy na was, żeście dyabli, nie ludzie».

Czasami przeprawa przez rzeki bywała trudniejsza jeszcze i niebezpieczniejsza, niż atak wplaw na wyspę Alsen przez morze. Ten-że sam Pasek opowiada o takiej przeprawie w parę lat później przez rzekę Drucz, wpadającą do Dniepru.

Rzecz niecierpiała zwłoki, bo z tamtej strony rzeki nieprzyjaciel uderzył na wojsko i trzeba było na gwałt dostarczyć posiłków, mosty były zniesione, a «rzeka wprawdzie nie szeroka, ale dwoma nurta-  
mi idzie, dwa razy zatem pływać trzeba, jak po pół stajania, głęboko i bystro, a zabieżysto zaraz jak z pieca.

---

1) Staje, stajanie — koło 200 kroków.

«Wojewoda rzekł: Mości panowie! rzecz niecierpi zwłoki: mostów tu budować nie masz czasu, słyszy-cie strzelanie. Przeplýwaliśmy morze, i tu trzeba, Pana Boga wzięwszy na pomoc. Za mną! pistolety, ładownice za kolnierz!»

Sam tedy wojewoda wprzód skoczył z brzegu i zaraz koń spłynął, bo rzeka była bardzo głęboka. Przeplýnął więc i stanął na drugim brzegu, a cho-rągwie jedna za drugą plýną cicho, ponieważ do tego miejsca, gdzie się bili, nie było ledwie z piętnaście stajów, tylko że lasem, przeto i nie mogli nas wi-dzieć.

«Nie każdy koń jednakowo plýwa: jeden się bar-dziej suwa, drugi nie tak. Nasz pierwszy towarzysz Drozdowski miał konia, co go był nieświadom; a on plýwał jakoś dziwnie na bok. Skoro tedy tak uczy-nił, zaraz go woda zniosła z konia i począł tonąć, konia puściwszy. Jam go uchwycił za ramię, drugi towarzysz z drugiej strony i takeśmy go między sobą plawili. Skorośmy go wynieśli, aż mówi wo-jewoda: «Macie szczęście, panie bracie, bo są tu wielkie ryby i połknąłby was był szczupak całkiem z pancerzem» (na to przymawiając, że to był chło-pak małego wzrostu).

W przeprawach takich znaczyła tyleż samo zim-na krew i odwaga jeźdźców, co i umiejętność koni, która pozwalała odważać się na taką zuchwałą próbę. Ale polski wojownik znał swego rumaka, wiernego towarzysza bojów i wypraw wojennych i wiedział, że może na nim polegać w takich razach. Nie mała zasługa przypada w udziale koniom naszej jazdy, że

Czarniecki, mąż nieustraszony,  
Wszędzie jak piorun błyskał i uderzał,  
Ni męstwu jego ocean zburzony  
Kresu zamierzał.

Do takich przepraw trzeba było wprawić i konia i jeźdźca, inaczej bowiem mogły się one skończyć nie wesoło. Oto jak opowiada pierwszą nie zupełnie fortuną próbę przeprawy przez Dniepr młody żołnierz, który świeżo był się zaciągnął pod chorągiew Mohorta.

Chorągiew wyruszyła na objazd kresów i ciągnęła wolno po stepie. Młody żołnierz, nie obeznany jeszcze dobrze z subordynacją wojskową, odjechał jakoś w bok i zaczął harcować, co koń skoczy, przez kłody i łodzie, leżące tuż nad brzegiem Dniepru.

Nie podobało się to Mohortowi; nie chciał go jednak karać, ale postanowił dać mu nauczkę i krzyknął:

«Będzie tego, będzie!

A jakiż junak! jaki rycerz srogil  
Ot, z pozwoleniem... Ot, powiem ja waci,  
Nie wielka sprawa, że szkapa ma nogil  
Kto chce być dzielnym, niechaj sobą płacil  
A gdy się stawisz do skoków ochoczym,  
To dla junaków są tu inne skoki:  
Kłody wysokie, a Dniepr nie wysoki,  
Więc proszę za mną—na tamten brzeg skoczym!»  
I puścił konia—koń był dzielny, śmiały...  
Spłynął, a płynie, że widno grzbiet cały.

Młody żołnierz skoczył za swym porucznikiem, chociaż istotnie nigdy nie próbował tej sztuki. Mogła też ona była skończyć się dla niego smutnie, bo

ani koń jego, ani on sam nie byli wyćwiczeni w przepływaniu rzek:

Z razu pół biedy—lecz gdy w środku rzeki  
Przed się spojrzalem, a tu brzeg daleki,  
A woda zniosła, a strach mię opłynął,  
To byłbym może wówczas tam i zginął.

Ale mój Mohort, jak na szpaku bryźnie,  
Jak mnie nie poprze swoim koniem z boku,  
Jak nie pochwyci, to już w jednym skoku  
Wyrwany z toni, stałem na mieliźnie.

Wir nie szeroki, lecz był bardzo rwący,  
Dalej nie było koniom, jak do brzucha.  
«A co, powiada, a gdzieś podział zucha?  
Kipi Dniepr, bratku, chociaż nie gorący».

Że do przepływania rzek potrzeba było posiadać odpowiednio wyćwiczone konie, widać najlepiej z tego, że gdy ksiązę Józef Poniatowski, odwiedziwszy pewnego razu chorągwie kresowe, chciał się przeprawić konno przez Dniepr do Perejasławia na jarmark, musiał się przesiąść na konia kozackiego, bo jego nie «chodził» jeszcze przez Dniepr i z tego powodu nie był bezpieczny do takiej przeprawy.

Polscy jeźdźce cenili tę umiejętność w koniach, wiedzieli, jak nieocenione usługi może ona oddać w czasie wojny, ćwiczyli też w niej starannie konie i dlatego jazda nie potrzebowała nigdy stawać bezradnie przed wartką a głęboką wodą, bo ona nie stanowiła zapory dla jej dzielnych koni.

Zdarzały się, naturalnie, smutne wypadki przy takich przeprawach, a już szczególnie pamiętna jest śmierć księcia Józefa w nurtach Elstery, po nieszczę-

śliwej bitwie pod Lipskiem. Bitwa była już przegrana, księżę Józef z jazdą polską osłaniał jak zwykle mężnie odwrót armii francuskiej i już gotował się do przeprawy przez most, spełniwszy swą powinność, gdy wtem most, zawcześnie zapalony przez cofające się wojska, zawalił się i odwrót naszym został odcięty. Trzeba było albo się poddać, albo próbować przeprawy wplaw. Wódz nie chciał składać broni, wybrał więc to drugie:

Księżę Józef w nurty spojrział,  
W bok rumaka wbił ostrogę —  
Bóg mi honor dał Polaków,  
Bogu tylko zdać go mogę.

Ściągnął uzdę, szablą błysnął,  
Wzniósł ku niebu modre oczy.  
— Za mną, wiara moja! — krzyknie  
I w spienione nurty skoczy!

Poniosły go wody sine,  
W głąb śmiertelną go poniosły,  
A gdzie zginął nasz bohater,  
Smutne wierzby tam wyrosły.

Przeprawa więc zakończyła się tym razem bardzo nieszczęśliwie. Nie koń jednak był temu winien, ale rany i osłabienie księcia, który nie mógł należycie kierować wierzchowcem, ani utrzymać się na nim, gdy go fala zaczęła unosić. Zsunął się więc z niego i utonął, nie zhańbił się jednak poddaniem się, do ostatniej chwili i możności sumiennie spełniwszy obowiązek wodza.

Duchem czystym — na błękitów progu  
Stanął, by swój ostatni raport złożyć Bogu.

## IX. Skład i ustrój jazdy.

Początkowo jazda polska składała się wyłącznie z pospolitego ruszenia, które król zwoływał przez rozesłanie tak zwanych wici. Wici czyli wiechy osadzone na kijach sięgały początkiem tych czasów, kiedy ludzie mało byli jeszcze obeznani ze sztuką pisarską i kiedy uciekano się powszechnie do takich umówionych znaków. Później pozostała tylko nazwa wici, w rzeczywistości zaś rozsyłano listy z pieczęcią królewską, nakazujące stawić się do pospolitego ruszenia wszystkim, którzy byli obowiązani do tego.

Wici takie rozsyłano jedynie w razie wojny. Obowiązani zaś byli stawić się wszyscy, którzy należeli do stanu szlacheckiego, czy wielcy panowie, czy drobna szlachta, własnymi rękami uprawiająca zagon. Dawną staropolską zasadą było, że «każdy kto ziemię miał, ten bronić orężem ojczyzny musiał». Ktoby się zaś nie stawił, ten «ma być karany na życiu, dobrach i uważany, jakoby się sam zrzekł dobrej czci i wiary». Jeżeli zaś nie stawił się z powodu różnych przyczyn, jak wiek podeszły, ciężka choroba, przebywanie zagranicą dla nauki i t. p. musiał dać za siebie zastępcę. Uboga szlachta zagonowa, jakiej pełno było na Mazowszu i Podlasiu, wysyłała po jednym konnym wojowniku z każdych 10 łanów; a z kilku braci, własnoręcznie uprawiających rolę, tylko jeden szedł na wojnę.

Stawiać się do pospolitego ruszenia musiała nie tylko szlachta, ale i duchowni, ci, naturalnie, przez za-



stępców, posyłając z dóbr swoich jeźdźca zbrojnego. Musieli wystawiać oddziały wojskowe i mieszczanie.

Gdy weźmiemy pod uwagę, że szlachta, ciągnąca do pospolitego ruszenia, zabierała ze sobą czeladź, złożoną przeważnie z włościan, którzy wyruszali również konno i walczyli tak samo, jak i ich panowie, to musimy przyznać, że jazda nasza nie składała się wyłącznie ze szlachty. Szlachta stanowiła wprawdzie jej czoło, szlachta szła zawsze w pierwszych szeregach, ale i przedstawiciele innych stanów godnie dotrzymywali jej towarzystwa i na nich spada część zasług i wawrzynów tej jazdy.

Każdy, należący do pospolitego ruszenia, obowiązany był stawić się konno i w pełnym rynsztunku w stolicy swojej ziemi, gdzie gromadziła się jego «chorągiew», aby następnie wyruszyć z nią, dokąd nakazywały «wici». Różne tam bywały konie i rozmaite uzbrojenie: obok wielkich panów na świetnych rumakach i w błyszczących zbrojach ścigała tam chodackowa szlachta na niebardzo tęgich koniach i tak zwani albertusi, to jest zakrystyani i organiści, przysyłani w zastępstwie duchownych, a siedzący na rozmaitego rodzaju wywłokach.

Pospolite ruszenie przez długi czas stanowiło podstawę polskiej jazdy i polskiego wojska w ogóle i dopóki w narodzie panował hart i duch bohaterski, było ono dostateczne do odpierania najazdów nieprzyjaciół i do odnoszenia zwycięstw nad nimi. Najpiękniejsze czasy jego przypadają na koniec XIV i początek XV wieku, na czasy bitwy Grunwaldzkiej.

«Bitwa pod Grunwaldem — powiada Konstanty Górski, autor «Historyi jazdy polskiej» — była szczytem rozwoju pospolitego ruszenia i rozkwitem ducha bohaterskiego w całej masie polskiej szlachty». W bitwie tej zwyciężyło ono czoło rycerstwa całej zachodniej Europy, zebrane pod chorągwiami Krzyżaków, a już to jedno wystawia najlepsze świadectwo jego męstwu i wyćwiczeniu bojowemu. Jazda polska, złożona przeważnie z pospolitego ruszenia, zyskała tam prawo do europejskiej sławy, na którą zresztą zasłużyła była sobie jeszcze dawniej niejednym zwycięstwem nad Niemcami, niejednym odparciem hord tatarskich. Ale tamto były tryumfy raczej miejscowe, to dopiero rozniosło jej sławę daleko.

O rozmiarach zwycięstwa daje nam pojęcie «Pieśń o pruskiej porażce, która się stała za króla Władysława Jagiełła; roku 1510 napisana», ułożona przez poetę, niewiadomego z nazwiska, w setną rocznicę tej bitwy:

Pięćdziesiąt tysięcy na placu  
Zostało ich nie bez placzu,  
A czterdzieści poimano,  
A tak jako trzodę gnano.

Pod Grunwaldem walczyły i wojska najemne, główna jednak zasługa zwycięstwa, główna chwała przypada hufcom krajowym, jak to pięknie wypowiada poetka:

Pręcz z drużyną stąd słuźalczą!  
Nieśmiertelni tutaj walczą;  
W szczęku, w pyle  
Na tę chwilę  
Kładą pieczęć lwiał!

Las zielony patrzy zdala,  
Jak ta burza się przewala;  
W krwi i dymie  
Wielkie imię  
Dzień ten daje mu!

Chociaż atoli pospolite ruszenie wślawiło się tak świetnie pod Grunwaldem i zdobyło sobie nie jedną piękną kartę w dziejach, nie mogło jednak stanowić ono zupełnie pewnej i zupełnie dogodnej obrony kraju.

Przedewszystkiem król mógł je zwoływać tylko za zgodą sejmu, nigdy więc to zwołanie nie mogło odbyć się zbyt szybko. Następnie nie wolno go było w żadnym razie używać po za granicami kraju. Zastrzeżenie takie odpowiadało w zupełności duchowi narodu, który nigdy nie pragnął zaborów i nie prowadził wojen zdobywczych, ale było za to wielce niedogodne i paraliżujące, jeśli z toku wojny zaszła potrzeba przenieść ją na ziemię najeźdźcy, aby w ten sposób zgromić go doszczętnie. Pospolite ruszenie mogło w takich razach odmówić posłuszeństwa hetmanowi, a przez to narazić kraj na stratę korzyści, jakie mu dawało odniesione zwycięstwo, a czasami ściągnąć nań klęskę nawet, jeżeli nieprzyjaciel nie rozbity doszczętnie wzmocnił się i napadł powtórnie.

Dalej w miarę tego, jak wszędzie w sąsiednich krajach wchodziło coraz bardziej w użycie trzymanie stałych wojsk, pospolite ruszenie nie mogło im dorównać w wyćwiczeniu, karności i wprawie wojennej.

Wszystkie te powody zmusiły Polaków do zaprowadzenia u siebie stałych wojsk, których nie roz-

puszczano nawet w czasie pokoju, a które zawsze były gotowe do wyruszenia w pole przeciwko nieprzyjacielowi.

Za najdawniejszy początek takich wojsk stałych można uważać chorągwie nadworne królewskie i możnych panów, złożone z ochotników zwerbowanych do nich, albo też z podwładnych magnata. Chorągwie takie spotykamy również od najdawniejszych czasów; pod Grunwaldem walczyło 22 chorągwie, wystawione kosztem 22 panów, a złożone każda z 200 kopii czyli 200 rycerzy jezdnych z kopiami i 800 pieszków z łukami lub kuszami.

Takie jednak chorągwie stanowiły bądź co bądź prywatną własność i magnat, który je wystawiał, mógł ich używać zarówno do obrony kraju, jak i do własnych osobistych celów, często nawet ze szkodą dla ojczyzny.

Na dworskich więc chorągwiach nie można było opierać losów kraju. Trzeba było stworzyć wojsko, któreby nie zależało od ludzi prywatnych, lecz pozostawało na żołdzie kraju i było przeznaczone wyłącznie do jego obrony. W ten sposób powstały chorągwie zaciężne, złożone z wojowników, którzy się dobrowolnie zaciągali do nich i za umówioną zapłatę, zwaną żołdem, zobowiązywali się służyć w nich i być zawsze gotowymi do wojny i obrony. Wojsko takie zwano także kwarcianem, bo utrzymywano je z czwartej części (po łacinie «*quarta pars*») dochodów z królewszczyzn.

Wojska zaciężne werbowano w części zagranicą, w części zaś w kraju i odpowiednio do tego odróż-

niano pułki cudzoziemskie i krajowe. Najemne pułki cudzoziemskie występują już w bitwie pod Grunwaldem, krajowe zaczęto formować również w owych czasach. Ale że dochody, przeznaczone na wojsko zaciężne, nie były znaczne, więc też i liczba wojsk stałych bywała zawsze bardzo mała.

W wieku XVII przed samym wybuchem wojen Chmielnickiego, wojsko kwarciane na kresach wschodnich liczyło zaledwie 3,000 jazdy i około 300 piechoty. Nic też dziwnego, że Chmielnicki, uderzając na czele wielkich tłumów, mógł je zwyciężyć pod Żółtymi Wodami i pod Korsuniem.

Ten brak wojsk stałych zaczął się dawać we znaki szczególnie wtedy, gdy szlachta, zniewieścawszy i ociężawszy, nie umiała już znosić trudów obozowych w pospolitem ruszeniu, ani stawić mężnie czoła wrogowi. Wiek XVII dostarcza pod tym względem niejednego przykładu.

Skarży się na to Pasek, który sam był towarzyszem stałej chorągwi, a więc wytrawnym i wyćwiczonym żołnierzem. Posłano go pewnego razu na czele kilkunastu szlachty z pospolitego ruszenia na podjazd w celu zdobycia wiadomości o Tatarach. Ale cóż z tego, gdy ci chwilowi żołnierze, na pierwszą wieść, zasięgniętą od spotkanego chłopca, że Tatarzy są blisko, tak się poprzestraszali, iż za nic nie chcieli iść naprzód, sprawdzić tę wiadomość i przekonać się, ilu było nieprzyjaciół. Pasek musiał wrócić do obozu, nic nie wskórawszy i zarzekł się na drugi raz brać komendę nad takimi żołnierzami.

«Wolałbym był świnie paść przez ten czas—powiada—póki się podjazd nie powróci, niż nad takimi ludźmi mieć komendę».

Dziwnie wygląda ta opowieść z czasów, kiedy jazda polska pod Wiedniem zniosła potęgę turecką, ale po pierwsze nie cała szlachta była tak zniewieściała, jak ci tchórzliwi podkomendni Paska, a powtóre istniały nieliczne wprawdzie, ale świetne wojska krajowe zaciężne.

Takie chorągwie zaciężne zaczęto tworzyć w wieku XV, wzorując się zupełnie na ustroju rycerstwa: stały się też one spadkobiercami jego męstwa i jego czynów.

Formowanie takich wojsk zaciężnych odbywało się w ten sposób, że mianowany przez króla rotmistrz zobowiązywał się dostawić mu tak zwaną «rotę» czyli «chorągiew», która miała pozostawać pod jego dowództwem, a składać się ze 100 — 300 koni i jeźdźców. Warunki terminu służby roty oraz żołd były przy umowie ściśle określone.

Na uformowanie chorągwi rotmistrz otrzymywał od króla «list przepowiedni» i z nim udawał się w podróż po kraju, wyszukując między szlachtą «towarzyszy», którzy zobowiązywali się służyć w rocie, każdy ze swym pocztem czyli czeladzią. Poczt składał się z jednego lub kilku pocztowych, czyli szeregowców, którzy obowiązani byli stawać do boju wraz z towarzyszami, ale nie byli werbowani ze szlachty, oraz z luzaków czyli ciurów, przeznaczonych do osobistej posługi towarzysza, do opatrywania koni i wozów.



Chorągiew pancerna.

<http://rcin.org.pl>

Wojciech Kossak.

Towarzysz stawał o własnym koszcie wraz z całym swoim pocztem, ale wzamian za to dostawał od Rzeczypospolitej umówiony żołd. Przy zwykłym poczcie towarzysz miał tylko jednego pocztowego, przy sowitym—kilku, a nawet kilkunastu.

Chorągwie liczyły najczęściej po 100 ludzi, z tego zazwyczaj 20 przypadalo na towarzyszy, a 80 było pocztowych. Przy występowaniu do boju, pierwszy szereg, najdzielniejszy, stanowili towarzysze, za nimi szli pocztowi, uszykowani w 4, 3, 2, albo tylko w jeden rząd, zależnie od tego, ilu ich było w stosunku do towarzyszy. To był właściwy hufiec bojowy. Za pocztowymi postępował luzacy, z zapasowymi końmi dla towarzyszy. W samym boju nie brali oni udziału, co najwyżej w dobijaniu i ograbianiu nieprzyjaciela, idącego w rozsypkę. Za to posyłano ich często na zdobywanie furazu (żywności) i stąd otrzymali mniej zaszczytny przydomek: łapikurów. Do tego rodzaju czynności stosuje się znany napis nagrobkowy dla poległego ciury:

Ciura leży w tym grobie, radujcie się, kury!  
Ale o cóż na świecie łatwiej, jak o ciury?

W razie przegranej stanowili oni nieraz ciężar dla wojska, bo rzucając się pierwsi do ucieczki, powiększali tylko popłoch i stawali się łatwo przyczyną klęski. W taki sposób właśnie przyczynili się oni niemało do klęski Żółkiewskiego pod Cecorą.

Właściwą siłę bojową stanowili towarzysze i pocztowi, na nich więc spada sława wszystkich czynów wojennych jazdy polskiej. Pocztowi odpowia-



dali szeregowcom w dzisiejszych wojskach; towarzysze, pomimo że nie mieli tytułu oficerskiego, byli jednakże uważani za prawdziwych towarzyszków broni swych naczelników, a nawet hetmanów i królów i chociaż obowiązani byli im posłuszeństwo w szeregu i obozie, po za tem byli traktowani zupełnie, jak równi i uważani niejako za rodzaj oficerów. Na wojnie towarzysze dostawali nieraz dowództwo nad mniejszymi oddziałami, jak np. Pasek nad oddziałem pospolitego ruszenia.

Dowódca chorągwi nosił tytuł rotmistrza, ale nie zawsze dowodził nią w rzeczywistości. Jeżeli rotmistrzem był człowiek już bardzo podeszły w latach i niezdatny do służby wojskowej, albo też był nim magnat, zajęty sprawowaniem innych urzędów w Rzeczypospolitej, to poruczał on zastępstwo w dowodzeniu chorągwią porucznikowi, który nazwę swą wywodzi właśnie od poruczenia. A tego znów pomocnik zwał się namiestnikiem. Nie mógł on już jednak sprawować władzy nad całą chorągwią i pod nieobecność rotmistrza, porucznik musiał koniecznie znajdować się przy niej. To był cały skład oficerów chorągwi.

Dbaly i zamięłowany w swej sztuce rotmistrz znajdował się zawsze przy swej rocie i na każde wezwanie stawał na jej czele wraz ze swem «poruczeństwem», to jest obu innymi oficerami i prowadził «towarzystwo» oraz pocztowych do boju.

Ale nie zawsze tak było. Uwieczniony przez Wincentego Pola Mohort był tylko porucznikiem, a całe lata dowodził chorągwią kresową w zastęp-

stwie zawsze nieobecnego rotmistrza. O chorągwi Mohorta poeta powiada, że tam

Kawaleryi narodowej strojem  
Każdy towarzysz służywał o swoim,  
I sam się żywił, i zbroił, i odział;  
Komenda polska, na chorągwie podział,  
I małe poczty prowadził namiestnik...  
A już z chorągwią pan porucznik chodził,  
Kiedy rotmistrem był miecznik i cześnik,  
Co nigdy w służbie ludźmi nie dowodził,  
Bo w Wielkopolsce lub w Krakowskiem siedział  
I o chorągwi swojej ledwo wiedział.

W oddziałach, noszących nazwę cudzoziemskiego autoramentu, urzędzenia były inne. Właściwie nie składały się one z cudzoziemców, ale przeważnie również z Polaków, lecz miały cały ustrój, wzorowany na wojsku zagranicznym: nie było w nich wcale towarzyszy, lecz jedynie szeregowcy, złożeni z ludzi rozmaitego stanu, i oficerowie, w części szlachta krajowa, w części cudzoziemcy.

Oddziały takie nosiły nazwę pułków, a nie chorągwi, i zostawały pod dowództwem pułkownika. Pułkownik cudzoziemskiego autoramentu odpowiadał rotmistrzowi kawaleryi narodowej. Ku końcowi wieku XVIII-go zaprowadzono w całej jeździe autorament i rangi cudzoziemskie.

## X. Naczelní wodzowie.

Naczelną władzę nad całym wojskiem miał hetman. Wyraz ten jest przekreśloną niemiecką nazwą «hauptman», oznaczającą głowę, dowódcę. Staropol-

ską nazwą naczelnika wojska był wojewoda, ten, co prowadzi, wodzi woje, to jest wojowników. Nazwa ta oznaczała przez długi czas głównego wodza siły zbrojnej, ale gdy stopniowo powstawało coraz więcej wojewodów, jako naczelników oddzielnych dzielnic kraju, wówczas, żeby uniknąć pomieszania pojęć, głównego dowódcę wojska zaczęto oznaczać nazwą hetmana. W jakim to mianowicie czasie nastąpiło, nie można dokładnie wskazać, ponieważ dawni historycy pisali po łacinie i wszędzie używali nazwy łacińskiej «dux» albo «princeps militum». W każdym razie w w. XV używano już niewątpliwie nazwy hetmana, tylko że nie oznaczał on początkowo głównego naczelnika siły zbrojnej, ale tylko wogóle dowódcę większego lub mniejszego oddziału.

Pod Grunwaldem Jagiełło mianował hetmanem całej siły polskiej Zyndrama z Maszkowic. Ale w miarę potrzeby król ten naznaczał hetmanów i dla mniejszych oddziałów, posyłając je na samodzielne wyprawy, tak iż czasami bywało w kraju po kilku, albo i kilkunastu hetmanów.

Stały urząd hetmana, jako głównego naczelnika siły zbrojnej, powstał dopiero wraz z wytworzeniem się wojska stałego. Początkowo hetman był tylko wodzem nadwornych chorągwi królewskich i nosił tytuł nadwornego. Takim był za Jagiełły Dobiesław Puchała. Ustalił się zaś ten urząd za Kazimierza Jagiellończyka, który w czasie dwunastoletniej wojny z Krzyżakami musiał utrzymywać stale większą ilość chorągwi nadwornych, bo nie mógł ciągle zwoływać pospolitego ruszenia.

Nieustanne wojny z Turkami i Tatarami i ciągle potrzeba trzymania gotowego wojska na wschodnich kresach—wywołały ustanowienie osobnego hetmana nad tem wojskiem. Z czasem hetman ten został wodzem całej siły zbrojnej i otrzymał nazwę wielkiego; do pomocy zaś został mu dodany hetman polny. Takich samych dwu hetmanów (wielkiego i polnego) dostała i Litwa, tak, że ogółem w całym państwie znajdowało się 4 hetmanów (oprócz nadwornego): dwu dla wojska koronnego i dwu dla litewskiego.

Pierwszym wielkim hetmanem był Piotr Dunin w r. 1462.

Urząd hetmanów polnych powstał w wieku XVI: pierwszym hetmanem polnym koronnym był Mikołaj Sieniawski (w r. 1539), za wielkiego hetmaństwa słynnego Jana Tarnowskiego, zwycięzcy z pod Oberdyna; pierwszym polnym litewskim Jerzy Radziwiłł, który później został wielkim.

Urząd hetmana nadwornego zachował się w dalszym ciągu, jako dowódcy nadwornych chorągwi króla czyli tak zwanej milicyi. Ale gdy za Zygmunta III włączono milicję do ogólnego składu wojsk Rzeczypospolitej, zniesiono zarazem i urząd hetmana nadwornego.

Od Stefana Batorego godność hetmana stała się dożywotnią. To też gdy hetman zachorował ciężko, był już bardzo podeszły w latach albo się dostał do niewoli i nie mógł czynnie sprawować dowództwa, król mianował na jego miejsce czasowego zastępcę, który posiadał taką samą zupełnie władzę nad woj-

skiem, ale nosił nazwę regimentarza, ażeby nie ubliżyć godności hetmańskiej.

Pierwszych regimentarzy ustanowiono za Jana Kazimierza, w czasie wojny z Chmielnickim, gdy obaj hetmani koronni, Potocki i Kalinowski, dostali się do niewoli. Ale ten pierwszy wybór nie był bardzo fortunny. Naznaczono wówczas regimentarzami: Władysława księcia Zasławskiego, Ostroroga i Aleksandra Koniecpolskiego. Jeden z nich był człowiekiem bardzo zniewieściałym, drugi wielce rozmiłowanym w książkach (a wiadomo, że «szkolne gospodarstwo, a z ksiąg hetmaństwo—oboje niepewne»), trzeci zaś był bardzo młody i niedoświadczony. Chmielnicki złośliwie nazywał tych regimentarzy: «pierzyną, łaciną i dzieciną». Nic też oni nie działali, więc sejm usunął ich wkrótce, a na ich miejsce nazaczył jednego tylko, ale doświadczonego i mężnego: księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego.

Regimentarzy obierały sobie także konfederacje; z takich najgłośniejszym był Józef Pułaski, starosta warecki.

Urząd hetmana przetrwał prawie do końca istnienia Rzeczypospolitej. Dopiero sejm czteroletni, zaprowadzając w całym wojsku autorament cudzoziemski, zniósł tę godność, ustanawiając na jej miejsce rangę generała jak w wojskach zagranicznych. Ale wśród ogółu używanie tytułu hetmana dla głównego wodza przechowywało się jeszcze długo, jak to parokrotnie oddał Mickiewicz w «Panu Tadeuszu». Maciek Dobrzyński, nie chcąc używać cudzoziemskiej nazwy generała, odzywa się do Dąbrowskiego:

Łaska pańska, hetmanie, na pstrym koniu jeździ.

A klucznik Gerwazy wita tegoż Dąbrowskiego  
w sposób następujący:

Jaśnie wielmożny koronny hetmanie,  
Czy jenerale — mniejsza o tytułowanie.

Hetman wielki miał naczelną i bardzo szeroką władzę nad wojskiem, sądził i karał żołnierzy na gardle (śmiercią), a nawet wojnę mógł zaczynać, nie pytając króla o rozkaz. Pozostawało to w ścisłym związku z tem, że Rzeczpospolita prowadziła głównie wojny odporne, powodem więc wojny było zawsze wtargnięcie nieprzyjaciela, a w takim wypadku nie było już czasu na czekanie rozkazu króla.

Nie wolno jednak było hetmanom używać wojska do celów prywatnych, na sejmiki, zajazdy, ani też zjawiać się z nim na elekcyę króla: hetman, któryby przekroczył taki zakaz, stawać musiał przed sądem i mógł być skazany na wygnanie z kraju.

Mimo takie jednak zastrzeżenia, hetman posiadał w rzeczywistości prawie nieograniczoną władzę nad wojskiem, które zazwyczaj było mu ślepo oddane, a znajdując się ciągle zdala od stolicy i pod jego bezpośrednią władzą, słuchało go częstokroć więcej, niż króla i stanów sejmujących.

Zwłaszcza oddane były hetmanowi chorągwie kresowe, najbardziej oddalone od stolicy:

Z dawien to wieków tak w Polsce bywało,  
Że te chorągwie,  
Starzejąc w służbie i idąc za chwałą,  
Więcej hetmanów, niż królów słuchały.

Był to akt wiary każdego szlachcica  
Na Ukrainie, że już po kościele  
Niema, jak hetman na rycerstwa czele;  
Że nic świętszego w Polsce, jak granica,  
A strzedz granicy — to rycerska sprawa!  
Więc też na kresach o to dbano mało,  
Co się tam z królem i na sejmach działo.

Takim fanatycznym wielbicielem hetmana i władzy hetmańskiej był Mohort, porucznik chorągwi kresowej i typowy przedstawiciel dawnej jazdy polskiej i jej ideałów:

Więc też i Mohort był na to zbyt czuły,  
Co dla rycerstwa niósł obyczaj stary,  
A od hetmanów dane artykuły<sup>1)</sup>,  
I straż graniczna była aktem wiary!  
Tak zaś wysoko zasługi oceniał,  
Że po pacierzu, sercu w upominek,  
Imiona wszystkich hetmanów wymieniał,  
A potem mówił: — «wieczny odpoczynek»  
Za wszystkich, wszystkich litewskich, — koronnych,  
Wielkich i polnych.

Godłem hetmana była buława i koń, jak przystało na wodza wojska, którego czoło i ozdobę stanowiła jazda.

Buława — była to krótka laska z wielką, okrągłą gałką na końcu, mniej lub więcej suto ozdobioną drogimi kamieniami. Buława służyła do dawania znaków podwładnym, a oprócz hetmana, nikt jej nie śmiał używać. Nawet regimentarz nie miał do niej prawa.

---

<sup>1)</sup> Rozporządzenia, rozkazy.

Wszyscy inni dowódcy: regimentarze, rotmistrze, porucznicy oraz inni naczelnicy oddziałów wojskowych używali buzdyanu, który tem się różnił od buławy, że miał gałkę nie okrągłą, ale gruszkowatą i z podłużnymi korbami.

Piękny, okazały koń był również niejako oznaką godności hetmańskiej: nie wręczało go się wprawdzie hetmanowi uroczyście, jak buławę, tem niemniej jednak uważano by to za rzecz niewłaściwą, gdyby hetman zjawił się pieszo przed wojskiem. Niewłaściwem byłoby również, gdyby występował przed nim w pojeździe, a nie na wierzchowcu, który przytem koniecznie powinien był być pełen ognia i fantazyi.

Jeden z ostatnich hetmanów, Klemens Branicki, gdy dla podeszłego wieku i steranych sił nie mógł już dosiadać ognistego rumaka, uciekał się do pomocy hajduków i pętania nóg koniowi, ale zjawiał się zawsze na przegląd wojska na dzielnym wierzchowcu. Kitowicz tak opisuje te jego przeglądy:

«Lustracyą czyniąc, siedział na koniu, którego pod nim prowadziło dwóch pajuków, a innych dwóch szło tuż przy hetmanie, trzymając się jedną ręką za strzemiona, a to po części dla większej figury<sup>1)</sup>, po części dla utrzymania konia w powolnym i prostym chodzie, który, żeby wcale nie mógł brykać, był spętany na wszystkie cztery nogi na krzyż łańcuchami żelaznymi».

Jeszcze jeden zwyczaj narodowy łączył ściśle hetmana z koniem. Mianowicie, gdy urządzano ucztę

---

<sup>1)</sup> Ostentacyi, parady.



dla hetmana wielkiego, podawano na niej zwykle pieczeń ze żrebięcia czyli tak zwaną hetmańską, a to na znak, że hetman, który znaczną część życia spędza na kresach, na dzikich polach Ukrainy, w harcach z Turkami i Tatarami, musi się nieraz żywić koniną, pieczeń więc żrebięcia jest dlań prawdziwym przysmakiem.

Na wielkie znaczenie hetmana wskazuje nam wiele przysłów: «dobrą ręką dobra broń, koń jeźdźcem, wojsko hetmanem, poddani królem, majątność gospodarzem—stoi». «Uroda bez cnoty, wojsko bez hetmana, królestwo bez rządu — nie mogą w sławę iść». «Mur zwątlony, hetman niedoskonały, żołnierz młody — nie wielkie dają obrony». Uważano nawet, że lepiej będzie się bić złe wojsko pod dobrym hetmanem, niż dzielne pod wodzą niedołęznego wodza. Rej pisze:

Sroższy jeleni huf, gdy je lew wiedzie,  
Niż lwów, gdy jelonek naprzód jedzie.

Strykowski tę samą myśl wyraża nieco inaczej:

Sroższe wojsko jeleniów, gdzie lew hetman bywa;  
A gdzie jeleń wodzem lwów, już nadzieja krzywa.

Petrycy Sebastyan posuwa się jeszcze dalej i mówi: «lepsze jest wojsko zajęcy przy hetmanie lwie, niżli wojsko lwów przy hetmanie zającu».

Wszyscy ci pisarze mają pewną słuszość, bo dobry wódz umiejętnem rozporządzeniem i pokierowaniem żołnierza, osobistym przykładem i dzielnością podwaja i potraja swe wojsko i pokonywa silniejszego nawet nieprzyjaciela: «jaki hetman, taki żołnierz».

Nasi hetmani zasługiwali przeważnie na miano takich, co to nawet i z wojskiem jeleni mogli zwycięstwa osiągać. Każdy z nich prawie odznaczał się osobistem męstwem, zgodnie z przysłowiem, że «ten tylko dobrze rozkazuje, kto, rozkazawszy, przodkuje». Nie wahali się oni prowadzić szyki swe do boju, a gdy chodziło o szturmowanie twierdzy i piechota chwiać się zaczynała, hetman nieraz zeskakiwał z konia i pieszo prowadził ją na zdobycie wałów.

Zalety dobrego hetmana wyraża następujące przysłowie, porównywające go, naturalnie, jak wszystko cenne, z koniem, tym wiernym i szacownym towarzyszem i pomocnikiem Polaka: «Koń urodziwy, rączy, wolny; ksiądz, uczony, nabożny, przykładowy; król mądry, sprawiedliwy, miłosierny; hetman śmiały, dzielny, hojny—godne to są na świecie rzeczy».

Mężny hetman dzielił wszystkie losy swego wojska, złe czy dobre, tryumfy czy klęski, a gdy wojsko ginęło, i on nie chciał ratować się ucieczką. Stary Żółkiewski, w rozpaczliwej chwili walki pod Cecorą, ściał pałaszem swego wierzchowca, aby ginący bez ratunku żołnierze wiedzieli, że wódz ich nie opuści i położy głowę wraz z nimi.

Gdy było potrzeba pieniędzy, a hetman posiadał je, szafował z własnej szkatuły na potrzeby wojenne, jak Chodkiewicz na Inflantach, a o zwrot kosztów upominał się dopiero wtedy, gdy już pomyślnie ukończył zaczęte dzieło. Nie czynił tego pierwej, aby o nim nie powiedziano: «konia nie osiodłał, a nagród wymaga». Znow porównanie w związku z koniem!

Ogół naszych hetmanów odznaczał się istotnie wielkimi zaletami i zdobył sobie piękną kartę w dziejach. Dość wspomnieć tylko głośniejsze nazwiska: Ostrogskich, Tarnowskich, Sieniawskich, Zamojskich, Potockich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich, Sobieskich... Roznosili oni sławę polskiego oręża i polskiej jazdy na wszystkie strony świata.



Żółkiewski pod Cecorą.

Z obrazu Walerego Eljasza.

Dopiero pod koniec w epoce zupełnego upadku obyczajów zblakły cnoty hetmańskie, a ostatni hetmanowie (Ożarówski, Kossakowski, Zabiełto) nietylko, że nie świecili cnotami i nie mogli ich wojsku udzielić, ale przeciwnie byli zakałą kraju i skończyli nie na koniu i z bronią w ręku w wirze walki, ale na szubienicy.

Oddawszy jednak sprawiedliwość cnotom hetmanów, porównawszy ich z lwami, którzy nawet na czele jeleni mogli odnosić zwycięstwa, nie zapominałmy i o podwładnym im wojsku, przyznajmy, że nie składało się ono wcale z jeleni, ale że raczej również zasługiwało na porównanie do lwów.

Jazda polska odznaczyła się w tylu bitwach, tyle zwycięstw odniosła nad licznie silniejszym nieprzyjacielem, że nie potrzeba innych dowodów na uznanie jej męstwa.

Ale na szczególne podkreślenie zasługuje niezwykle wysokie pojęcie o czci rycerskiej, przechowane do ostatnich prawie czasów. Gdy wojska w innych krajach europejskich składały przysięgę na wierność obowiązkowi żołnierza, Polacy tego nie czynili, uważali bowiem, że sama cześć rycerska, którą stawiali wyżej od przysięgi, nie pozwoli im nie dotrzymać tych obowiązków.

A że nie były to czcze słowa tylko, widać z tego, iż najwyższą karą w wojsku była kara «na czci», to jest pozbawienie czci rycerskiej. Hetman, który mógł karać «na gardle», to jest skazać na śmierć, nie miał prawa wykonać tamtej najwyższej kary: «na czci», «na poczciwości» karać mógł jedynie sejm cały z królem i senatem.

Miarą osobistego męstwa, a nawet pewnej chęci popisywania się z niem — były tak zwane harce, utarczki w pojedynkę wojowników z obu wojsk, poprzedzające samą bitwę. Zwyczaj ten pozostał jeszcze z dawnych czasów, a chcący się odznaczyć wojownicy lubili ten popis przed zabraniami wojskami, popis,

w którym mogli doskonale wykazać zalety swoje i swego rumaka.

Harce mogły się odbywać jedynie za zgodą i zezwoleniem hetmana, bez jego wiedzy żaden rycerz nie mógł ich zaczynać. Wyjeżdżali zaś na harce nie tylko zwykli wojownicy, ale często i wodzowie. Zwycięstwo w harcu było zaszczytniejsze i trudniejsze, niż na gonitwach w czasie pokoju.

Harce odbywały się w ten sposób, że z szeregów jednego z wojsk wyjeżdżał harcownik i wyzywał przeciwnika z szeregów nieprzyjacielskich. Gdy się znalazł współzawodnik, który się chciał z nim potykać, wówczas zaczynali walkę i ścierali się zazwyczaj dopóty, dopóki jeden z nich nie poległ, albo, zrzucony z siodła, nie zostawał jeńcem zwycięzcy. Następnie wyjeżdżał inny harcownik, wyzywał nowego przeciwnika i znów zaczynały się harce. A gdy tak:

Jedni harcami szczęścia próbowali,  
Drudzy gotowcem do potkania stali.

Aż wreszcie wodzowie dawali znak zaprzestania harców i zaczynała się właściwa bitwa.

Słynne harce odbywały się przed bitwą Grunwaldzką: z szeregów krzyżackich wyjechał Ślązak Konrad Niemczyk, siedzący na ciężkim, roslym frezie i cały okuty wraz z koniem w żelazną, bogatą zbroję. Ufny w opancerzenie swoje i rumaka, donośnym głosem wyzywał naszych wojowników, obiecując zwyciężyć każdego, kto się ośmieli stawić mu czoło. Na to zuchwałe wyzwanie z szeregów pol-

skich wyskoczył z kopią Jan Scycicki i po krótkim złożeniu się zwałił z konia okutego w stal Ślązaka, który stał się jeńcem zwycięskiego rycerza.

Bitwa pod Grunwaldem odbyła się w czasach rycerstwa, ale harce były w zwyczaju jeszcze i długo potem, w następnych nawet wiekach. Harcował Jan Tarnowski w bitwie pod Orszą, w pełnej zbroi i w szyszaku, z hiszpańska przystrojonym piórami. Głośny Stanisław Stadnicki, pan na Łańcucie, przezwany dla swego charakteru «Dyablem Łańcuckim» harcował przed szeregami Stefana Batorego pod Gdańskiem, i każdego Niemca, który odważył się wystąpić, «bez ochyby śmiertelnie ugadzał» tak, iż później żaden nie śmiał już się z nim potykać. Odbywały się także harce przed bitwą cecorską, pomysły nawet dla naszych wojowników, chociaż sama bitwa zakończyła się później tak nieszczęśliwie: mianowicie Kasper Lipski, kasztelan rawski, harcował tam w pojedynkę, a nadziawszy Turka na kopię i zdjawszy go nią z konia, złożył u nóg hetmana Żółkiewskiego. Niestety, wkrótce potem Turcy obnosili na kopii głowę tegoż samego hetmana.

Takie harce w pojedynkę odpowiadały w zupełności dawnym rycerskim zwyczajom i dawnemu sposobowi wojowania. To też ze zmianą sztuki wojkowej, wyszły one z użycia, a wówczas miejsce ich zajęły harce oddziałami: do oddziałów takich na ochotnika zgłaszali się najdzielniejsi wojownicy i rzucając się przed bitwą nagle w sam środek nieprzyjacielskiego obozu, starali się wywołać w nim popłoch, a przynajmniej zasięgnąć języka,

zdobyć jeńców, od których dowiadywano się bliższych szczegółów o siłach wroga.

Należący do takich oddziałów nosili również nazwę harcówników; zwano ich także elearami, od łacińskiego wyrazu «eligere», co znaczy wybierać. Tacy harcównicy musieli i sami być nadzwyczaj mężni, a zręczni i posiadać odpowiednio zwinne i dziarskie konie, bo chodziło tu nie tylko o uderzenie na nieprzyjaciela, ale także o powrót do obozu ze zdobyczą, z jeńcami.

Niektórzy królowie utrzymywali na swym dworze takich wyćwiczonych «harcerzy», obowiązanych do harcowania przed bitwą. Na dworze Zygmunta III w r. 1590 znajdowało się ich 35.

O takich harcach w celu zdobycia «języka» opowiada Pasek, a miały one tę humorystyczną stronę, że między polskimi ochotnikami był tam młody chłopak, który przezwiskami drażnił nieprzyjaciół, zmuszając ich w ten sposób do opuszczenia szeregów i wzięcia udziału w harcach. Naszym udało się wtedy zdobyć kilkunastu jeńców, nie straciwszy przytem nikogo ze swoich. Samemu tylko Paskowi groziła przez chwilę niewola, z powodu, iż koń jego zaplątał się w zapasową uzdeczkę, a nieprzyjaciele obskoczyli go w kilku; towarzysze jednak zdążyli go uratować.

Z czasem harce wyszły z użycia. Polacy jednak lubowali się w nich ogromnie, z powodu, iż dawały one świetne pole do prawdziwie rycerskiego popisu zarówno dla jeźdźcy, jak i dla konia. Pozostawiły też one ślad w wielu przysłowiach: «wyjechać na

harc z nieprzyjacielem» — zetrzeć się z kim; «wyjeżdżać na harc z czem» — popisywać się, chlubić, pysznić czem, bo harcownicy mieli zwyczaj wychwalania siebie, a drażnienia wroga przedrwiwaniem; i jedno końskie: «w koniu się kochać, na harc nie wyjeżdżać na nim, toż co gdakać, jaj nie nieść — było mądrych zdaniem».

---

## XI. Ciężka jazda.

Niech husarya skrzydła bierze,  
Niech stalowe lśnią pancerze,  
Niech szabllice błyszczą w ręku,  
Luzak z koniem, koń w obłoku.

Temi słowy poetka wyraża rozkazy wojenne króla Jana na wyprawę wiedeńską, słusznie wymieniając na pierwszym miejscu husarzy, bo oni stanowili czoło całej naszej jazdy, im głównie zawdzięcza Polska, że potrafiła tak skutecznie opierać się tylo-wiekowemu naciskowi Niemców i tak groźnej nawa-  
le mongolskiej.

Ten rodzaj jazdy nie występował pod Grunwaldem i nie istniał wówczas jeszcze wcale, bo wogóle, nie było wtedy stałej jazdy. Pierwszą wzmiankę o husarzach znajdujemy u historyka Bielskiego pod datą r. 1503, w którym jest wzmianka o «obyczaju usarskim». Powstanie więc ich można odnieść do wieku XV, kiedy wogóle wytworzono u nas jazdę ciężką czyli usarzy i lekką czyli pancernych. Ale



urzędową nazwę usarzy (po łacinie «usares») spotykamy dopiero za Stefana Batorego.

Sama nazwa nie jest polskiego pochodzenia. Pochodzi ona z południowej słowiańszczyzny, od serbskiego wyrazu «husar», a przyszła do nas przez Węgry. Nazwa ta oznacza rycerza konnego, zwłaszcza lekkiego i do dziś dnia przetrwała w niezminionej postaci i znaczeniu w nazwie huzarów, narodowych węgierskich pułków jazdy, które zresztą od nich przeszły do wszystkich armii europejskich.

U nas jednak nazwę tę zastosowano do jazdy ciężkiej, a stworzono wojsko, jakiego nie znało i nie posiadało żadne inne państwo, a które wszystkich wprawiało w podziw swą postawą i swymi czynami. Wszyscy pisarze zagraniczni, którzy tylko mieli sposobność podziwiać husaryę, przyznają jednogłośnie, iż była to jazda niezrównana, jakiej drugiej nie było w świecie. Siała ona grozę i popłoch, nietylko dzielnością i siłą natarcia, ale i samą swą postawą, całym wyglądem ludzi i koni, składających chorągiew.

Francuz Daleyrac powiada o husarzach, że «była to najpiękniejsza jazda w Europie przez wybór ludzi, piękne konie, wspaniałość stroju i dzielność broni».

A że nie samą postawą i strojem wzbudzali oni podziw, że nazwa «usarz» oznaczała przedewszystkiem śmiałego, dzielnego wojownika, że była zaszczytną, widzimy najlepiej z następującego wiersza Kochowskiego:

Nie to husarz, co groźny humor ma w pokoju,  
Nie ten, co wąsem trząsa, kiedy przy napoju  
Kandyjskim posiedziawszy, puhary rychtuje...

Ale ten, co po trzeźwu bojaźni do serca nie dopuszcza.

Uzbrojenie husarza było wzorowane na dawnych rycerskich zbrojach, nie było jednak tak ciężkie: na głowie hełm albo szyszak, zwany także przyłbicą, zrobiony z żelaznej blachy; na ciele całkowity kirys, to jest zbroja stalowa, złożona z pancerza z naramiennikami, rękawicami i nagolennikami żelaznymi. Przy boku zakrzywiona szabla, pod lewem kolanem długi na 5 stóp prosty, obosieczny pałasz czyli koncerz do przebijania nieprzyjaciela, powalnego na ziemię; w rękę długa i ciężka kopia z proporcem czyli chorągiewką, a oprócz tego zwykle jeszcze obuch czyli czekan, rodzaj siekiery lub młotka na krótkiej lasce, służący do rozbijania zbroi nieprzyjacielskich. Za Batorego dodano jeszcze husarzom pistolety.

Z pleców usarza spływała rysia, lamparcia lub tygrysia skóra. Ale najbardziej oryginalną i charakterystyczną cechą stroju stanowiły skrzydła z piór orlich lub sępicz, oprawione w listwę drewnianą albo srebrną i przytwierdzone do pleców usarza albo też do siodła jego konia. Pocztowi i pachotkowie mieli skrzydła z piór bocianów, żórawi lub innych wielkich ptaków.

Wspaniale wyglądał taki huf husarzy!

Na czele pierwszej wyborowej straży,  
Na źrebcach bielszych, niż zimowe śniegi,  
Idzie chorągiew hetmańska husarzy,  
Sam regimentarz wie dzie jej szeregi.



Husary w pochodzie.

W. Pawlitzak.

Na długim drzewcu u każdego człeka  
Mały proporczyk z wiatrami się chysta;  
Świetne pancerze błyszczą się z daleka,  
U ramion skrzydła lub blacha srebrzysta;  
Przez ramię męża bohatersko zwisa  
Skóra lamparta, lwa, albo tygrysa.

A jeśli tak wspaniale wyglądali husarze w zwykłym marszu, to cóż dopiero za imponujące i groźne wrażenie musieli oni wywoływać, gdy lecieli do ataku z furkotem chorągiewek na kopiach i chrzęstem skrzydeł? Przerazenie ogarniało nie tylko konie nieprzyjacielskie, ale i samych żołnierzy!

Husarz w pełnej zbroi był groźny samym wyglądem nawet wtedy, gdy go wzięto do niewoli: gdy przed bitwą pod Kircholmem, podjazd szwedzki schwytał Krajewskiego, towarzysza usarskiego z pod komendy Chodkiewicza, generałowie szwedzcy tak się przerazili widokiem tego wojownika, odzianego w stal, z tygrysią skórą na plecach i sępiemi skrzydłami na ramionach, że zupełnie zwątpili o zwycięstwie nad wojskiem, złożonem z takich żołnierzy.

Aż król szwedzki musiał im dodawać otuchy, szydząc z Krajewskiego i żartując, że każdy z nich byłby równie groźny, gdyby sobie włożył tygrysią skórę na grzbiet i przyprawił skrzydła.

Słowa króla pozostały jednak bez skutku, bo gdy na drugi dzień natarł nań Chodkiewicz ze swoją husaryą, całe wojsko szwedzkie szukało ratunku w ucieczce, chociaż było znacznie liczniejsze od polskiego.

Towarzysz usarski w pełnej zbroi wyglądał nadzwyczaj wspaniale, tak, iż cudzoziemcy brali go

nieraz za jakiegoś dowódcę, a nie za zwykłego żołnierza z chorągwi. Dało to powód do zabawnej pomyłki po bitwie wiedeńskiej.

Nazajutrz po bitwie, Staremburg, komendant Wiednia, zaprosił na obiad króla i przedniejsze rycerstwo polskie. Nakryto trzy stoły: jeden dla króla i hetmanów, drugi dla pułkowników i rotmistrzów oraz innych dowódców, trzeci dla towarzystwa.

Gdy król z hetmanami zasiadł przy pierwszym stole, wówczas jeden z wyższych wojskowych austriackich zbliżył się do towarzyszy husarskich, okrytych tygrysiemi skórami i, biorąc ich za dowódców, zaprosił do drugiego stołu, mówiąc: «*Domini tigrides ad secundam mensam*» (Panowie w tygrysiach skórach proszę do drugiego stołu). A jednocześnie inny oficer pułkowników i rotmistrzów, okrytych burkami, zapraszał do trzeciego stołu, biorąc ich właśnie za towarzyszy.

Król się uśmiechnął, towarzysze nie ruszali się z miejsca, poznawszy omyłkę, i trzeba było wytłómaczyć Niemcom, że ci w burkach są właśnie ważniejszymi osobami i że oni mają komendę nad tygrysami.

Konie husarskie były dorodne i dzielne, nie opasłe i ciężkie, jak frezy, ale mocnej budowy i wzrostu dobrego, silne, wytrwałe, w miarę zwinne i rączne, takie właśnie, aby bez trudności mogły udźwignąć wojownika w husarskiej zbroi, i dzielnie biedz z nim do ataku.

Maścią nie dobierano ich wcale: każdy towarzysz sam się zaopatrywał w konie, dbając jedynie o to,

aby to były prawdziwie wojskowe rumaki. Hufce dobierane maścią zdarzały się tylko wyjątkowo i były uważane za osobliwość. Tem nie mniej jednak każdy husarz starał się mieć konia doborowego. W chorągwiach husarskich nie znajdowano koni tańszych, niż 200 czerwonych złotych, a nierzadko bywały wierzchowce po 1000 i 1500 złotych.

Główną broń husarza stanowiła kopia: przejął ją husarz od rycerzy średniowiecznych, a doszedł w robieniu nią do takiej doskonałości, iż kopii zawdzięczał wszystkie swe zwycięstwa.

Z kopią husarz nacierał na wroga i, dopiero przełamawszy jego szeregi i skruszywszy kopie, chwycił za szablę, aby nią dokończyć zwycięstwa.

Kopia husarska była niezmiernie długa, bo liczyła początkowo 19 stóp, to jest przeszło trzykrotną wysokość rosłego mężczyzny; później, za Batorego, skrócono ją do 16 stóp (8 łokci), a jeszcze później do 15.

Manewrowanie takim orężem nie było rzeczą łatwą, to też, dla ulżenia, drzewce było wydrażone wewnątrz. Dolna część drzewca obrobiona odpowiednio, aby ją łatwo było ujmować nosiła nazwę tulei. Na górnej zaś części osadzony był potężny grot stalowy. Każda z tych trzech głównych części kopii była symbolem jednej z cnót chrześcijańskich i mówiono:

Troje czynią kopiję: drzewiec, grot, tuleja;

Drzewiec — wiara, grot — miłość, tuleją — nadzieja.

W marszu kopię osadzano pionowo w osobnym trzewiku u prawego strzemięcia jeźdźca, noszącym

również nazwę tulei. W natarciu składano ją naprzód w pół ucha końskiego i tak uderzano na wroga.

Przy grocie znajdowała się osadzona długa chorągiewka czyli proporzec z kitajki dwubarwnej. Furkot jej płoszył konie nieprzyjacielskie. Barwy były: biała z czerwoną, żółta z zieloną, niebieska z zieloną lub biała z czarną, zależnie od barwy, która była przyjęta w danej rocie, roty bowiem odróżniały się barwą chorągiewek.

Robienie kopią nie należało do rzeczy łatwych, jeśli weźmiemy pod uwagę jej wielkość i ciężar. Husarze jednak doszli do takiej w tem wprawy, że w podziw wprawiali wszystkie wojska: i swoje i obce. Z samego ujęcia kopii, nawet bez natarcia, widać było mistrzów. Łukasz Górnicki, autor «Dworzanina», pisarz z XVI w. tak powiada o tem: «Owo usarz, gdy z drzewem na koniu siedzi, chocia nic nie pocznie, jednak z jednego trzymania drzewa znać to, iż dobrze z niem umie».

A bardzo liczne przysłowia wskazują na znaczenie husarzy i kopii: «Rusznica w lesie, kopia w polu, miecz na ulicy, puinał<sup>1)</sup> w cieśni — straszne rzeczy są». «Usarz kopią na czele, kozak natarciem z boku, ajduk rusznicą z zasadzki — wiele dokazują». A największego znaczenia kopii i husarzy dowodzi przysłowie: «Póki kopii i husarza staje, będzie Polak pan w polu; skoro kopia zginie, zginie i Polaka cnota».

Nie będziemy tu wyliczać wszystkich świetnych czynów husaryi, która, złożywszy kopie w pół ucha

---

<sup>1)</sup> Puginał.

końskiego i ruszywszy cwałem, rozbijała mężnem natarciem najgęstsze szeregi nieprzyjaciół, a znalazłszy się na jego tyłach, wracała z powrotem, przebijając sobie nową lukę, albo też rzucała kopie i z szablami goniła w rozsypkę uciekających, jeżeli nieprzyjaciel był już pobity.

Do najsłynniejszych natarć husaryi należały wykonane pod Wiedniem, bo sławę jej rozniosły po całej Europie.

Bitwa zaczęła się od natarcia husarkiej chorągwi królewicza Aleksandra pod wodzą porucznika Zwierzchowskiego, któremu król kazał uderzyć na namiot wezyra. Husarze złożyli kopie i pędem ruszyli naprzód:

«Hej! na obóz! Naprzód wiara!»

Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr lecą, jak grom wałą,

Dziw, że się utrzymać mogą...

Koń kopytem, mąż ostrogą.

— «Naprzód!»

Wzięli namiot wroga,

Co miecz puścił, bije trwoga...

A po świetle okrzyk leci:

— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

Zwierzchowski w 200 towarzyszy przebił się przez szeregi tureckie w obliczu całego wojska, dotarł do namiotu wezyra i wrócił z powrotem: stracił wprawdzie w tem natarciu 55 towarzyszy, ale rzucił straszny postrach na Turków, którzy już nie wątpili teraz o bytności samego króla pod Wiedniem, skoro ci, jak ich zwali, «drażnicy» dali się im tak odrazu we znaki.



Ruszyły zaraz potem inne chorągwie husarskie, a za niemi reszta wojska i w krótkim czasie armia turecka uciekła sromotnie:

Rozprasza tłumy rycerstwo skrzydlate  
I Mahometa chorągiew wydziera,  
Zdobywa obóz i łupy bogate,  
A Wiedeń bramy zwycięzcom otwiera.

Poeta powiada wprawdzie, że skoro Jan III nadciągnął pod Wiedeń, otucha wstąpiła w serce wiedeńców na widok liczego i dobranego wojska:

Już na Kalbergu<sup>1)</sup>, w oczach obłączonych,  
Widać proporców lasy nieprzejrzane.

W rzeczywistości jednak Sobieski pod Wiedniem miał tylko 3,500 husarzy, tem więc większy zaszczyt przynosi im zwycięstwo.

Wzbudzili oni taki podziw sposobem natarcia, że na drugi dzień cesarz prosił króla polskiego, aby mu pokazano ćwiczenie i zażycie kopii. Na rozkaz króla hetman wybrał 24 doświadczonych kopijników, którzy podzielili się na dwie partye i skoczyli ku sobie z kopiami złożonemi jak do ataku. Ale gdy już mieli wzajemnie uderzyć się niemi w piersi, w jednej chwili wszyscy je podnieśli do góry, tak, iż nikt nie został dotknięty. Ćwiczenie to było przyjęte z wielkim zachwytem przez cesarza i całe jego otoczenie.

Potrzeba wiedeńska nie była ostatnim popisem jazdy polskiej, ale była ostatnim występem husarzy. Coraz większe rozpowszechnianie się arty-

---

<sup>1)</sup> Kahlberg, Kahlenberg — góra opodal Wiednia.

leryi odbierało znaczenie ciężkiej jeździe i wysuwało coraz bardziej na pierwszy plan piechotę i broń palną.

Już za panowania Jana III hetman Jabłonowski wprowadził zmianę w uzbrojeniu husarzy, odbierając im proporce i dając wzamian karabiny. A za Sasów coraz bardziej zaczęły wychodzić z użycia zbroje żelazne: za Augusta III już tylko 4 chorągwie nosiły pancerze.

Zmienił się sposób walki i husarz przechodził do historyi, ale doprowadzony przezeń do doskonałości sposób nacierania kopią tak wszedł w krew narodu, że Polak nie mógł sobie wyobrazić walki bez kopii i oto za tych samych Sasów zaczęły powstawać pułki ułanów, lekkiej jazdy, zbrojnej lekką lancą, tak jak ongi husarze ciężką kopią. Stali się oni spadkobiercami męstwa husarzy i tak samo zdumiewali całą Europę dzielnością natarcia i sprawnością w robieniu bronią.

Urzędowa nazwa husarzy dochowała się przy niektórych chorągwiach do czasów Stanisława Augusta, ale była to już nazwa tylko. Właściwi husarze, ci nieustraszeni wojownicy w stalowej zbroi, z skrzydłami na ramionach i przeraźliwie długą kopią—wymarli znacznie wcześniej.

Do garstki ostatnich husarzy należał Kampenhausen, podkomorzy parnawski (na Inflantach), który na uroczystości pokazywał się jeszcze w całej zbroi husarskiej, z tygrysią skórą, skrzydłami i kopią w tutei. Król August II, zachwycony jego wprawą w robieniu kopią, poruczył mu sformowanie dwu pułków



Bogardzica.

Jozef Brandt.

husarskich, ofiarowując rotmistrzostwo w jednym z nich.

Zanim Kampenhauzen spełnił polecenie króla, zdarzyło się, że Ludwik XIV, zajadły wróg kopii, zapragnął na własne oczy zobaczyć husarza polskiego, aby się przekonać, czy jest to istotnie taki straszny żołnierz. August wysłał do Francji podkomorzego parnawskiego z pocztem husarskim.

Stary husarz był przekonany, że król francuski weźmie go ze sobą na jaką wojnę; więc zrobił ślub w duszy, że albo zginie tam albo nawróci króla na wiarę swej ukochanej kopii. Ale miękki dwór francuski nie gustował w wojnie; któż opisze zgorszenie husarza, gdy, zamiast wyprawy na wojnę, król kazał mu wraz z całym jego pocztem tańczyć konno kadryla na dziedzińcu w Saint-Germain przed wypudrowanymi markizami.

Stary wojak, który zapomniał był o tem, że karuzel wyparł już dawno turnieje i że cyrkowe popisy koni były wówczas najbardziej w modzie, zgryzł się tem tak bardzo, że podziękował Augustowi za rotmistrzostwo husarskie, bo nie chciał ćwiczyć żołnierzy do popisów karuzelowych, i wstąpił na służbę do infanterji koronnej, gdzie wkrótce dosłużył się rangi jeneralskiej.

Do końca życia jednak pozostał wiernym broni młodych lat i w każde większe święto, jadąc do kościoła, przywdziewał zbroję husarską. Gdy umarł (koło r. 1740), na pogrzeb jego zjechali się wszyscy jeszcze żyjący husarze w liczbie 70. I odtąd zawsze śpieszyli wszyscy razem na pogrzeb każdego z to-

warzyszy, stawiając się w pełnych zbrojach. Ludzie, odwykli już od widoku takich wojowników, żartowali z nich, zwąc ich rycerzami pogrzebowymi. A garstka husarzy malała coraz bardziej, asysta na pogrzebach była coraz mniej liczna.

Aż wreszcie umarł ostatni z tych skrzydlatych wojowników i husarze zniknęli zupełnie z widowni, jako zamierzchły zabytek przeszłości. Miejsce ich zajęła bardziej odpowiadająca potrzebom czasu lekka jazda, ułani czyli lansyerzy, lżej uzbrojeni i na mniejszych koniach, ale z tak samo groźną bronią, choć zwała się teraz inaczej; i tak samo na grotach swych lanc roznosili sławę jeźdźców i koni naszych.

---

## XII. Lekka jazda.

Husarze, niezrównani w rozbijaniu zwartych szyków nieprzyjacielskich, nie nadawali się zupełnie z powodu ciężkiej zbroi do walki podjazdowej i wogóle do każdej, gdzie trzeba było występować w rozsypkę, w pojedynek.

Do takich walk, do podjazdów, do służby wywiadowczej potrzebna była lekka jazda, na mniejszych, ale zwinniejszych koniach i mniej ciężko uzbrojona. Taką właśnie służbę pełniły chorągwie pancerne czyli lekkie, przeznaczone także do rozpoczynania bitwy i do ścigania nieprzyjaciela.

Uzbrojenie pancernych było znacznie lżejsze, niż husarzy: zamiast jednolitego stalowego pancerza,

mieli oni na piersiach kolczugę czyli pancerz kolcowy, złożony z małych kółeczek metalowych; na głowie nie hełm z blach, ale misiurkę, złożoną z jarmułki żelaznej, okrywającej wierzch głowy i czepca z kółek żelaznych takiej samej roboty, jak kolczuga; czepiec ten spadał aż na kark i ramiona, okrywając tył i boki głowy.

Uzbrojenie pancernych składało się z krzywej szabli, tarczy, łuku i kolczanu ze strzałami, czyli tak zwanego z tatarska sajdaku albo sahajdaku. Z prawego boku wisiała niezbyt długa 8-stopowa kopia, zwana włócznią, dlatego, że się włóczyła za koniem.

Z czasem usunięto włócznię, wprowadzono strzelbę i pistolety, towarzysze jednak pancerni pomimo posiadania broni palnej, długi czas lubili używać łuku, bo dawało to im możliwość rażenia nieprzyjaciół zdaleka bez hałasu. Sajdak zaś ze strzałami i łuk nosili chętnie nawet i w czasie pokoju, jako oznakę wojskową: jazda bowiem nasza nie nosiła mundurów i w stroju samym nie różniła się niczem od zwykłej szlachty.

Zgodnie z lżejszem uzbrojeniem i większą zwinnością koni, chorągwie pancerne nie były używane do łamania szyków nieprzyjacielskich, jak ciężka husarya, ale do służby, wymagającej przede wszystkim lekkości i ruchliwości: one niepokoiły nieprzyjaciela nagłymi a nieustannymi napadami, one ruszały na podjazdy, dla zdobycia jeńców — «języka».

Do hetmana język przywiedziony,  
Skoro w namiocie dla pytania stawa,  
O wszystkim słuszną relacją dawa.



Pod Smoleńskiem r. 1631.

Juliusz Kossak.

One pilnowały, aby nieprzyjaciel nie napadł i nie zabrał furazu, dostarczanego dla wojska; same zaś starały się wytropić, którędy nieprzyjaciel wiezie swoje prowianty, wpaść na nie zniemacka i zdobyć je. Stara to była sztuka — ogłodzenie wroga, jeszcze z czasów wojen krzyżackich, kiedy «po guzy nie trzeba było jeździć na Podole», kiedy się nie zaczęły tyloletnie harce z Tatarami.

To jest fortel największy, na Niemca zbrojnego,  
Obskoczyć go do koła, czynić go głodnego.

Konie towarzyszków pancernych musiały być bardzo ręczne i lotne: jak powiadano, powinny one były doskoczyć wszędzie, gdzie ptak doleci, powinny były zatem być tak lotne, jak ptaki. I to jest znaczenie Mohortowskiego przysłowia, które tak często powtarzał:

Ptaku, mój ptaku! pancernego znaku

Służba pancernych nie była bynajmniej lekka, choć sama chorągiew zwała się lekką: noce spędzać trzeba było bardzo często na rozjazdach, a nawet w czasie spoczynku mieć konie okulbaczone i spać na gołej ziemi w zbroi, będąc każdej chwili gotowym do nowej wycieczki:

Ledwie się trochę zdrzemniesz, aż każą do koni,  
I tak nie spaną w tropy noc czujny dzień goni.

Mohort, dowódca takiej lekkiej chorągwi kresowej, przeznaczonej właśnie do rozjazdów i nieustannego pilnowania granicy, sypiał nawet na koźle, z bronią w rękę i w całej gotowości na wypadek alarmu:



Na koźle z drzewa uciosanym siedział,  
Niby na koniu — a choć sobie drzymał,  
Czuwał jak żóraw, i o sobie wiedział,  
Bo śpiąc, pistolet w prawej ręce trzymał.

Jak dalece chorągwie pancerne były wyćwiczone w służbie podjazdowej, widać najlepiej ze świetnego ich popisu pod Wiedniem, który podaje naoczny świadek, Mikołaj Dyakowski, dworzanin królewski i autor «Dyaryusza wyprawy wiedeńskiej»:

«Kiedy król zbliżył się już do Wiednia i spotkał się z niemieckimi wojskami, zaraz pyta się generalissimusa <sup>1)</sup> i elektorów: «Macie waszmość panowie, języka nieprzyjacielskiego od podjazdów swoich?» ponieważ to tylko 10 mil od Wiednia.

Aż elektorowie odpowiadają: «Jakże posyłać podjazdy, chyba na to, żebyśmy jeżeli nie wszystko, to przynajmniej połowę wojska stracili».

Król na to się odzywa: «Jakim to może być sposobem?»

Odpowiada generalissimus: «Posłaliśmy jednego generała z 3,000 dragonii na podjazd, a nie wrócił tylko kapral <sup>2)</sup> z kilku żołnierzami, salwując się ucieczką; drudzy wszyscy zginęli, potkawszy się tylko z 500 Turkami, do których naszym i wystrzelić nawet nie przyszło».

W tym punkcie, obróciwszy się, król spojrział po Polakach, uważając, kto mu tu jest przytomnym, a obaczywszy Damiana Ruszczyca, lekkiej chorągwi rotmistrza, zawołał go do siebie, mówiąc te słowa:

---

1) Generał głównodowodzący. 2) Zamiast «wrócił tylko kapral».

«Panie Ruszczyc, weź wasze sobie sto koni dobrych z przedniej straży, bo pojedziesz na podjazd».

A potem król, obróciwszy się do hetmana wielkiego, mówi: «Każ mu, waszmość pan, dać ordynans i surowo przykazać, żeby się o języka starał, albo, jeśli go nie dostanie, niechże raz (ranę, bliznę) w swoim ciele przywozi; a niechaj wraca we 24 godzin, bo to tylko 10 mil od Wiednia, to na dobrych koniach może powrócić, bo taka rzecz nie cierpi zwłoki», i znowu król do Ruszczyca mówi:— «Przyjedziesz tu wprzód przed namiot z tymi ludźmi, żebym ja ich sam widział».

Już tedy zebrał ludzi Ruszczyc, przyjechał z nimi przed namiot królewski, w którym jeszcze byli elektorowie. Ci, zobaczywszy Ruszczyca z tymi ludźmi przed namiotem, poczęli sobie szeptać i mówić: «Na zgubne imię ten król tych ludzi posyła pod tak wielkie wojsko». Inny mówi: «nasz podjazd w 3,000 poszedł, a zginął». Trzeci mówi: «żał się Boże, tych ludzi, a najbardziej komendanta», był to bowiem człowiek hoży, ładny — i dlatego go żalowali.

Aż tu mało nad 24 godzin co się przeciągnęło, dają znać do obozu, iż podjazd wraca z językiem. Zaraz to się rozgłosiło i doszło do niemieckiego wojska, z którego elektorowie i generałowie przyjechali na dziwowisko widzieć Turka, których 13 jak baranów przyprowadził Ruszczyc, nie straciwszy żadnego swego człowieka».

Zresztą świetne czyny chorągwi pancernych pod Wiedniem nie skończyły się na tym jednym podjeździe: walczyły one nie mniej dzielnie i w toku

samej bitwy obok husarskich, szczególnie zaś odznaczyła się chorągiew Stanisława Potockiego, starosty kaliskiego, która straciła wprawdzie swego dowódcę, ale sprawiła straszną rzeź w szeregach tureckich. Pod Wiedniem pancernych było więcej, niż husarzy, bo prawie 11,000.

Na pancernych spada sława świetnych czynów, dokonanych w wojnie szwedzkiej przez Czarnieckiego, który właśnie z tą lekką jazdą tak świetnie przeprowadził się przez rzeki i morze.

Dużo opisów takich czynów chorągwi lekkich pozostawił Jan Pasek, który sam był towarzyszem pancernym.

Szczególnie zaś odznaczały się chorągwie pancerne w walkach z Tatarami na kresach ukraińskich. Tatarzy mieli swój własny szyk bojowy i własny sposób walczenia: formowali się oni całą hordą w ogromne półkole, które starało się oskrzydlić przeciwnika jednym lub drugim swoim końcem. W każdej chwili przytem umieli pójść w rozsypkę i wnet zgromadzić się napowrót opodal. Polacy ten sposób walczenia nazywali «tańcem».

Ciężka husarya nie nadawała się do takiego lekkiego tańca, ale pancerni bywali w nim mistrzami i «tańczyli» nie gorzej od Tatarów. Pasek w opisie jednej bitwy powiada: «tu coraz z lasu wymknie się chorągiew, właśnie jak kiedy wyrwanego tańczują».

«Wyrwanym» nazywano taniec, przy którym coraz to inna para taneczników wysuwa się na czoło i śpiewa krótką piosenkę. Piosenki takie do dziś dnia zowią «wyrwasami».

Chorągwie pancerne przetrwały nieco dłużej od husarskich. I one jednak stopniowo traciły swą zbroję, która wprawdzie była lżejsza od husarskiej, ale tak samo stawała się zbyt ciężką przy nowoczesnym sposobie wojowania. W r. 1776 skasowano zupełnie chorągwie pancerne i przemianowano je, jak również i te, które nosiły jeszcze nazwę husarskich, w pułki kawalerii narodowej. Pułki te były umundurowane jednostajnie i uzbrojone w sposób nowoczesny, zachowały jednak dawny ustrój narodowego autoramentu i składały się z towarzyszy oraz pocztowych.

Oprócz pancernych, istniały jeszcze inne chorągwie lekkiej jazdy. Na Litwie odróżniano tak zwanych petyhorców albo piatyhorców, zbrojnych w dziudy czyli włócznie, podobne do kopii, ale krótsze. Przysłowie dawne powiada: «usarya z kopiami, pietyarya z dzidami». Chorągwie te zresztą, dobre do małych utarczek, nie zdobyły sobie wielkiego uznania, skoro inne przysłowie mówi: «siedli makiem, jak petyhorcy», to jest cicho i bez hałasu przegrali sprawę, nie popisali się.

Na to mniejsze znaczenie petyhorców wskazuje Syrokomla, opisując w gawędzie pod tytułem «Nocleg hetmański» skład wojsk hetmana Tarnowskiego:

Gdy hetman z okna szykowne husarze  
Przejrzał i sprawił wedle swojej chęci,  
Idą poślednie Petyhorców strażę,  
Z drzewcami włóczni, tarczmi osłonięci.

Przy przemianowaniu lekkich chorągwi na kawalerię narodową, nazwę petyhorskiej otrzymała brygada

jazdy pińskiej, z której wyszedł dzielny major Józef Kopeć. W r. 1794 przedarł się on ze swą brygadą z Polesia do Kościuszki, brał udział w walce o wolność aż do bitwy Maciejowickiej, kiedy dostał się do niewoli i został wysłany na Kamczatkę.

Z nadzwyczajnego męstwa słynęły lekkie chorągwie, znane pod nazwą lisowczyków, od nazwiska ich założyciela Aleksandra Józefa Lisowskiego (w wieku XVII). Nieustraszone w walkach, szerzyły one postrach nie tylko na całych wschodnich kresach Rzeczypospolitej, ale i na zachodzie, brały bowiem dobrowolnie udział w 30-letniej wojnie. Lisowczycy nie oszczędzali swojego życia nigdy i nigdzie, odznaczyli się więc mnóstwem zwycięstw wprost nieprawdopodobnych:

Gończe niegdyś Lisowczyki  
Małą garstką rwali stutysiężne szyki.

Lekko ubrani, siedząc na niezbyt wielkich, ale lekkich, szybkich jak wicher i obrotnych koniach, zbrojni krzywą szablą, rohatyną (krótka dzida) i łukiem albo rusznicą — Lisowczycy bez opamiętania rzucali się w największy wir walki i przeważnie wychodzili z niej zwycięsko.

Założyciel tej jazdy nie dożył jej tryumfów na zachodzie, umarł bowiem nagle jeszcze w r. 1616 pod Starodubem, objeżdżając swe szyki. Za granicę prowadzili ją inni dowódcy, a za miarę ich sławy może posłużyć to, iż słynny malarz Rembrandt uwiecznił w obrazie olejnym jednego z rotmistrzów tej jazdy, ujrzawszy go w Amsterdamie (w r. 1633).

Lisowczycy przetrwali niedługo i znikli z widowni w tym samym XVII w. z mniej świetną sławą: nie należeli oni do regularnego wojska, lecz byli jazdą zupełnie ochotniczą, nie odznaczeni się więc nigdy zbytnią karnością. A już po awanturczem, nieokiełznanem życiu w czasie wojny 30-letniej tak się wciągnęli do gwałtów i rozbojów, że nazwisko ich stało się jednoznaczne z wyrazem łotr, hultaj: «co hultaj — to lisowczyk», «to prawdziwy lisowczyk» — powiadają dawne przysłowia. Zemściło się na nich to, że wojnę podejmowali nie dla obrony ojczyzny, ale jedynie w chęci szukania awantur, gdzieś po za granicami kraju.

Do lisowczyków charakterem swoim zbliżały się chorągwie kozackie, utrzymywane w części na żołdzie Rzeczypospolitej, w części przy dworach magnackich. Były to wojska najbardziej lekkie i najbardziej uzdolnione do walki podjazdowej, ale też przeważnie miały charakter jazdy nieregularnej. Nie było w nich podziału na towarzyszy i pocztowych, ale niejedyn szlachcic zaciągał się do chorągwi kozackich.

Nazwa kozak pochodzi od wyrazu tatarskiego «kazak», co znaczy żołnierz-ochotnik, lekko zbrojny. Początkowo nazwę chorągwi kozackich nadawano całej jeździe litewskiej, ale gdy następnie litewskie wojska zaczęły się kształtować coraz bardziej na wzór koronnych, zmieniły nazwy na używane w Koronie. Kozakami zwano odtąd jedynie nadworne pułki lekkiej jazdy przy dworach wielkich panów na Litwie i Rusi, złożone przeważnie z włościan z ich dóbr, a także głośną jazdę niżową, która miała głów-

ne siedlisko w Siczy, za porohami Dnieprowymi i stąd nosiła także nazwę Zaporozców.

Kozacy niżowi składali się z najrozmaitszych żywiołów i stanów, a nawet narodowości, z różnych wychodźców zarówno z samej Ukrainy, jak i z całej



Szymek Pogończyk.

Antoni Piotrowski.

Polski. Ściągali tam ludzie żądni awantur, nieograniczonej swobody, łupów i hulanek wojennych i organizowali się w oddziały konne, które harcowały po stepach, uganiając się z Tatarami, niepokojąc Turków, a następnie występując nieraz i przeciwko Rzeczypospolitej.

Uporządkował i w pewne karby ujął tych kozaków Stefan Batory, kazawszy sporządzić spisy czyli «rejestry» żołnierzy należących do tych oddziałów i poddawszy ich władzy hetmana. Odtąd noszą oni także nazwę «rejestrowych». Każdy oddział kozacki miał swojego dowódcę, zwanego «atamanem», naczelnym wodzem wszystkich był «ataman buńczuczny», pomocnikiem jego «ataman sahajdaczny».

Kozacy mieli uzbrojenie zbliżone do pancernych, ale było ono jeszcze lżejsze, tak, iż stanowili najlżejszy rodzaj jazdy. Najodpowiedniejszymi też byli do walki podjazdowej, tembardziej, że odznaczali się niewyczerpaną pomysłowością w rozmaitych fortelach, sztuczkach i podstępach. Walczyli za to bez żadnych manewrów wojennych, zwartą ławą, biorąc górę zwykłą liczbą, albo nagłym napadem. Męstwem odznaczyli się ogromnem, ale regularnemu wojsku nie umieli długo dotrzymać pola: w czasie wojen domowych bili nieraz wojska polskie, ale jedynie wtedy, gdy mieli znaczną przewagę liczebną; znane są za to wypadki, gdzie 2,000 kozaków nie umiało się oprzeć 200 towarzyszącej regularnej jazdy polskiej.

Na podjazdach za to byli niezrównani. Kręcili wówczas, kołowali, rozbiegali się, dając sobie znaki zwracaniem konia na miejscu w rozmaitych kierunkach, ale w pewien określony sposób. Nazywało się to robić, wykrecać «majaki» («zoczył nas, koniem na wschód wykreca majaki») i po tych «majakach» umieli zdaleka odróżnić podjazd swój od nieprzyjacielskiego.

Pasek opowiada o następującym fortelu, wykona-



nym przez podjazd kozacki, któremu w czasie powrotu z pod Wiednia kazano koniecznie dostać «języka» o położeniu i stanie jednej z twierdz po drodze. Kozacy, przekonawszy się, że z miasta nikt z Turków się nie wydała i że wskutek tego nikogo nie mogą złapać, ukryli się w kilkunastu w sadach pod miastem, a dwu zaczęło się zbliżać do twierdzy tak, aby ich spostrzeżono. Turcy dali do nich ognia: wówczas jeden z nich upadł niby zabity na ziemię, chociaż nie trafiono go wcale; drugi początkowo zaczął go niby trzeźwić, potem chciał z niego zdjąć suknie, żeby nie stały się łupem wroga, ale gdy i do niego padło kilka strzałów, uciekł śpiesznie w stronę obozu.

Suknie kozaka skusiły jednego z Turków, i obejrzawszy pilnie okolicę, a wiedząc, że obóz polski jest dość daleko, wymknął się z miasta, dobiegł do kozaka i chciał go rozbierać, gdy wtem mniemany nieboszczyk zerwał się nagle i chwycił go za kark. Natychmiast wybiegła z ukrycia reszta kozaków, porwała i uprowadziła Turka, zanim odsiecz z miasta mogła zdążyć. Strzelono do nich wprawdzie, ale bez skutku; w każdym zaś razie wrócili z językiem.

Czarną stronę kozaków stanowiło to, że byli rozmiłowani w hulankach, grabieżach i pożogach i że niemi znaczyli zawsze wszystkie swe wyprawy. Przewyższali pod tym względem lisowczyków tak dalece, że «kozactwem» nazywano wogóle wyprawy po łupy, połączone z grabieżą. Kozactwem nazywano także kozacki sposób wojowania, za pomocą drob-

nych utarczek, podjazdów, które zwano także «kozackimi krotochwilami»:

I cóż nad Polaka w polu mężniejszego?

A nad Litwę w kozactwie cóż jest bieglejszego?

zapytuje Strykowski. Kozacka droga oznaczała mianowce, kręte drogi, tajemne: «Witenes przez lasy i borowizny kozacką drogą do Łęczyckiego wtargnął».

W czasie reorganizacji wojska za Stanisława Augusta utworzono (w r. 1790) pułk kozacki z nadwornych kozaków rozmaitych panów. Pułk ten liczył 1000 ludzi, zostawał pod dowództwem osobnego pułkownika, ale atamanem jego został mianowany książę Józef Poniatowski; książę od tego czasu zaczął nosić ową słynną czarną burkę kozacką, w której widzimy go na wszystkich prawie portretach z późniejszych czasów. Nosił on ją do końca życia, w niej też w pamiętnym dniu skoczył do Elstery, jak powiada poeta:

Z szablą świszczącą, w burce zwisającej z ramion,  
Poleciał po śmierć jasną za gwiazdą swych znamion.

Do lekkiej jazdy należały jeszcze chorągwie tatarskie przy wojsku litewskim, utworzone przez Witolda, który osiedliwszy na Litwie pewną liczbę Tatarów, zobowiązał ich do służby wojskowej wzajemian za daną ziemię i przywileje. W wojsku polskim chorągwie takie ukazują się od w. XVI i mają skład taki sam, jak chorągwie narodowe, to jest z towarzyszy i pocztowych. Rodzajem zaś uzbrojenia i służby zbliżały się najwięcej do kozaków i taką samą też rolę odgrywały na wojnie, odzna-

czając się nieraz w walce podjazdowej i nagłych napadach.

Ilość ich nie była nigdy zbyt znaczna: w r. 1654 służyło 1383 Tatarów w 15 chorągwiach. Nie zawsze zresztą służba ich była bez zarzutu: w 1672 roku zdradzili Rzeczpospolitą tak zwani Lipkowie, którzy przeszli na stronę Turków, a osiedliwszy się koło Kamieńca Podolskiego, dawali się we znaki częstymi napadami okolicznym mieszkańcom. Jednakże wezwani w roku 1683 przez Jana Sobieskiego wrócili pod sztandary polskie i dotrwali przy nich wiernie aż do chwili skasowania osobnych chorągwi tatarskich przez Augusta II.

---

### XIII. Jazda cudzoziemskiego autoramentu.

Jazda cudzoziemskiego autoramentu różniła się przedewszystkiem tem, że nie było w niej wcale towarzyszków i pocztowych, lecz tylko szeregowcy, nad którymi przełożeni byli wprost oficerowie. Zaciągi takiej jazdy składały się początkowo przeważnie z najemników cudzoziemców, później z Polaków najrozmaitszych stanów, ale umundurowanie i uzbrojenie było jak w wojskach cudzoziemskich, zwłaszcza niemieckich.

Jazda taka ukazała się u nas w w. XVI i znana była pod nazwą rajtarów albo dragonów. Nazwa rajtar jest przekręconym niemieckim wyrazem «reiter», co znaczy jeździec. Nazwa ta znana była w Polsce

jeszcze z czasów krzyżackich i należała do mało zaszczytnych, oznaczała bowiem knechta konnego krzyżackiego, a w przenośni wogóle rabusia. A tak dalece, dzięki Krzyżakom, związana była z pojęciem rabusia, że i rozbójnictwo nazywano rajtarstwem.

Nazwa dragon pochodzi od greckiego wyrazu «drakon» smok, i wskazuje, iż wojsko dragońskie uważano za silne, jakby posiadające smoczą potęgę. Do nas nazwa ta przyszła z Niemiec przez wyraz «dragoner», oznaczający kawalerzystę, który pełni zarazem i służbę pieszą. Początkowo jednak ciężką jazdę cudzoziemskiego autoramentu nazywano bez różnicy rajtaryą lub dragonią. Dopiero później zaczęto wyróżniać pod nazwą dragonii oddziały uzdolnione jednocześnie do służby pieszej i konnej.

Rajtarowie, zarówno jak i dragoni była to jazda ciężka, przeznaczona tak samo, jak husarze, do rozbijania szyków nieprzyjacielskich. Ale gdy husarze brali górę nad wrogiem natarczywym natarciem i niezłomnym szanćem proporców, dragonia i rajtarya rozbiły go masą swą: ciężkim rynsztunkiem, wagą ogromnych koni i doborem roślących żołnierzy. Pojęcie o wzroście tych wojowników i związaną z nim pewną gburowatością oraz szorstkością dało początek wielu przysłowiom i porównaniom: «baba, jak dragon», «panna, jak dragon», «kłać po dragońsku» i t. p.

Czasami sadzano dragonów i na mniejszych koniach, ale zdarzało się to dopiero w późniejszych czasach, kiedy lżejsza jazda wchodziła już bardziej w użycie. Francuz Ogier (czytaj «Oźje») widział

na usługach króla Władysława IV oddział dragonów na «lekkich i szybkich koniach».

Uzbrojenie rajtarów składało się: z przyłbicy i pancerza jednolitego, a nie kolcowego, jak u pancernych, rękawic, czekana, szabli, 2 pistoletów i rusznicy. Tak samo zbrojni byli i dragoni, ale różnili się oni od rajtarów tem, że gdy ci zawsze walczyli konno, «dragoni potykali się konno tylko na placu równym, w cieśni zaś jedna część zsiada z koni i walczy pieszo». Dragoni tacy rozpowszechnili się u nas dopiero w wieku XVII. Pułkownikiem dragonów był słynny Wołodyjowski, jeden z bohaterów trylogii historycznej Sienkiewicza. Na czele dragonów chadzał nieraz Pasek na podjazdy, towarzysząc bowiem chorągwi narodowej uważany był na równi z niższymi oficerami cudzoziemskiego autoramentu i poruczano mu nieraz dowództwo nad mniejszym oddziałem rajtarów lub dragonów.

W r. 1717 zniesiono zupełnie pułki rajtarskie i pozostali jedynie dragoni, ale już bez ciężkiego uzbrojenia, z pałaszem, parą pistoletów i karabinem bagnetowym, stanowili oni w ścisłym znaczeniu piechotę konną. Za Augusta III w armii polskiej znajdowało się 6 pułków dragonów w sile 1736 ludzi, co stanowiło prawie czwartą część całej jazdy (7726 ludzi).

Wśród pułków dragońskich wyróżniał się dobo-rem ludzi i koni oraz świetnością umundurowania pułk «gwardyi konnej», zwany «mirowskim» od nazwiska szefa swego, starosty Miera. Pułk ten odznaczał się zresztą i wielkiem męstwem, którego dał

dowody w wojnie kościuszkowskiej w r. 1794. Jako ślad po nim pozostały nazwy ulicy Mirowskiej i kosszar Mirowskich w Warszawie.

Za Augusta III wojsko nasze posiadało 4 rodzaje jazdy: dwa narodowego autoramentu, to jest zreformowanych husarzy w sile 1000 ludzi i pancernych w sile 3990 ludzi, oraz dwa cudzoziemskiego—dragonów i ułanów (1000 ludzi), tę najbardziej narodową i najbardziej słynną jazdę po husarzach. Bohaterskość i dzielność tej jazdy stała się powodem, że, jak powiada Szajnocha, «wojskiem narodowym byli hułanie, lubo nie słyhać o nich w dawnych dziejach, bo husarza czczono w hułanie, który zajął jego miejsce z kopią w dłoni», a zajął najzupełniej godnie i najzupełniej godnie utrzymał sławę tej groźnej broni.

Teraz niech nowi wystąpią rycerze,  
Ułani, dawnych synowie husarzy.

O popularności ułanów świadczą tysięczne piosenki, sławiące tych wojaków, że wspomnimy tu tylko jedną z najbardziej znanych:

Tam, na błoniu, błyszczą kwiecie,  
Stoi ułan na pikiecie..

Nazwa zresztą ułana albo hułana nie jest wcale polską tak samo, jak i husarza: pochodzi ona od tatarskiego wyrazu «ohłan» albo «uhłan», który dosłownie znaczy—chłopiec, paż; używany zaś był na oznaczenie książąt z krwi chanów oraz męźnej szlachty tatarskiej. Od wyrazu tego pochodzi nazwa tatarskiej rodziny Ułanów, osiadłej w dawnym woje-

wództwie trockiem (dziś północna część gubernii Suwalskiej).

Ułanami zwano także towarzyszy w chorągwiach tatarskich, dla oznaczenia ich szlacheckiego pochodzenia. A że pułki ułańskie powstały w miejsce zniesionych przez Augusta II chorągwi tatarskich, więc też i przeniesiono na nie nazwę towarzyszy z tych chorągwi. Nazwa ta rozpowszechniła się bardzo prędko i stała się zupełnie rodzimą tak samo, jak dawniej husarza. Później zaczęto także nazywać ułanów lancyerami albo lansyerami, ale tej nazwy używali głównie cudzoziemcy.

Główna broń ułana — lanca, była to skrócona i lżejsza wskutek tego kopia husarska: długość jej nie przekraczała 5 łokci; według przepisu powinna ona być tak długa, aby można było zwrócić ją w prawo w tył, nie zaczepiwszy grotem o ziemię. Dzięki mniejszej i lżejszej broni, ułan odrazu był lekkim jeźdźcem i odrazu nadawał się do walki w rozsypkę, gdy husarz musiał pierwiej odrzucić swą ciężką kopię. Lancą ułani władali nie mniej świetnie, jak husarze kopią, a wprawy nabierali nie na musztrach, lecz w gorącym boju, w potykaniu się z nieprzyjacielem; ułan, który bitwy nie widział, nie godzien był nazwy ułana, jak to wyraża jedna z piosnek ułańskich:

Nie dostąpisz bez chrztu nieba  
I ułanem aby być,  
Chrzciny lany sprawić trzeba  
I krwią wroga trza ją zmyć.

Resztę uzbrojenia ułana dopełniał pałasz i pistolety. Mundur w epoce wojen napoleońskich i później stanowiła granatowa kurtka ułańska z rabatami białymi, żółtymi, czerwonymi lub szafirowymi. Na głowie wysoka rogata czapka granatowa z daszkiem i wypustką takiej barwy, jak rabaty. Na lancy dwubarwna chorągiewka, najczęściej karmazynowa z białym.

W pułkach ułańskich nie panowała już taka dowolność koni i ich maści, jak w dawnych chorągwiach husarskich lub pancernych. Zarówno co do jednolitości mundurów jak i jednostajności w doborze koni każdy żołnierz musiał się stosować ściśle do przepisów swego pułku. Dywizya jazdy za czasów królestwa kongresowego składała się z 4 pułków, które różniły się nie tylko rabatami żołnierzy, ale i maścią koni: pierwszy pułk siedział na koniach gniadych, drugi na siwych, trzeci na kasztanowatych i czwarty na karych.

Dla trębaczów zachowano starodawnym zwyczajem konie srokate, ale dobierano je tak, aby odpowiadały one maści całego pułku, a więc w pierwszym pułku trębacze siedzieli na koniach gniado-srokatych, w drugim na karo-srokatych, w trzecim na kasztanowato-srokatych i w czwartym znów na karo-srokatych.

Dziarsko, wesoło i pięknie wyglądał maszerujący pułk ułanów:

Tylko wietrzyk furczy  
W krasne chorągiewki,  
Parskają koniki,  
Lecą z echem śpiewki.



Śpiewanie w wojsku w marszu było pozostałością jeszcze z dawniejszych czasów, kiedy z pocztowych wybierano najlepszych śpiewaków, którzy tworzyli chór i w pochodzie wysuwali się na przód chorągwi, śpiewając nabożne lub wesołe świeckie pieśni.

Kiedy chorągiew Mohorta opuszczała długoletnie leże na kresach i żołnierze jechali smutni, ksiązę Józef, który znajdował się wtedy przy niej, zawołał:

Hej! naprzód śpiewaki,  
Pieśnią pożegnać ukraińskie szlaki.  
I wymykali śpiewaki na czoło,  
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara  
Zabrzmiała w stepie wesoło:  
Hej, tam na górze  
Jadą rycerze,  
Puku, puku w okieneczko,  
Wstań i otwórz, panieneczko,  
Koniom wody daj!

Pułki ułańskie swem męstwem i umiejętnem władaniem lancą zyskały sławę nietylko w kraju, ale i rozniosły ją po całej Europie, w okresie wojen napoleońskich. Podziwiano je tak samo, jak ongi husarzy pod Wiedniem, ale nietylko podziwiano, ale i zaczęto naśladować: Napoleon, widząc skuteczność tej broni, zaprowadził lance w wojsku francuskiem od r. 1811. W tych samych mniej więcej czasach wprowadziły je do swej jazdy i inne państwa europejskie, tworząc u siebie pułki ułańskie, które do dziś dnia mają mundur i krój czapek, wzorowany na ułanach polskich.

Nie będziemy tu wyliczali licznych zwycięstw i tryumfów ułańskich; przytoczymy tylko wiersz poe-

ty, określający dosadnie ich zapal i męstwo niezrównane, pogardę śmierci, z jaką rzucali się w najgroźszy bój:

Ot, tam szarża! Hej! lecą ogniści straceńce  
Po kulę w serce, jakby po kochanki wieńce.  
Wiedzą, że już nie wrócą do chat swoich... wiedzą,  
Że już nie pójdą z pługiem nad rodzinną miedzą,  
I więcej: czują dobrze... coś błysło, coś zgasło!  
Ale ot: «do ataku! marsz!» wódz wydał hasło!  
Koń i jeździec w dwa orły cudem się przetwarza  
I gnają na harmaty, krzycząc: «za cesarza!».

Każdy ułan był jakby urodzonym żołnierzem i każdy dokazywał cudów męstwa, jak ów Jan Pawlikowski, o którym powiada poeta:

Był tam ułan nad ulany,  
Pawlikowski Janek zwany,  
Cały oddział sam wymłócił,  
Jak się w niego z lancą rzucił.

Jedno mu, czy śmierć czy rana —  
Zakłół najpierw kapitana,  
Zakłół potem porucznika,  
A piechurów wziął do łyka.

Zawadyackiem poprostu męstwem, a przytem wielką pomysłowością odznaczył się wachmistrz ułanów, nazwiskiem Jaszczółd: pewnego razu w czasie wojny z Austryakami został on zaskoczony pod Sandomierzem samowtór przez oddział jazdy austriackiej i bardzo sprytnie wykręcił się z matni:

Pod wiatrakiem z trębaczem  
Stał tam Jaszczółd na wzgórzu,  
A przez pole gnał owczarz  
Stado owiec wśród kurzu.

Patrzy Jaszczold, wróg wali,  
Aż tumany się wzbily,  
Więc zakryknie: «Trąb, bracie,  
Co masz ducha i siły!»

Trąbi trębacz, aż głucho,  
Nad owcami kurz wali,  
A wróg myśli, że polskie  
Pułki nagle spotkali.

Więc zatrąbią na odwrot  
I zmykają cichaczem...  
A za nimi nasz Jaszczold  
Z swym kompanem trębaczem.

Innym razem znów Jaszczold chciał porwać austriackiego generała; zakradł się z towarzyszem aż do wsi, w której generał stał kwaterą, szyldwacha stojącego przed chatą wsadził do beczki z deszczówką, zanim się ten obejrzał i mógł krzyknąć; poczem wpadli obaj z kolegą do chaty, porwali śpiącego generała i unieśli go do wąwozu, w którym były ukryte ich konie. Wyprawa byłaby się udała naszym ułanom, gdyby nie to, że szyldwach austriacki wygramolił się z beczki i narobił hałasu. Ułani musieli rzucić owiniętego w kołdrę generała i jedynie ręczności swych koni zawdzięczali, że sami nie dostali się do niewoli.

W pułkach ułańskich odznaczali się nawet i żydzi, którzy, uniesieni powszechnym zapalem, zaciągali się również do szeregów i szli walczyć. Znany jest zwłaszcza żyd rodem z Kocka (w lubelskiem) Berek Josielewicz, który walczył w legionach, dosłużył się za męstwo stopnia szefa (dowódcy) szwadronu, a zgi-

nął w czasie wojny z Austryakami w r. 1809: odwiedził on był z małym oddziałem rodzinny Kock i tam został obkoczony przez austriackich huzarów, którzy, będąc w poważniejszej liczbie, zabili Berka i jego towarzyszy. Lud uwiecznił śmierć męznego Berka w dwuwierszu:

Tym sposobem huncwockim  
Zginął Berek pod Kockiem...

a Stanisław Potocki, minister Księstwa Warszawskiego, uczcił męstwo i śmierć jego piękną mową.

W czasie wojen napoleońskich w księstwie Warszawskim formowano wciąż tyle nowych pułków, że często nie można było znaleźć dostatecznej liczby koni zdalnych do kawalerii. Sformowano wówczas między innymi pułk ułański, zbrojny lancami, ale siedzący na lichych, drobnych, chłopskich szkapach, jakich jazda polska nie miała nigdy pierwej. Pułk ten otrzymał nazwę pułku Krakusów, dlatego, że składał się wyłącznie z włościan i zamiast mundurów nosił siwe sukmany chłopskie, a na głowie rogatę czapkę amarantową z czarnym barankiem.

Pomimo jednak lichych koni, pułk ten posiadał bardzo dzielnych żołnierzy, nic a nic nie gorszych od właściwych ułanów, już w parę miesięcy po uformowaniu szarżował on w otwartym polu i zdobył w Saksonii chorągwie (9 września 1813 r.).

Napoleon, oglądając ten pułk w parę tygodni później, nie mógł się powstrzymać od śmiechu na widok lichych, drobnych jego koni. A to prawdziwa jazda pigmejów — rzekł — jednakże jest to wyborny

pułk; ludzie, którzy na takich koniach zabierają sztandary, to dzielna jazda». Pułkiem tym przez jakiś czas dowodził dzielny pułkownik, późniejszy generał, Dwernicki.

Wręcz przeciwny skład miał pułk lekkokonny gwardyi cesarskiej Napoleona, zwany pospolicie z francuska «szwoleżerami». Został on utworzony przez Napoleona w kwietniu r. 1807, składał się wyłącznie ze szlachty i był świetnie umundurowany krojem ułańskim. Artykuł V dekretu formacyjnego tego pułku stawia, jako konieczny warunek, że «aby być przyjętym do korpusu szwoleżerów, trzeba być właścicielem ziemskim lub synem właściciela».

Konie dobierano w nim rosłe i dobre. Każdy szeregowiec musiał się umundurować i sprawić sobie zarówno konia jak i cały rynsztunek bojowy własnym kosztem. Rząd dawał co najwyżej zaliczkę niezamożnym, którą później potraçał z żołdu.

Szwoleżerzy nie istnieli długo, zdążyli jednak odznaczyć się tak świetnym czynem wojennym, jak słynny atak na wąwóz Somo-Sierra w Hiszpanii, gdzie pułk ten okrył się nieśmiertelną sławą; atak ten przytacza się do dziś dnia przez wszystkich wojskowych, jako jedyny w swoim rodzaju.

W czasie wojny z Hiszpanami wypadła droga wojsku Napoleona przez długie, wązkie i kręte wąwozy Somo-Sierra, który Hiszpanie wzmocnili przekopami; na każdym z czterech jego zakrętów umieścili po dwie armaty, a z boków na szczytach i na skałach do 10,000 piechoty, rażącej atakujących ogniem karabinowym.

Wojska francuskie próżno kusily się o zdobycie tego przejścia, aż wreszcie Napoleon kazał uderzyć na wąwóz III szwadronowi szwoleżerów polskich, który tego dnia znajdował się na służbie przy nim. Szwadron ten, pozostający pod dowództwem Koziętulskiego, liczył 120 ludzi, którzy natychmiast uszykowali się czwórkami, poszli do ataku i w ciągu 20 minut zdobyli wąwóz. Stracili wprawdzie 57 ludzi zabitych, a z oficerów do ostatniej baterii dotarł jeden tylko Niegolewski, ale atakiem tym szwoleżerzy oczyścili drogę dla całej armii i zdobyli przejście, które zdawało się nie do wzięcia.

Poeta tak przedstawia gwałtowność tego ataku i kolejne obejmowanie dowództwa przez coraz to innych oficerów, którzy jeden po drugim padali przy zdobytych bateriach, ranni lub zabici.

A wtem Napoleon  
Na Polaków skinął:  
Skoczył Koziętulski,  
W czwórki jazdę zwinął.

Na wiarusów czele,  
Jak piorun się rzucił,  
Wziął pierwszą baterię,  
Ale już nie wrócił.

Skoczył Dziewanowski  
Jak piorun się rzucił,  
Wziął drugą baterię,  
Ale już nie wrócił.

Skoczył Krzyżanowski,  
Jak piorun się rzucił,  
Wziął trzecią baterię,  
Ale już nie wrócił.

Jeno się została  
Ta bateria czwarta..  
Bronią jej Hiszpanie,  
Walka wre zażarta.

Niegolewski młody  
Spiął konia ostrogą:  
«Może stracę życie,  
Lecz przedam je drogo!»

Jak wichur się rzucił  
I jak błyskawica —  
A za nim jak burza  
Ta polska konnica.

Już biorą armaty,  
Już tną kanonierzy,  
Już wzięli Polacy  
Wąwóz Somo-Sierry.

Szwolężerzy zdobyli Somo-Sierę nie szarżą ułańską — lancami, lecz wprost szablami, pierwotnie bowiem pułk ten nie posiadał wcale lanc. Wprawdzie Antoni Górecki, autor powszechnie znanego wiersza, zaczynającego się od słów:

Gdzie wąwóz Somo-skałami się jeży,  
Jest wązkie przejście, jak na szyk rycerzy —

powiada w opisie tej bitwy, że gdy szwoleżerzy rzucili siłę do ataku:

Huczą trąby, ostrze mieczów się świeci,  
Przez grad kartaczów las proporców leci.

Opowiadanie to jednak nie jest zgodne z rzeczywistością: pod Somo-Sierra bowiem szwoleżerzy wcale nie posiadali lanc i otrzymali je dopiero w r. 1807, po bitwie pod Wagram. Zostali wówczas przemia-

nowani na ułanów i otrzymali nazwę szwoleżerów lansyerów; zwano ich także ułanami gwardyi.

Oprócz rozmaitego rodzaju pułków ułańskich zbrojnych lancami, w epoce wojen napoleońskich potworzono wiele innych pułków jazdy, wzorowanych na zagranicznych i nie mających tej wsławionej polskiej broni. Rozmaitość ich wyraża obrazowo poeta w opisie wypoczynku biwakowego i tęsknoty, jaka ogarnia tych wojowników, walczących lata całe na obczyźnie:

Przy ogniskach biwakowych,  
Gdy wojenne ścichły gwary,  
Siadywały grenadyery,  
I hułany, i huzary,

Lśniły czaka i bermyce,  
Kirasyerów lśniły zbroje —  
Wspominała stara gwardya  
Napoliońskie dawne boje.

Wtedy stawał przed żrenicą  
Kraj daleki, kraj rodzony:  
Mazowieckie nasze piaski,  
Nadwiślańskie nasze strony.

Wtedy oczy wilgotniały,  
Wtedy serce biło młotem —  
I szwoleżer płakać może,  
Ale wara wspomnieć o tem!

Pułki te jednakże nie istniały zbyt długo i nie osiągnęły takiej sławy, jak ułani.

Najdłużej przetrwały, bo jeszcze w wojskach Królestwa Kongresowego, pułki strzelców konnych, utworzone z żołnierzy, pozostałych po rozwiązaniu legii konnych. Pułki te zbrojne były w karabiny



i pełniły służbę podobną do dragonów, których wtedy nie było już w naszym wojsku. W epoce Królestwa Kongresowego, wraz z ułanami były to jedyne rodzaje jazdy.

Kirasyerzy, uzbrojeniem i umundurowaniem wzorowani ściśle na kirasyerach francuskich, istnieli bardzo krótko i byli bardzo nieliczni. Jazdę tę uformował Stanisław hr. Małachowski w r. 1809. Pułk kirasyerów liczył tylko 2 szwadrony zamiast 4, jak zwykle. Odznaczył się zaś szczególnie w kampanii r. 1812 i 1813, zwłaszcza świetnymi marszami pod Możejkiem.

W tym samym czasie, co kirasyerów, utworzono huzarów, wzorem dla nich posłużyło nie francuskie, lecz węgierskie wojsko, w którym ten rodzaj broni był tak samo narodowy, jak u nas husaryja i ułani. Uformowano mianowicie w r. 1809 dwa pułki huzarów, umundurowawszy je efektami, zdobytymi na huzarach węgierskich przy zajęciu Galicyi przez wojska Księstwa Warszawskiego. Jednym z tych pułków dowodził dzielny pułkownik (a później generał) Jan Umiński. Pułki huzarskie miały opinię bitnych, ale nie dość karnych. Istniały krótko: po kampanii r. 1813 z 2 przetrzebionych pułków utworzono jeden, który następnie musiał poddać się przy kapitulacji Drezna, i od tej chwili przestał istnieć. Pomimo jednakże krótkiego istnienia, husarzy pozostawili ślad w niektórych utartych wyrażeniach i w powszechnie znanej i jadanej do dziś dnia pieczeni huzarskiej. Słynny nasz komedyopisarz — Aleksander Fredro napisał nawet bardzo wesołą i charakterystyczną komedię

p. t. «Damy i huzary», w której zresztą przedstawił tych wojowników nie w walce lecz w czasie pokoju.

Większość tych pułków jazdy znikła z widowni wraz z końcem epoki napoleońskiej. Ale ślady tej epoki przetrwały długie lata; długo jeszcze można było widywać dawnych żołnierzy z tych dzielnych pułków: rozmiłowani w koniu, lancy i szabli, do późnej starości wspominali oni z rozrzewnieniem swą burzliwą, wojowniczą młodość, swą włóczęgę po świecie i świetne czyny wojenne. Jeszcze przed pół wiekiem żyli tu i owdzie niektórzy z tych starych wiarusów napoleońskich, a każdy z nich tak lubił zagłębiać się we wspomnieniach dawnych czasów:

Po przeszłości błądzi szlaku,  
Widzi, zda się, towarzyszy,  
Słyszy gromki głos komendy,  
Słyszy sygnał: «Do ataku!»

Zdaje mu się, że rzą konie,  
Szumią barwne chorągiewki,  
Tętent kopyt, brzęki szabel  
I hulańskie słyszy śpiewki.

Widzi dawnych swoich wodzów,  
Choć źrenice mgłą mu lezki;  
Stają przed nim: Poniatowski,  
Kozietulski, Niegolewski...

Obecnie dawno już wymarli ci zwycięzcy z pod Somosierry, Saragossy, Jeny, Wagramu, Eylau i tylu innych miejscowości, gdzie na batalie «wodził ich Kapral mały». Przeszli bezpowrotnie do przeszłości, jak ostatni husarze w wieku XVIII, jak średniowieczni rycerze jeszcze dawniej.

Koń, szabla i lanca i dziś jeszcze odgrywają ważną rolę w dziejach ludzkości, ale już nie tak pierwszorzędną, jak dawniej. Ludzie nie poświęcają już dziś całego życia wojnie, jak niegdyś, główne siły swe oddając twórczej pracy pokojowej, która stanowi podstawę istnienia społeczeństw. Nie prędko, zapewne, ustaną i znikną zupełnie wojny i podboje, w każdym jednak razie coraz bardziej rozpowszechnia się wśród ludzi zdanie, tak pięknie wyrażone niegdyś przez Jacka Przybylskiego, nauczyciela prawa w szkołach warszawskich, który na obchodzie w r. 1783 setnej rocznicy zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem, w ten sposób określił, co to jest bohater:

«Bohater prawdziwy nie jest to srogi zdobywca, który świat żałobą i pustoszeniem okrywa, o którym dochodzą wieści, jak o okropnem trzęsieniu ziemi lub ogniowym pożarze, i który nie baczy, że najrozleglejsza kraina nie może być kładziona na szali z życiem jednego człowieka».

Przedstawiwszy dalej cywilizacyjne znaczenie zwycięstwa bohaterskiego króla Jana, zwycięstwa, które miało na celu nie podboje, pożogi i rozlew krwi, lecz właśnie obronę pokoju i cywilizacji, Przybylski tak dalej tłumaczy, na czem polega siła narodu:

«Siła narodu nie miarkuje się ani gromadą żołnierzy, ani kosztownością gmachów, ani blaskiem obrzędów; szukać jej trzeba w zagonach roli, pod strzechami wieśniaków, w talentach mieszkańców miast, w dziełach krosien i warsztatów, w toku pieniędzy i towarów, w edukacji młodzi. Sto tysięcy piętężnych kupców, drugie sto tysięcy prze-

myślnych rzemieślników, pięćkroć sto tysięcy pracowitych i majątnych ziemian, dostatek oświeconych nauczycieli — nie sąż to wojska, co kraju strzegą? ramiona, co go wspierają? skarby, co go bogacą? Nie masz innej drogi do szczęścia, tylko przez dobre nauki i gospodarskie zabiegi, a cnota i bohaterstwo mogą upewnić jego trwałość».

W tak pojętem społeczeństwie koń odgrywa inną rolę, niż u zaborczych, najezdniczych ludów, albo u takich, które, sąsiadując z najezdniczymi, sami muszą nieustannie wojny prowadzić; w takim społeczeństwie, koń ze zwierzęcia wojskowego, z towarzysza bojów i trudów wojennych przeistacza się w współnika pracy pokojowej, koń w pokoju zasłania sobą konia na wojnie, ale zawsze pozostaje wiernym towarzyszem człowieka, zawsze dzieli z nim trudy i mokoły, chociaż w inny sposób i na innej niwie.

---

# TREŚĆ.

## CZEŚĆ I.

KOŃ WSPÓLNIK PRACY.		Str.
I.	Oswojenie konia i jego znaczenie dla ludzi . . . . .	5
II.	Całe życie razem . . . . .	10
III.	Zamiłowanie i przywiązanie do koni . . . . .	19
IV.	Zalety i wady koni . . . . .	27
V.	Chów koni i ich ujeżdżanie . . . . .	40
VI.	Koń woźnik i jego znaczenie . . . . .	56
VII.	Wozy i powozy prostszej budowy . . . . .	62
VIII.	Wykwintniejsze pojazdy . . . . .	80
IX.	Sanie . . . . .	94
X.	Dawne zaprzęgi . . . . .	100
XI.	Dawne drogi . . . . .	113
XII.	Dawne sposoby podróżowania. . . . .	129
XIII.	Poczty i koń pocztarski . . . . .	139
XIV.	Koń na zabawach i uroczystościach . . . . .	147
	Kuligi . . . . .	148
	Wesela . . . . .	157
	Pogrzeby . . . . .	163

## CZEŚĆ II.

### KOŃ NA WOJNIE.

I.	Koń bojowy . . . . .	171
II.	Konie ras wschodnich . . . . .	174
III.	Konie północne i inne . . . . .	184

	Str.
IV. Maść koni i poglądy na nią . . . . .	190
V. Sposób jeżdżenia konno . . . . .	206
VI. Rycerstwo średniowieczne . . . . .	216
VII. Igrzyska konne . . . . .	233
VIII. Sprawność jazdy i koni . . . . .	245
IX. Skład i ustrój jazdy . . . . .	260
X. Naczelní wodzowie . . . . .	270
XI. Ciężka jazda . . . . .	284
XII. Lekka jazda . . . . .	297
XIII. Jazda cudzoziemskiego autoramentu . . . . .	311









Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K. 14335**



6000000000149